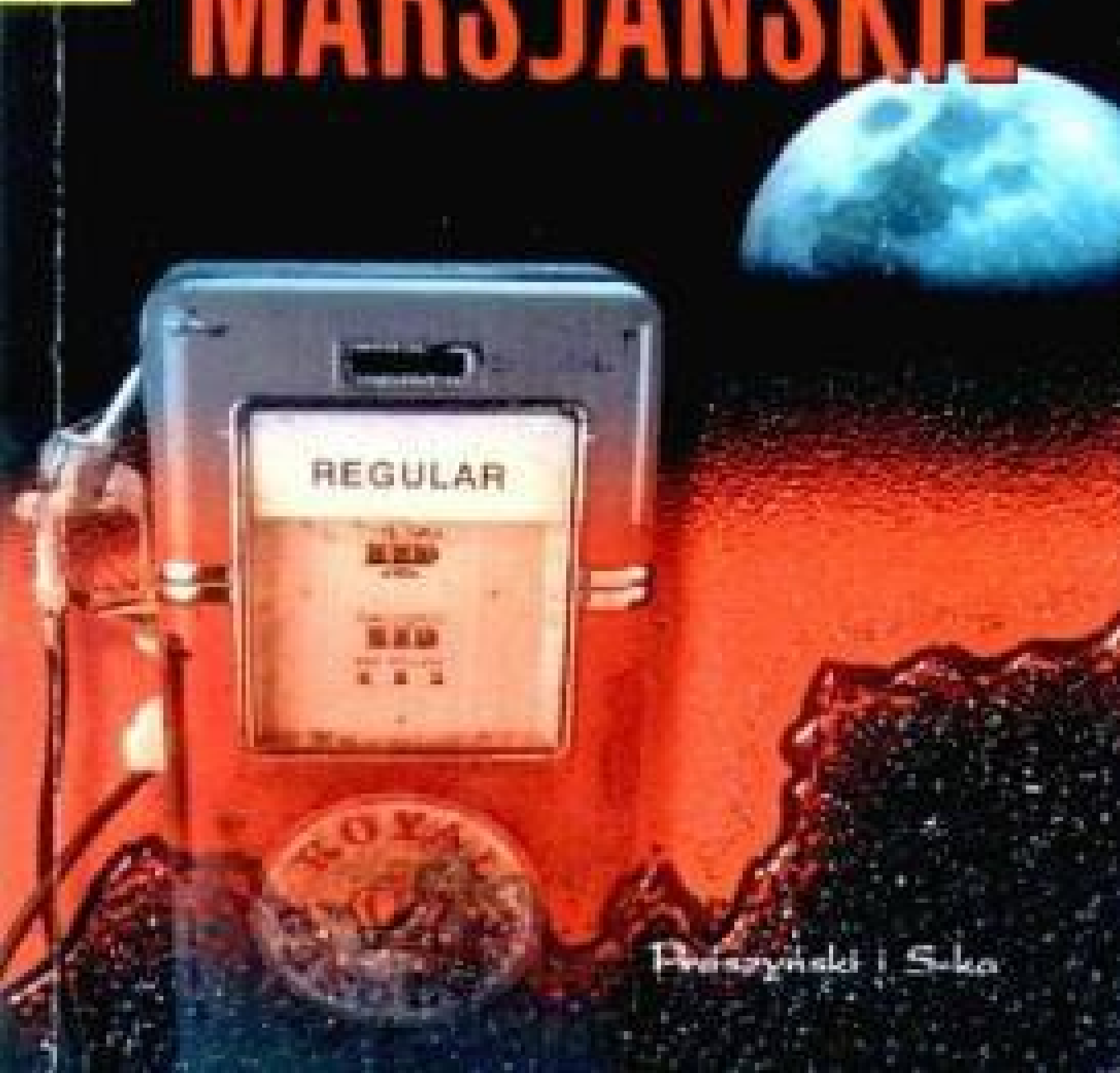


WYDAWCA
Fantastyko

Ray Bradbury

KRONIKI, MARSJAŃSKIE



Przełożył i Słucha

Ray Bradbury

Kroniki Marsjańskie

- Dobrze jest poczuć na nowo zadziwienie światem - rzekł filozof.

- Podróże kosmiczne znów uczyniły dzieci z nas wszystkich.

Dla mojej żony, Margueńte,

z miłością

Styczeń 1999: Rakietowe Lato

Dopiero co w Ohio panowała zima. Jak zwykle – pozamykane drzwi, zatrzaśnięte okna, bielmo szronu powlekające szyby, dachy obwieszane frędzlami sopli. Dzieci jeździły na nartach, kobiety z trudem wędrowały skutymi lodem ulicami i w swych futrzanych płaszczach przypominały wielkie czarne niedźwiedzie.

I nagle miasteczko ogarnęła fala ciepła. Powódź rozgrzanego powietrza; zupełnie jakby ktoś zostawił otwarte drzwi piekarni. Gorąco pulsowało pomiędzy domami, krzakami i grupkami dzieci. Sople opadały, łamiąc się i topniejąc. Drzwi otworzyły się na oścież. Okna uniesiono w górę. Dzieci zrzuciły wełniane ubrania. Kobiety pozbyły się niedźwiedziokryć. Śnieg zniknął, ukazując zielone zeszłoroczne trawniki.

„Rakietowe lato”. Słowa te wędrowały z ust do ust pomiędzy ludźmi w otwartych na przestrzał domach. „Rakietowe lato”. Ciepłe pustynne powietrze odmieniało malunki szronu na szybach, niweczając zimowe dzieła sztuki. Narty i sanki stały się nagle bezużyteczne. Śnieg, padający na miasto z chmurnego nieba, przemienił się w gorący deszcz, zanim jeszcze dotknął ziemi.

„Rakietowe lato”. Ludzie wychylali się z ociekających wodą werand, obserwując poczerwienia nieba.

Rakieta na polu startowym wydmuchiwała z siebie różowe chmury ognia i hutniczego gorąca. Rakieta stała, w mroźny zimowy poranek każdym tchnieniem swych potężnych silników przywołując lato. Jej dech odmienił klimat i przez krótką chwilę w okolicy zapanował lipiec...

Luty 1999: Ylla

Ich dom na planecie Mars, wsparty na kryształowych filarach, stał na skraju pustego morza i co ranka można było ujrzeć panią K, jak jadła złociste owoce, wyrastające z krystalicznych ścian, albo też sprzątała dom za pomocą garstki magnetycznego pyłu, który unosząc ze sobą cały brud, ulatywał z gorącym wiatrem. Popołudniami, kiedy skamieniałe morze było ciepłe i nieruchome, zaś drzewa winne tkwiły sztywno na dziedzińcu, podczas gdy odległe maleńkie kościane miasteczko zamykało się w swych murach i nikt nie opuszczał budynków, pan K zasiadał w swoim pokoju, czytając metalową księgę, zapisaną wypukłymi hieroglifami, które muskał dłonią niczym muzyk grający na harfie. Pod jego dotykiem z książki odzywał się głos -miękki, pradawny głos, snujący śpiewnie historie o czasach, gdy morze było pełne rudej piany, zaś starożytni ludzie toczyli bitwy, zbrojni w chmary metalowych owadów i elektrycznych pajaków.

Pan i pani K mieszkali nad martwym morzem już dwadzieścia lat. Ich przodkowie od dziesięciu wieków żyli w tym samym domu, obracającym się w ślad za słońcem niczym wielki kwiat.

Pan i pani K nie byli starzy. Mieli jasną, brązową cerę prawdziwych Marsjan, żółte okrągłe oczy, łagodne, melodyjne głosy. Kiedyś lubili malować obrazy chemicznym ogniem, pływać w kanałach w sezonie, gdy drzewa winne wypełniały je zielonymi sokami, i dyskutować do świtu w pokoju rozmów, w blasku błękitnych, fosforyzujących portretów.

Teraz nie byli już szczęśliwi.

Tego ranka pani K stanęła pomiędzy filarami i słuchała, jak piaski pustyni rozgrzewają się, topią niczym żółty wosk i ściekają za horyzont.

Coś miało się wydarzyć.

Czekała.

Patrzyła w błękitne niebo Marsa, jakby w każdej chwili mogło unieść się w bolesnym skurczu i wypuścić z siebie lśniący cud, który opadnie na piasek.

Nic się nie działo.

Znużona czekaniem, przeszła pomiędzy zamglonymi kolumnami. Z ich rozchylonych szczytów trysnęła drobna mżawka, chłodząc rozpalone powietrze i łagodnie ściekając jej po skórze. W gorące dni przypominało to brodzenie w potoku. Posadzki w domu lśniły od setek chłodnych strumyczków. W dali słyszała męża, który niestrudzenie grał na swej książce. Stare pieśni nigdy nie nużyły jego palców. Pani K pragnęła, aby kiedyś poświęcił jej tyle czasu, co swym niezwykłym książkom, tuląc ją i dotykając niczym maleńką harfę.

Ale nie. Potrząsnęła wyrozumiałe głową, niemal niedostrzegalnie wzruszając ramionami. Jej powieki opadły wolno, skrywając złociste oczy. Małżeństwo sprawia, że ludzie, choć nadal młodzi,

popadają w rutynę starości.

Wyciągnęła się na fotelu, który momentalnie dopasował się do jej postawy. Mocno, nerwowo zamknęła oczy.

Natychmiast nawiedził ją sen.

Jej brązowe palce zadrżały, uniosły się, chwytając powietrze. Chwilę później usiadła gwałtownie, zdumiona, dysząc głośno.

Rozejrzała się szybko, jakby oczekiwała, że ujrzy kogoś przed sobą. Przeżyła zawód; przestrzeń pomiędzy filarami pozostała pusta.

Jej mąż pojawił się w trójkątnych drzwiach.

- Wołałaś mnie? - spytał z irytacją.
- Nie! - zaprotestowała.
- Zdawało mi się, że słyszę twój krzyk.
- Naprawdę? Prawie już spałam i miałam sen!
- Za dnia? Nieczęsto ci się to zdarza.

Pani K siedziała bez ruchu, jakby ów sen uderzył ją prosto w twarz.

- Jakie to dziwne, jak bardzo dziwne - mamrotała. - Ten sen.
- Ach tak? - Pan K najwyraźniej pragnął powrócić do swojej książki.
- Śnił mi się mężczyzna...
- Mężczyzna?
- Wysoki, sześć stóp i cal.
- To absurdalne; byłby olbrzymem, niezdarnym olbrzymem.

- W jakiś sposób... - usiłowała znaleźć właściwe słowa - wyglądał normalnie. Mimo swojego wzrostu. A jego oczy - och, wiem, pomyślisz pewnie, że to niemądre - jego oczy były niebieskie!

- Niebieskie oczy! Bogowie! - wykrzyknął pan K. - Co przyśni ci się następnym razem? Może jeszcze miał czarne włosy?

- Skąd wiesz? - Była wyraźnie podniecona.

- Wybrałem najmniej prawdopodobny kolor - odparł chłodno.

- Naprawdę były czarne! - wykrzyknęła. - Miał też bardzo białą skórę... Och! Był naprawdę niezwykły. Ubrany w dziwny mundur, zstąpił z nieba i przemówił do mnie grzecznie. - Uśmiechnęła się.

- Z nieba! Też mi bzdura!

- Przybył w metalowej konstrukcji, lśniącej jak słońce - wspominała. Przymknęła oczy, próbując przywołać ulotną wizję. - Śniłam, że patrzę w niebo, na którym rozbłysła nagle iskra, niczym moneta rzucona w powietrze. Wkrótce plama światła stała się większa, opadła miękko ku ziemi - długa, srebrna, okrągła i zupełnie obca. W jednej ze srebrzystych ścian otwarły się drzwi i wyszedł z nich wysoki mężczyzna.

- Gdybyś ciężiej pracowała, nie miałabyś głupich snów.

- Nawet mi się podobał - odparła, układając się wygodniej. - Nigdy nie posądzałam siebie o tak bogatą wyobraźnię. Czarne włosy, niebieskie oczy i biała skóra! Co za dziwny człowiek, a przecież całkiem przystojny.

- Pobożne życzenia.

- Nie bądź taki. Nie wymyśliłam go specjalnie. Po prostu pojawił się w moich myślach, kiedy zapadłam w drzemkę. Wszystko to zupełnie nie przypominało snu - było tak niespodziewane i inne. Spojrzał na mnie i powiedział: „Przybywam moim statkiem z trzeciej planety. Nazywam się Nathaniel York...”

- To idiotyczne imię; nikt takich nie nosi - zaprotestował mąż.

- Oczywiście, że idiotyczne, pochodzi przecież ze snu - wyjaśniła cicho. - I rzekł: „To pierwsza wyprawa kosmiczna. W statku jest nas tylko dwóch, ja i mój przyjaciel Bert”.

-Jeszcze jedno głupie imię.

- Powiedział też: „Przybywamy z miasta na Ziemi; tak nazywa się nasza planeta” - ciągnęła dalej pani K. - To jego słowa, Ziemia, takiej nazwy użył. Posługiwał się też obcym językiem. W jakiś sposób zdołałam go zrozumieć. Samym umysłem. Pewnie to telepatia.

Pan K odwrócił się, przystanął jednak na wezwanie żony.

- Yll? - zawołała cicho. - Zastanawiałeś się kiedykolwiek, czy... no cóż, czy na trzeciej planecie naprawdę żyją ludzie?

- Trzecia planeta nie nadaje się do życia - odparł cierpliwie mąż. - Nasi naukowcy stwierdzili, że w jej atmosferze jest stanowczo zbyt wiele tlenu.

- Pomyśl jednak, czyż nie byłoby to fascynujące, gdyby rzeczywiście tam żyli i wyruszyli w

przestrzeń jakimś statkiem?

- Naprawdę, Ylla, wiesz, że nie znoszę emocjonalnych wybuchów. Wracaj do pracy.

* * *

Później tego samego dnia, krążąc pomiędzy szemrzącymi deszczowymi filarami, zaczęła śpiewać piosenkę, którą powtarzała bez końca raz za razem.

- Co to za pieśń? - warknął w końcu jej mąż, siadając przy ognistym stole.

- Nie wiem - uniosła wzrok zaskoczona, z niedowierzaniem zakrywając usta dłonią. Słońce zachodziło. W gasnącym świetle dom zamykał się niczym olbrzymi kwiat. Między kolumnami świstał wiatr; wewnątrz ognistego stołu bulgotała kałuża srebrzystej lawy. Wiatr poruszał rdzawymi włosami kobiety, szepcząc jej cicho do uszu. Stała w milczeniu, zapatrzona w bezkresną, płową dal morskiego dna, jakby przywoływała jakieś wspomnienie. Jej żółte oczy były miękkie i wilgotne.

- Wnieś toast, oczu twoich mowa uczucie me zaklina... - zaintonowała cicho, powoli. - Twój pocałunek, w szkle zamknięty, słodszy mi jest od wina. - Z zamkniętymi oczyma, poruszając delikatnie dłońmi na wietrze, zanuciła melodię.

Pieśń była bardzo piękna.

- Nigdy wcześniej tego nie słyszałem. Sama ją ułożyłaś? - spytał mąż, obserwując ją czujnie.

- Nie. Tak. Naprawdę nie wiem - zawahała się, oszołomiona. - Nie mam nawet pojęcia, co to za słowa. Są w innym języku.

- W jakim?

Jak odrętwiała wrzuciła porcję mięsa do bulgoczącej lawy.

- Nie wiem. - Po chwili wyjęła je upieczone i podała mu na talerzu. - Pewnie wymyśliłam to wszystko. To szaleństwo. Nie mam pojęcia dlaczego.

Nie odpowiedział. Patrzył, jak topiła płaty mięsa w syczącym zbiorniku ognia. Słońce już zaszło. Noc powoli sączyła się do pokoju, pochłaniając kolumny i ich samych niczym ciemne wino, oblewające sufit. Ich twarze oświetlał jedynie srebrzysty blask lawy.

Kobieta znów zanuciła dziwną pieśń.

Jej mąż natychmiast zerwał się z krzesła i wiedziony gniewem wypadł z pokoju.

* * *

Później samotnie dokończył kolację.

Kiedy wstał, przeciągnął się, zerknął na nią i ziewnął.

- Może weźmiemy płomieniste ptaki i polecimy do miasta, aby się zabawić?
- Chyba nie mówisz poważnie? Dobrze się czujesz?
- Co w tym takiego dziwnego?
- Od sześciu miesięcy nie oddawaliśmy się rozrywkom.
- Uważam, że to dobry pomysł.
- Cóż za nagła troska? - zdziwiła się.
- Nie mów tak - odparł rozdrażniony. - Chcesz jechać czy nie?

Kobieta spojrzała na bladą pustynię. Dwa białe bliźniacze księżycy już weszły. Wokół jej stóp szemrała zimna woda. Kobieta zadrzała. Jakże pragnęła pozostać tu, siedząc w pokoju, cicho, bez ruchu, póki nie wydarzy się to, na co czekała przez cały dzień. Rzecz nieprawdopodobna, a przecież możliwa. W jej umyśle zadźwięczała zbłąkana nuta.

-Ja...

- Dobrze ci to robi - nalegał. - No chodź.
- Jestem zmęczona - odparła. - Może kiedy indziej.
- Masz tu szal - podał jej ampułkę. - Od miesięcy nigdzie się nie wyprawialiśmy.
- Dwa razy w tygodniu odwiedzasz miasto Xi - przypomniała, nie patrząc na niego.
- W interesach - odrzekł.
- Ach, tak? - szepnęła do siebie.

Z ampułki wylał się płyn, błękitna mgiełka, która dygocząc otuliła jej szyję.

* * *

Ogniste ptaki już czekały, połyskując na gładkim, chłodnym piasku niczym garść rozżarzonych węgli. Białe baldachim, uwiązany do ptaków tysiącem zielonych wstążek, wydymał się na nocnym wietrze, łopocząc cicho.

Ylla ułożyła się na białym łożu, a wówczas poderwane jednym słowem jej męża ptaki zerwały się z ziemi i niczym stado iskier wleciały w mroczne niebo. Wstęgi napięły się, pociągając baldachim. Piasek z jękiem umknął w dal. Przeptywali nad niebieskimi wzgórzami, pozostawiając za sobą swój dom, deszczowe filary, kwiaty zamknięte w klatkach, śpiewające księgi, strumienie,

szeptające na posadzkach. Kobieta nie patrzyła na swego męża. Słyszała, jak wykrzykiwał coś do ptaków, gdy wznosiły się w górę, niby dziesięć tysięcy rozpalonych ognistych drobin, czerwono-żółtych fajerwerków. Smuga ognia frunęła z wiatrem, ciągnąc za sobą biały żagiel, samotny płatek wielkiego kwiatu.

Nie spojrziała nawet na znikające w dole martwe, pradawne miasta ani na stare kanały, wypełnione pustką i snami. Lecieli, mijając suche rzeki i jeziora, niczym cień księżycy, płonąca pochodnia.

Ylla spoglądała w niebo.

Jej mąż odezwał się cicho.

Patrzyła w dal.

- Słyszałaś, co powiedziałem?

-Co?

Powoli wypuścił powietrze.

- Mogłabyś uważać.

- Myślałam o czymś.

- Nigdy nie przypuszczałem, że pociąga cię natura, a przecież dziś wyraźnie zapatrzyłaś się w niebo - rzekł.

-Jest bardzo piękne.

- Zastanawiałem się - oznajmił wolno mąż. - Pomyślałem, że może zadzwonię dziś do Hullego. Chciałbym go uprzedzić, że wybierzemy się na jakiś czas w Góry Błękitne i spędzimy tam tydzień czy dwa. Na razie to tylko pomysł, ale...

- Góry Błękitne! -Jej dłoń zacisnęła się na skraju żagla.

- To tylko luźna propozycja.

- Kiedy chcesz jechać? - spytała drżąc.

- Może jutro rano? Wiesz, lepiej zacząć od razu, nie czekając - odparł, jak gdyby nigdy nic.

- Ale nigdy tam nie jeździmy o tak wczesnej porze roku!

- Uznałem, że moglibyśmy spróbować - uśmiechnął się. -Wyjazd dobrze nam robi. Trochę spokoju i ciszy, no wiesz. Nie masz chyba innych planów? Pojedziemy, prawda?

Kobieta odetchnęła, odczekała chwilę, po czym odparła:

-Nie.

- Co takiego? -Jego krzyk spłoszył ptaki. Żagiel zakołysał się gwałtownie.

- Nie - powtórzyła stanowczo. -Już zdecydowałam. Nie pojedę.

Zmierzył ją wzrokiem. Potem nie rozmawiali już. Odwróciła głowę.

Ptaki fruwały dalej, dziesięć tysięcy ognistych różdżek unoszonych wiatrem.

* * *

O świetle promienie słońca przenikające przez kryształ kolumn stopiły opar, podtrzymujący śpiącą Yllę. Przez całą noc kobieta unosiła się nad podłogą na miękkim posłaniu mgły, wylewającej się ze ścian. Uspiona, płała się w nurcie milczącej rzeki niczym łódź, unoszona falą przyływu. Teraz słońce wypaliło opar, poziom mgły obniżył się, składając kobietę na brzegu jawy.

Otworzyła oczy i ujrzała nad sobą męża.

Wyglądał, jakby stał tak od paru godzin, obserwując ją. Nie wiedziała dlaczego, nie potrafiła jednak spojrzeć mu prosto w oczy.

- Znów miałaś majaki - oznajmił. - Mówiłaś przez sen i obudziłaś mnie. Naprawdę uważam, że powinnaś pomówić z doktorem.

- Nic mi nie jest.

- Paplałaś jak najęta.

- Naprawdę? - zdumiała się.

W pokoju panował chłód poranka. Gdy tak leżała, czuła, jak wypełniają szary brzask.

- Co ci się śniło?

Zastanowiła się przez moment, usiłując sobie przypomnieć.

- Statek. Znów przybył z nieba, wylądował i wyszedł z niego wysoki mężczyzna, który przemówił do mnie, żartując i śmiejąc się. To było bardzo przyjemne.

Pan K dotknął kolumny. Natychmiast wystrzeliły z niej fontanny ciepłej parującej wody, przeganiając chłód. Twarz mężczyzny nie wyrażała niczego.

- A potem - ciągnęła dalej kobieta - ten człowiek o dziwnym imieniu, Nathaniel York, powiedział, że jestem piękna i - pocałował mnie.

- Ha! -wykrzyknął mąż, gwałtownie odwracając głowę. Zaciśnął nagle szczęki.

- To tylko sen - stwierdziła z rozbawieniem.

- Zatrzymaj swoje głupie, babskie sny dla siebie!

- Zachowujesz się jak dziecko. - Odchyliła głowę, wsparta na resztkę chemicznego oparu. Po chwili zaśmiała się cicho. - Przypomniałam sobie jeszcze coś z tego snu - wyznała.

- Co to było? Co? - wykrzyknął.

- Yll, jesteś strasznie zły.

- Powiedz mi! - zażądał. - Nie powinnaś mieć przede mną sekretów. - Spoglądał na nią z góry z gniewną, zachmurzoną twarzą.

- Nigdy dotąd nie widziałam cię takim - odparła z mieszaniną zdumienia i rozbawienia. - To nic wielkiego. Ten nieznajomy, Nathaniel York, powiedział mi - cóż, powiedział, że zabierze mnie na swój statek, i dalej, w niebo, że polecę z nim na jego planetę. To naprawdę śmieszne.

- Ach, tak, śmieszne! - niemal krzyknął. - Powinnaś posłuchać samej siebie. Łasiłaś się do niego, rozmawiałaś z nim, śpiewałaś - och, bogowie, trzeba było cię słyszeć!

-Yll!

- Kiedy ląduje? Gdzie posadzi swój przeklęty statek?

- Yll, nie podnoś głosu.

- Niech licho porwie mój głos! - Nachylił się nad nią sztywno. - A w twoim śnie - pochwycił nadgarstek żony - czyż statek nie wylądował tu, w Zielonej Dolinie? Odpowiedz!

-Ależ tak...

- I to dziś po południu, prawda? - nalegał.

- Owszem, tak mi się zdaje. Ale tylko we śnie!

- No - odepchnął jej rękę - przynajmniej mówisz prawdę. Słyszałem każde słowo, które wypowiedziałaś we śnie. Cały czas wspominałaś dolinę. - Oddychając głośno, wędrował pomiędzy filarami niczym człowiek oślepiiony błyskawicą. Powoli jego oddech wracał do normy. Kobieta patrzyła na niego, jakby oszalał. Wreszcie wstała i podeszła do męża.

- Yll - szepnęła.

- Nic mi nie jest.

-Jesteś chory.

- Nie. - Zmusił swą znużoną twarz do uśmiechu. - To tylko dziecinada. Wybacz mi, kochana. - Poklepał ją lekko. - Ostatnio zbyt wiele pracowałem. Przepraszam. Chyba położę się na chwilę.

- Byłeś taki podekscytowany.

-Już mi przeszło. Wszystko w porządku. - Odetchnął. - Zapomnijmy o tym. Wiesz, wczoraj słyszałem dowcip o Uelu. Zamierzałem ci go powtórzyć. Co powiesz na to, żebyś przyrządziła śniadanie, a ja opowiem mój dowcip i nie wspomnimy już o tym więcej.

- To był tylko sen.

- Oczywiście. - Machinalnie pocałował ją w policzek. - Tylko sen.

* * *

W południe gorące słońce stało wysoko na niebie. Wzgórza migotały w jego blasku.

- Nie wybierasz się do miasta? - spytała Ylla.

- Do miasta? - Lekko uniósł brwi.

- Przecież dzisiaj jest dzień, kiedy zawsze jeździsz do miasta. - Poprawiła kwietną klatkę, stojącą na postumencie. Kwiaty poruszyły się, otwierając zgłodniałe żółte pyszczki.

Zamknął książkę.

- Nie. Jest za gorąco i zbyt późno.

- Ach tak. - Zostawiwszy klatkę, ruszyła ku drzwiom. - Niedługo wrócę.

- Chwileczkę! Dokąd idziesz? Odwróciła się już w progu.

- Do Pao. Zaprosiła mnie.

- Dziś?

- Dawno już jej nie widziałam. To niedaleko.

- W Zielonej Dolinie, prawda?

- Owszem. Krótki spacer. Pomyślałam, że... - Potok pospiesznych słów urwał się nagle.

- Przepraszani, naprawdę przepraszam. - Mąż podbiegł do niej i wprowadził do środka, niezwykle zakłopotany własnym roztargnieniem. - Wyleciało mi to z głowy. Zaprosiłem na dziś doktora Nile.

- Doktora Nile! - Cofnęła się w stronę drzwi. Chwycił ją za łokieć i pociągnął ku sobie.

- Tak, ale Pao...

- Pao może zaczekać, Ylla. Musimy przyjąć Nillego.

- Tylko na chwilę...

- Nie, Ylla.

-Nie? Potrząsnął głową.

- Nie. Zresztą Pao nie mieszka wcale tak blisko. Po drugiej stronie Zielonej Doliny, za Wielkim Kanałem, i jeszcze dalej. Zgadza się? Wkrótce będzie bardzo gorąco. A poza tym doktor Nile bardzo ucieszy się na twój widok. I co?

Nie odpowiedziała. Pragnęła wyrwać się i uciec. Zacząć krzyczeć w głos. Jednakże usiadła tylko na krześle, powoli wyłamując palce, wpatrując się w nie bez wyrazu, schwytna w pułapkę.

- Ylla? - mruknął. - Będziesz tu, prawda?

- Tak - odparła po długiej chwili. - Będę.

- Przez całe popołudnie? Jej głos zabrzmiał głucho.

- Przez całe popołudnie.

* * *

Czas mijał, a doktor Nile nie pojawiał się. Mąż Mli nie był tym specjalnie zdumiony. Późnym popołudniem mruknął coś, podszedł do szafy i wyjął z niej złowrogą broń - długą, żółtawą tuleję, zakończoną miechem i spustem. Gdy się odwrócił, ujrzała, że jego twarz okrywa wykuta ze srebrzystego metalu beznamiętna maska, którą zakładał zawsze, kiedy pragnął zachować dla siebie swe uczucia; maska, przylegająca dokładnie do jego kanciastych policzków, podbródka i czoła. Metal lśnił, zaś mąż Ylli obracał w dłoniach broń. Strzelba brzęczała nieustannie niczym ogromny owad. Za naciśnięciem spustu wyrzucała z siebie z piskiem roje złocistych pszczoł - straszliwych pszczoł, które wbijały w ofiarę zatrute żądła i padały martwe na piasek niczym garść suchych nasion.

- Dokąd idziesz? - spytała.

- Proszę? - Mężczyzna przyłożył ucho do miecha, zasłuchany w złowieszcze bzyczenie. - Skoro doktor Nile się spóźnia, nie zamierzam na niego czekać. Wybiorę się na polowanie. Wkrótce wrócę. Ty jednak zostaniesz tu chyba, prawda? - Srebrzysta maska rozbłysła.

-Tak.

- Powiedz doktorowi, że niedługo się zjawię. To tylko małe polowanie.

Trójkątne drzwi zamknęły się. Odgłos jego kroków ucichł za wzgórzem.

Odprowadziła go wzrokiem, póki nie zniknął wśród plam słonecznego blasku. Następnie podjęła codzienną pracę, rozrzucając magnetyczny pył i zbierając owoce, wyrastające z kryształowych ścian. Oddawała się swym zajęciom z energią i zapałem, od czasu do czasu jednak ogarniało ją dziwne zubożenie i nagle uświadamiała sobie, że śpiewa ową dziwną, wpadającą w ucho pieśń i poprzez kolumny z kryształu spogląda w niebo.

Wstrzymywała oddech, stając bez ruchu. Czekwała.

Zbliżało się.

Mogło nastąpić w każdej chwili.

Czuła się zupełnie jak w jeden z tych dni, kiedy słyszemy nadciągającą burzę. Wokół panuje wyczekująca cisza i nagle ciśnienie zmienia się niepostrzeżenie, w miarę jak burza wędruje nad ziemią wśród podmuchów wiatru, kłębow mgły i cieni. Powietrze napiera nam na uszy, kiedy tak tkwimy zawieszeni w oczekiwaniu na nadejście burzy. Zaczynamy dygotać. Niebo ciemnieje, jego barwa pogłębia się, chmury gęstnieją; góry nabierają odcienia stali. Zamknięte w klatkach kwiaty wydają z siebie słabe, ostrzegawcze westchnienia. Czujemy, jak nasze włosy poruszają się powoli. Gdzieś w domu zegar wyśpiewuje cicho: „Czas, czas, czas, czas...”, niczym woda skapująca na aksamit.

A potem przychodzi burza. Elektryczny blask, zasłony ciemności, pełnej odgłosów czerni opadają na ziemię, zamykając ją na zawsze w swych objęciach.

Tak było i teraz. Zbierało się na burzę, choć niebo pozostało czyste. Lada moment miał błysnąć piorun, choć nie było ani śladu chmur.

Ylla wędrowała po wyczekującym letnim domu. Błyskawica mogła zajaśnieć w każdej chwili; grom, chmura dymu i cisza, a potem kroki na ścieżce, stukanie do kryształowych drzwi, ona zaś pobiegnie, by otworzyć...

Oszalałaś, Ylla! - Upomniała samą siebie. Po co zaprzątasz swój próżny umysł zwariowanymi myślami?

I wówczas to się zdarzyło.

W powietrzu rozeszła się fala gorąca, jakby po niebie przeleciał potężny ogień. Rozległ się wibrujący świst. Na niebie rozbłysła metaliczna iskierka.

Ylla wykrzyknęła w głos.

Przebiegła między filarami i szeroko rozwarła drzwi, spoglądając wprost na wzgórze. Jednakże do tej chwili wszystko zniknęło.

Już zamierzała ruszyć biegiem w dół zbocza, powstrzymała się jednak. Miała tu zostać,

nigdzie nie odchodzić. Lekarz przybywał z wizytą, a mąż pogniewałby się, gdyby odeszła.

Czekała przy drzwiach, oddychając szybko i wyciągając przed siebie rękę.

Wyteżonym wzrokiem spoglądała w stronę Zielonej Doliny, nic jednak nie dostrzegła.

Niemądra kobieta. Wróciła do środka. Ty i twoja wyobraźnia - pomyślała. Nic tam nie było, tylko ptak, liść, wiatr, a może ryba w kanale. Usiądź. Odpocznij.

Usiadła.

W dali huknął strzał.

Wyraźny, ostry dźwięk złowieszczej owadziej strzelby.

Cale jej ciało szarpnęło się konwulsyjnie.

Odgłos dochodził z bardzo daleka. Jeden strzał. Błyskawiczny bzyk odległych pszczół. Jeden. A potem drugi, chłodny, dokładny i odległy.

Ciało jej sprężyło się ponownie. Z niewiadomych przyczyn skoczyła na równe nogi, krzycząc, krzycząc bez ustanku. Jak opętana przebiegła przez dom i powtórnie szeroko otworzyła drzwi.

Echa zamierały w dali.

Ucichły.

Przez pięć minut z poważną twarzą czekała na podwórzu. Wreszcie, stąpając powoli, ze zwieszoną głową, rozpoczęła wędrówkę po pełnych kolumn pomieszczeniach, kładąc dłonie na najróżniejszych przedmiotach. Jej wargi drżały. W końcu usiadła, czekając. W pokoju dziennym zapadał zmrok i Ylla zaczęła przecierać rąbkiem szala bursztynowe szkło.

I wówczas usłyszała dobiegający z dala odgłos kroków chrzęszczących po kamykach.

Podniosła się z miejsca, stając pośrodku cichego pokoju. Kieliszek wypadł jej z palców i roztrzaskał się na kawałki.

Tuż przed drzwiami kroki przystanęły.

Czy powinna przemówić? Może wykrzyknąć: „Wejdz, ach, wejdz!”?

Postąpiła parę kroków naprzód.

Stopy na zewnątrz wkroczyły na rampę. Czyjaś dłoń przekręciła zatrask.

Ylla uśmiechnęła się w stronę wejścia.

Drzwi otwarły się i uśmiech kobiety zniknął.

To był jej mąż. Srebrna maska lśniła martwym blaskiem. Wszedł do pokoju i przez moment przyglądał się jej, po czym otworzył miech strzelby, wytrząsnął z niego dwie martwe pszczoły, które z piaskiem uderzyły o podłogę, rozdeptał je i umieścił pustą broń w rogu pomieszczenia, podczas gdy Ylla nachyliła się, próbując zebrać odłamki strzaskanego szkła - bez powodzenia.

- Co porabiałeś? - spytała.

- Nic - odparł, zwrócony do niej plecami. Powoli zdjął maskę.

- Słyszałam, jak strzelałeś. Dwukrotnie.

- Tylko polowałem. Od czasu do czasu lubię to. Czy przyjechał już doktor Nile?

- Nie.

- Chwileczkę. - Z niesmakiem pstryknął palcami. - Teraz dopiero sobie przypominam. Miał nas odwiedzić jutro po południu. Co za dureń ze mnie.

Usiedli do posiłku. Ylla spojrzała najedzenie, nie sięgając po nie.

- Co ci się stało? - spytał, całkowicie zaabsorbowany zanurzaniem swego mięsa w bulgoczącej lawie.

- Nie wiem. Nie jestem głodna - odparła.

- Czemu nie?

- Nie mam pojęcia; po prostu nie jestem. Na dworze zrywał się wiatr; słońce zachodziło. Mały pokój wydał jej się nagle nieprzyjemnie zimny.

- Próbowałam sobie przypomnieć - rzekła w ciszy do siedzącego naprzeciwko chłodnego, sztywnego, złotoookiego męża.

- Przypomnieć sobie? Co? - Pociągnął łyk wina.

- Tę pieśń. Tę piękną, wzruszającą pieśń. - Przymknęła oczy i zanuciła melodię, jednakże nie tę, o której wspomniała. - Zapomniałam ją. Choć, co dziwne, nie chcę tego. Pragnę na zawsze zapamiętać te słowa. - Poruszyła rękami, jakby rytm mógł jej pomóc przypomnieć sobie zapomniane strofy. Po chwili odchyliła się na krześle. - Nie pamiętam - szepnęła przez łzy.

- Czemu płaczesz? - spytał.

- Nie wiem, nie wiem, ale nie mogę się powstrzymać. Jest mi smutno, nie mam pojęcia dlaczego. Płaczę i nie wiem czemu. Ale nie mogę przestać.

Skryła twarz w dłoniach; jej ramiona unosiły się i opadały.

-Jutro wszystko będzie dobrze - rzekł.

Nie patrzyła na niego. Widziała przed sobą jedynie pustkowie i oślepiająco jasne gwiazdy, rozbłyskujące na czarnym niebie. Z dali dobiegł ją skowyt wiatru i szum zimnych wód w długich kanałach. Dygocząc zamknęła oczy.

- Tak - powiedziała. - Jutro wszystko będzie dobrze.

Sierpień 1999: Letnia Noc

Na kamiennych galeriach, wśród cieni zalegających zbocza błękitnych wzgórz, zebrały się grupki ludzi. Na ich postaci padało miękkie wieczorne światło gwiazd i jasny blask dwóch księżyców Marsa. Poza marmurowym amfiteatrem, w mroku i dali, drzemały miasteczka i wille; zbiorniki srebrzystej wody trwały w bezruchu, sieć błyszczących kanałów łączyła horyzonty. Był letni wieczór na spokojnej, umiarkowanej planecie Mars. Na zielonych jak wino kanałach unosiły się łodzie, delikatne niczym brązowe kwiaty. W długich, niekończących się siedzibach, wijących się wśród wzgórz niczym uśpione węże, kochankowie leżeli w chłodnych nocnych łóżach, szepcząc leniwie do siebie. Ostatnie grupki dzieciarni uganiały się po skąpanych w blasku pochodni uliczkach, ściskając w dłoniach złote pająki, które wyrzucały przed siebie zwiewną mgiełkę sieci. Tu i ówdzie na stołach bulgotała srebrzysta lawa i dopiekały się spóźnione kolacje. W amfiteatrach setek miast po nocnej stronie Marsa brązowoskórzy Marsjanie o oczach jak złote monety gromadzili się powoli, skupiając uwagę na stojących na scenach muzykach. Wzruszające melodie unosiły się w nieruchomym powietrzu niczym słodka woń kwiatów.

Na jednej ze scen kobieta zaintonowała pieśń.

Widownia zaszemrała.

Kobieta urwała, unosząc dłoń do gardła. Skinęła głową akompaniatorom, którzy podjęli przerwana melodię.

Muzycy grali, a ona śpiewała i tym razem widownia westchnęła, nachylając się ku nim. Kilku mężczyzn wstało nawet z miejsc. Po plecach zebranych przeszedł zimny dreszcz. Pieśń bowiem, którą śpiewała kobieta, była dziwna, przerażająca i nieznana. Śpiewaczka usiłowała powstrzymać słowa, cisnące się jej na usta, a brzmiały one tak:

Stąpa, o piękna, noc bez brzasku,

Bezchmurne niebo, morze gwiazd;

Wszystko, co dobre, z mroku, blasku,

W jej oczach się spotyka wraz...

Śpiewaczka przycisnęła dłonie do ust. Rozejrzała się oszołomiona.

- Co to za słowa? - spytali muzycy.

- Co to za pieśń?

- Co za język!

A kiedy ponownie zadęli w złote rogi, wylała się z nich fala obcej muzyki, która powoli spłynęła po amfiteatrze. Tymczasem słuchacze zaczęli wstawać z miejsc, rozmawiając głośno.

- Co się z tobą dzieje? - pytali się nawzajem muzycy.

-Jaką melodię zagrałeś?

-A ty?

Kobieta rozplakała się i uciekła ze sceny, zaś widzowie opuścili amfiteatr. Podobne wypadki zaszły we wszystkich ogarniętych nerwową gorączką miastach Marsa. Dosięgło ich tchnienie chłodnym białym śniegiem padającym z nieba.

W mrocznych uliczkach, w blasku pochodni, dzieci śpiewały:

...lecz tak się zdarzyło, w szafce nic nie było, I pies musiał obejść się smakiem!

- Dzieci! - nawoływały głosy. - Co to za wierszyk? Skąd go znacie?

- Właśnie go wymyśliliśmy, ot tak. To tylko słowa, których nie rozumiemy.

Trzaskały drzwi. Ulice opustoszały. Ponad błękitnymi wzgórzami weszła zielona gwiazda.

Na całej nocnej półkuli Marsa kochankowie budzili się, słysząc swych najdroższych nucących w ciemności.

- Co to za melodia?

A w tysiącach willi, pośrodku nocy, kobiety zrywały się z krzykiem. Mężowie musieli uspokajać je, osuszać spływające po policzkach łzy.

- No już dobrze, dobrze. Śpij. Co się stało? Miałaś zły sen?

- Rankiem wydarzy się coś strasznego.

- Nic się nie stanie, u nas wszystko dobrze. Hysteryczny szloch.

- To się zbliża, coraz bardziej i bardziej!

- Nic się nie wydarzy. Co mogłoby nas spotkać? Spij już. Spij.

Nad ranem na Marsie panowała cisza. Świat przypominał czarną chłodną studnię, w wodach kanałów odbijały się gwiazdy, a w pokojach rozbrzmiewały spokojne oddechy. Dzieci kulili się w łózkach, ściskając w dłoniach pająki, kochankowie spali objęci, księżycy już zaszły; wypalone pochodnie były zimne, kamienne amfiteatry - puste.

Jedynym dźwiękiem, mącąym spokój przedświtu, był głos nocnego stróża, wędrującego w dali samotną ulicą i nucącego w ciemności niezwykłą piosenkę...

Sierpień 1999: Ziemia

Ktokolwiek dobijał się do ich domu, nie miał zamiaru przestać. Pani Ttt gwałtownie otworzyła drzwi.

- Słucham?

- Mówi pani po angielsku? - Stojący przed nią mężczyzna wydawał się zaskoczony.

- Mówię, jak mówię - odparła.

- To cudowna angielszczyzna! - Nieznajomy miał na sobie mundur. Towarzyszyło mu trzech innych, wyraźnie podekscytowanych mężczyzn. Uśmiechali się; ich stroje pokrywał kurz.

- Czego chcecie? - spytała pani Ttt.

- Pani jest Marsjanką! - mężczyzna uśmiechnął się do niej. - Z pewnością to słowo nic dla pani nie znaczy. Pochodzi z języka Ziemi. - Skinął głową w stronę swych towarzyszy. - Przybywamy z Ziemi. Ja jestem kapitan Williams. Niecałą godzinę temu wylądowaliśmy na Marsie. I oto jesteśmy! Druga Wyprawa! Przed nami była Pierwsza Wyprawa, nie wiemy jednak, co się z nią stało. Ale my dotarliśmy tutaj. A pani jest pierwszą Marsjanką, jaką spotkaliśmy!

- Marsjanką? - Jej brwi powędrowały w górę.

- Chcę przez to powiedzieć, że mieszka pani na czwartej planecie od Słońca. Zgadza się?

- To oczywiste - warknęła, mierząc go wzrokiem.

- A my - przycisnął do piersi pulchną różową dłoń - pochodzimy z Ziemi. Zgadza się, chłopcy?

- Tak jest! - zawtórował mu chór.

- To jest planeta Tyrr - poinformowała ich - jeśli chcecie użyć właściwej nazwy.

- Tyrr, Tyrr. - Kapitan zaśmiał się ze znużeniem. - Cóż za piękna nazwa! Ale, moja dobra kobieto, jak to możliwe, że mówi pani po angielsku?

- Ja nie mówię, ja myślę - odparła. - Telepatia! Miłego dnia! - I zatrzasnęła drzwi.

W chwilę później ów okropny mężczyzna znów zaczął stukać. Szarpnęła klamkę.

- Co znowu? - spytała.

Mężczyzna nadal tam stał; oszołomiony, próbował się uśmiechnąć. Wyciągnął ku niej rękę.

- Chyba pani nie rozumie...

- Czego? - prychnęła. Spojrzał na nią zdumiony.

- Przybywamy z Ziemi!

- Nie mam czasu - odparła. - Czekam na dziś mnóstwo gotowania. Poza tym muszę posprzątać, przesyć parę rzeczy. Pewnie chcecie zobaczyć się z panem Ttt; jest na górze, w swoim gabinecie.

- Zgoda - odparł Ziemiak, wyraźnie zagubiony. - Chętnie spotkamy się z panem Ttt.

- Jest zajęty. - Znów trzasnęła drzwiami.

Tym razem pukanie zabrzmiało wyjątkowo impertynencko.

- Proszę posłuchać! - krzyknął mężczyzna na jej widok i podskoczył, jakby chciał ją przerazić. - Nie tak traktuje się gości!

- Moja czysta podłoga! - zawołała. - Błoto! Wynocha! Jeśli chcecie wejść do mojego domu, najpierw umyćcie buty.

Mężczyzna spojrział z desperacją na swe zabłocone nogi.

- Nie czas na trywialne rozmówki - rzekł. - Powinniśmy raczej świętować. - Przez długą chwilę przyglądał się jej, jakby wzrok mógł sprawić, by zrozumiała znaczenie jego słów.

- Jeśli przez was opadną mi kryształowe bułeczki w piekarniku - rzuciła - zbiję was kawałkiem drewna. - Zajrzała do rozgrzanego piekarnika, po czym wróciła zdyszana, zaczerwieniona. Jej oczy płonęły jaskrawą żółcią, skóra była jasna i brązowa, ruchy smukłej postaci szybkie jak u owada. Głos brzmiał ostro, metalicznie. - Zaczekajcie tu. Zobaczą, czy pan Ttt zechce was przyjąć. W jakiej sprawie przychodzicie?

Mężczyzna zaklął z ponurą miną, jakby wymierzyła mu cios młotkiem w rękę.

- Proszę mu powtórzyć, że przybywamy z Ziemi i że nigdy wcześniej tego nie dokonano.

- Czego? - Uniosła brązową dłoń. - Nieważne. Zaraz wrócę.

Odeszła. Jeszcze przez chwilę słyszeli tupot jej stóp na kamiennej posadzce.

Na zewnątrz niewiarygodnie niebieskie marsjańskie niebo było gorące i nieruchome niczym ciepły, głęboki ocean. Marsjańska pustynia drzemała pod nim jak rozpalony gliniany garnek. Z jej piasku wznosiły się fale rozedrganego powietrza. Na zboczu pobliskiego wzgórza leżała niewielka rakietka. Wyraźne ślady stóp prowadziły od niej aż do drzwi pierwszego domu.

Na górze rozległy się odgłosy kłótni. Mężczyźni czekający za progiem spojrzeli po sobie,

przestępując z nogi na nogę, pstrykając palcami i zatykając kciuki za pasy na biodrach. Męski głos wykrzyknął coś gniewnie. Odpowiedział mu głos kobiety. Po jakimś kwadransie znudzeni wyczekiwaniem Ziemianie zaczęli wchodzić i wychodzić kuchennymi drzwiami

- Papierosa? - zaproponował jeden z nich.

Jego kolega wyjął paczkę. Zapalili, wypuszczając z ust długie strumienie bladego dymu. Wyglądali mundury, poprawiali kołnierze. Głosy na górze mamrotały coś, podśpiewywały. Dowódca przybyszów zerknął na zegarek.

- Dwadzieścia pięć minut - rzekł. - Zastanawiam się, co tam robią. - Podeszedł do okna i wyjrzał.

- Upalny dzień - zauważył jeden z ludzi.

- Owszem - przytaknął drugi.

Było wczesne leniwe popołudnie. Głosy opadły do szeptu, by po chwili zamilknąć zupełnie. W całym domu nie rozbrzmiewał nawet najśłabszy dźwięk. Mężczyźni słyszeli jedynie swe własne oddechy.

Minęła godzina ciszy.

- Mam nadzieję, że nie spowodowaliśmy jakichś kłopotów - stwierdził kapitan. Przeszedł przez kuchnię i zajrzał do salonu.

Pani Ttt była tam; podlewała kwiaty, rosnące pośrodku pomieszczenia.

- Wiedziałam, że o czymś zapomniałam - westchnęła na widok kapitana, przechodząc do kuchni. Podała mu skrawek papieru. - Pan Ttt jest zbyt zajęty - oznajmiła, wracając do gotowania. - Zresztą to nie z nim powinniście się zobaczyć, tylko z panem Aaa. Zanieście tę kartkę na następną farmę nad Błękitnym Kanalem. Pan Aaa wyjaśni wam wszystko, co chcecie wiedzieć.

- Nie chcemy niczego wiedzieć - zaprotestował kapitan, wydymając grube wargi. - My już wiemy.

- Macie kartkę, na co jeszcze czekacie? - spytała otwarcie. Potem nie odezwała się już ani słowem.

- No cóż - powiedział z wahaniem kapitan. Przez chwilę stał, jakby czekał na coś. Wyglądał jak dziecko, patrzące na ogołoconą z ozdób choinkę. - Cóż - dodał w końcu. - Chodźcie, chłopcy.

Czterej mężczyźni wyszli na dwór, w gorący i cichy dzień.

* * *

W pół godziny później pan Aaa, który siedział w bibliotece, sącząc elektryczny ogień z

metalowej filizanki, usłyszał głosy dobiegające z kamiennej grobli. Wychyliwszy się przez okno, ujrzał czterech mężczyzn w mundurach, którzy przyglądali mu się, mrużąc oczy.

- Czy pan nazywa się Aaa? - zawołali.

- Owszem.

- Pan Ttt przysłał nas do pana! - wykrzyknął kapitan.

- Niby czemu? - ryknął pan Aaa.

- Był zajęty!

- To ci nowina - głos pana Aaa ociekał sarkazmem. - Czyżby uważał, że nie mam nic lepszego do roboty niż przyjmować jakichś ludzi, bo on jest zbyt zajęty?

- Nie o to chodzi! - zawołał kapitan.

- Dla mnie o to. Mam mnóstwo zaległych lektur. Pan Ttt zachował się nietaktownie, zresztą to już nie pierwszy raz. Niech pan przestanie machać rękami, póki nie skończę. I proszę słuchać uważnie. Zazwyczaj kiedy mówię, ludzie słuchają, co mam do powiedzenia. Mógłby pan okazać odrobinę uprzejmości.

Czterej mężczyźni na podwórku poruszyli się niespokojnie, otwierając usta. W oczach kapitana błysnęły łzy, na jego skroniach wystąpiły żyły.

- I co - ciągnął dalej pan Aaa - czy według was podobna nie-uprzejmość może ujść panu Ttt płazem?

Czterej mężczyźni patrzyli na niego przez zasłonę gorąca. Kapitan rzekł:

- Przybywamy z Ziemi!

- To naprawdę okropny brak wychowania - zastanawiał się dalej pan Aaa.

- Rakieta. Przylecieliśmy rakieta. Aż tutaj!

- Ttt już nie pierwszy raz okazuje mi brak szacunku.

- Całą drogę z Ziemi.

- Mam pomysł, zadzwonię do niego i powiem mu, co o tym myślę.

- Tylko nas czterech; ja i ci trzej ludzie, moja załoga.

- Zadzwonię, tak, to właśnie zrobię.

- Ziemia. Rakieta. Ludzie. Podróż. Kosmos.

- Zadzwoń i powiem - raz, a dobrze! - krzyknął pan Aaa, po czym zniknął, niczym kukiełka ze sceny. Po minucie zabrzmiały podniesione głosy, przekazywane przez jakieś tajemnicze urządzenie. W dole kapitan i jego załoga spoglądali z utęsknieniem na swoją leżącą na zboczu rakietę, jakże uroczą, słodką, znajomą.

Pan Aaa gwałtownie uniósł szybę; jego twarz przybrała szaleńczo triumfujący wyraz.

- Wyzwałem go na pojedynek, na bogów! Pojedynek!

- Panie Aaa... - przerwał mu łagodnie kapitan.

- Zastrzelę go, słyszycie?

- Panie Aaa, chciałbym coś panu powiedzieć. Przebyliśmy sześćdziesiąt milionów mil.

Pan Aaa przyjrzał mu się uważnie.

- Mówił pan, że skąd jesteście?

Kapitan błysnął zębami w uśmiechu, szepcząc cicho do swych ludzi:

- Nareszcie do czegoś dochodzimy. - Zwracając się do pana Aaa, zawołał: - Pokonaliśmy sześćdziesiąt milionów mil. Przybywamy z Ziemi!

Pan Aaa ziewnął.

- O tej porze roku to jedynie pięćdziesiąt milionów mil. - Uniósł złowrogą broń. - No, muszę już iść. Weźcie ten niemądry liścik, choć doprawdy nie wiem, na co może się wam przydać, i idźcie. Po drugiej stronie wzgórza znajdziecie miasteczko Iopr. Opowiedzcie o wszystkim panu Iii. To właśnie z nim powinniście się zobaczyć. Nie z panem Ttt, to idiota; zabiję go. Nie ze mną, ponieważ nie mieścicie się w moich zawodowych zainteresowaniach.

- Zawodowych zainteresowaniach, zawodowych zainteresowaniach! - prychnął kapitan. - Czy trzeba uprawiać określony zawód, aby przywitać Ziemiaków?

- Ależ tak, przecież wszyscy o tym wiedzą! - Pan Aaa zbiegł na dół. - Do widzenia! - rzucił, pędząc naprzód groblą sztywno niczym cyrkiel.

Czterej podróżni trwali bez ruchu, wstrząśnięci. Wreszcie kapitan rzekł:

- W końcu znajdziemy kogoś, kto nas wysłucha.

- Może powinniśmy odlecieć stąd i wrócić jeszcze raz? - zaproponował posępnie jeden z mężczyzn. - Wystartowalibyśmy i wylądowali ponownie. Dzięki temu zyskaliby czas, by zgotować nam właściwe przyjęcie.

- Całkiem niezły pomysł - mruknął kapitan.

Miasteczko było pełne ludzi, wchodzących i wychodzących z domów, pozdrawiających się nawzajem; twarze ich okrywały złote maski, niebieskie maski, szkarłatne maski - wielość barw to taka przyjemna odmiana! - maski o srebrnych wargach i brwiach z brązu, uśmiechnięte bądź marszczące czoło w zależności od nastroju właściciela.

Czterej mężczyźni, spoceni po długim marszu, przystanęli, pytając napotkaną dziewczynkę, gdzie znajdą dom pana Iii.

- Tam - mała skinęła głową.

Kapitan, czując nowy przypływ zapału, ostrożnie przykucnął, spoglądając prosto w słodką, młodą twarz.

- Dziewczynko, chciałbym z tobą pomówić. - Posadził ją sobie na kolanie, ujmując w swe wielkie dłonie jej małe brązowe rączki jakby szykował ją na przyjęcie bajki na dobranoc, którą powoli i cierpliwie komponował w umyśle, napawając się każdym szczegółem.

- Oto, jak się rzeczy mają, moja mała. Sześć miesięcy temu na Marsa przybyła rakieta. Leciał nią człowiek nazwiskiem York i jego pomocnik. Nie mamy pojęcia, co ich spotkało. Może się rozbili? Przylecieli rakieta, podobnie jak my. Powinnaś ją zobaczyć. To wielki statek. Jesteśmy zatem Drugą Wyprawą, podążającą w ślady Pierwszej, i przebyliśmy całą drogę z Ziemi...

Dziewczynka bez namysłu uwolniła jedną dłoń i nasunęła na twarz pozbawioną wyrazu złotą maskę. Następnie wyjęła zabawkę w kształcie złotego pajaka i upuściła ją na ziemię. Kapitan mówił dalej. Pajak wspiał się posłusznie po jej kolanie, podczas gdy ona przyglądała mu się spokojnie przez szpary w beznamiętnej masce. Kapitan potrząsnął nią lekko, zmuszając, by wysłuchała jego opowieści.

-Jesteśmy Ziemianami - rzekł. - Wierzysz mi?

- Tak. - Dziewczynka spuściła wzrok na palce swych stóp, grzebiące w piasku.

- Świetnie. - Uszczypnął ją lekko w ramię; był to gest na poły jowialny, na poły przykry i złośliwy, mający sprawić, aby na niego spojrzała. - Zbudowaliśmy swą własną rakieta. W to także wierzysz?

Dziewczynka podłubała palcem w nosie.

-Tak.

- Zostaw nos w spokoju, moja panno. Ja jestem kapitanem i...

- I nikt dotąd w dziejach nigdy nie pokonał przestrzeni wielką rakieta - wyrecytowała z zamkniętymi oczyma.

-Wspaniale! Skąd wiedziałaś?

- Och, to tylko telepatia. - Nonszalancko podrapała się po kolanie.

- W ogóle cię to nie wzrusza? - wykrzyknął kapitan. - Nie cieszysz się?

- Lepiej jak najszybciej zobaczcie się z panem Iii. - Upuściła swą zabawkę na ziemię. - Pan Iii chętnie z wami pomówi. - Uciekła, zaś złoty pajak posłusznie śmignął za nią.

Kapitan nadal kuczał w miejscu z wyciągniętą ręką, odprowadzając ją wzrokiem. Jego oczy zaszyły mgłą. Spojrzał na swe puste dłonie i usta rozwarły mu się bezradnie. Pozostali trzej trwali bez ruchu, uwiązani do swych cieni. Kolejno splunęli na kamienną ulicę...

* * *

Pan Iii sam otworzył drzwi. Właśnie wybierał się na wykład, ale jeśli się pospieszą, znajdzie dla nich minutkę. Może zatem wejdą do środka i powiedzą mu, czego chcą...

- Odrobiny uwagi - oznajmił kapitan, patrząc na niego czerwonymi ze zmęczenia oczami. - Przybywamy z Ziemi, mamy raketę, jest nas czterech - załoga i kapitan, jesteśmy wyczerpani, głodni i chcielibyśmy się przespać. Pragnęlibyśmy, aby ktoś oddał nam klucze do miasta, albo coś w tym guście, żeby ucisnął nam ręce mówiąc: „niech żyją” i „moje gratulacje, staruszkule!”. To chyba wszystko.

Pan Iii był wysokim, szczupłym, nijakim mężczyzną. Jego żółte oczy lśniły słabo za grubymi błękitnymi kryształami.

Nachylił się nad biurkiem, z namysłem przeglądając papiery. Od czasu do czasu rzucał swym gościom niezwykle przenikliwe spojrzenie.

- Nie mam chyba przy sobie właściwych formularzy. - Zaczął grzebać w szufladach biurka. - Gdzie mogłem je schować? - zastanawiał się. - Gdzieś. Gdzieś. A, tu są! Proszę! - Energicznie podał papiery przybyszowi. - Oczywiście, będzie pan musiał je podpisać.

- Czy te wszystkie ceregiele są konieczne?

Pan Iii obdarzył go przeciągłym, szklistym spojrzeniem.

- Twierdzi pan, że przybywa z Ziemi, zgadza się? Musi pan zatem podpisać.

Kapitan nabazgrał swoje imię i nazwisko.

- Moja załoga także?

Pan Iii popatrzył na kapitana, na trzech pozostałych mężczyzn i wybuchnął szaleńczym śmiechem i

- Oni mieliby podpisać? Ha! Cudowne! Oni i podpisy! - Z jego oczu trysnęły łzy. Klepnął się po kolanach i nachylił, pozwalając, by salwa śmiechu wystrzeliła z jego otwartych ust. Jedną ręką

przytrzymał się biurka. - Oni mieliby podpisać?

Przybysze skrzywili się.

- Co w tym śmiesznego?

- Oni i podpisy! - westchnął pan Iii, osłabły po ataku radości. - Jakież to zabawne. Będę musiał powtórzyć to panu Xxx! - Nadal zaśmiewając się, przejrzał wypełniony formularz. - Chyba wszystko jest w porządku. - Skinął głową. - Nawet zgoda na eutanazję, jeśli zajdzie potrzeba podjęcia ostatecznej decyzji.

Zachichotał.

- Zgoda na co?

- Niech pan nic nie mówi. Mam coś dla pana. O tu, proszę wziąć ten klucz.

Kapitan zarumienił się.

- To ogromny zaszczyt.

- Nie klucz do miasta, głupcze! - warknął pan Iii. - Otwiera jedynie drzwi Domu. Pójdiesz tym korytarzem, otworzysz wielkie drzwi, wejdiesz do środka i dokładnie zamkniesz je za sobą. Możesz spędzić tam noc. Rano przyślę do ciebie pana Xxx.

Kapitan z powątpiewaniem ujął w dłoń klucz i stał tak, wbijając wzrok w podłogę. Jego ludzie także się nie poruszyli. Zupełnie jakby wraz z rakietową gorączką odpłynęła z nich cała krew. Kompletnie uszło z nich życie.

- O co chodzi? Coś jest nie tak? - spytał pan Iii. - Na co czekasz? Czego chcesz? - Zbliżył się i nachylając się spojrzał prosto w twarz kapitana. - No już, dalej!

- Nie przypuszczam, żeby zechciał pan... - zasugerował kapitan. - To znaczy, gdyby pan spróbował albo pomyślał o... - Zawahał się. - Bardzo ciężko pracowaliśmy, przebyliśmy długą drogę i może mógłby pan uścisnąć nam dłonie i powiedzieć: „Dobra robota! "Jak pan sądzi? -Jego głos załamał się i ucichł.

Pan Iii sztywno wyciągnął rękę.

- Moje gratulacje! - Uśmiechnął się zimno. - Gratuluję - dodał, odwracając się. - Teraz muszę już iść. Skorzystajcie z klucza.

Nie zwracając na nich uwagi, zupełnie jakby zapadli się pod ziemię, pan Iii krążył po pomieszczeniu, wsuwając papiery do niewielkiej teczki. Został tam jeszcze pięć minut, ale nie zwrócił się więcej do milczącej czwórki ludzi, stojących ze zwieszonymi głowami. Zmęczone nogi ciążyły im okrutnie, światło w ich oczach przygasło. Kiedy pan Iii wyszedł na zewnątrz, z zajęciem oglądał swoje paznokcie...

Powłócząc nogami szli korytarzem w mętnym świetle popołudnia. W końcu dotarli do wielkich, pokrytych nalotem srebrnych drzwi, które otworzyli kluczem ze srebra. Weszli, zatraskując za sobą wrota, i odwrócili się.

Ujrzeni przed sobą rozległą słoneczną salę. Kobiety i mężczyźni siedzieli przy stolikach i stali w niewielkich grupkach, prowadząc ożywione dyskusje. Na dźwięk zamykanych drzwi spojrzeli na czterech przybyszów w mundurach.

Jeden z Marsjan wystąpił naprzód i uklonił się.

- Jestem pan Uuu - oznajmił.

- A ja kapitan Jonathan Williams z Nowego Jorku, na Ziemi - odparł beznamiętnie kapitan.

I sala eksplodowała!

Sufit zadrżał od krzyków i wrzasków. Ludzie runęli naprzód, machając rękami i piszcząc radośnie; wywracając stoły wyroili się wokół, chwytając czterech Ziemiaków i unosząc ich w górę. Sześć razy okrążyli salę - od ściany do ściany - podskakując i tańcząc, ze śpiewem na ustach. Przybysze byli tak oszołomieni, że przez pełną minutę pozwalali w milczeniu unosić się tłumowi; dopiero potem zaczęli śmiać się i krzyczeć do siebie:

- Hej! Tak już lepiej!

- To jest życie! Hu, ha! Wiwat!

Mrugali do siebie porozumiewawczo, unosząc ręce klaskali donośnie.

-Hej!

- Hura! - odparł tłum.

W końcu zebrani postawili Ziemiaków na stole. Krzyki ucichły.

Kapitan o mało nie rozplakał się w głos.

- Dziękuję wam. Tak nam miło, tak miło.

- Proszę nam opowiedzieć o sobie - podsunął pan Uuu.

Kapitan odchrząknął i rozpoczął swą historię do wtóru ochów i achów tłumowi. Przedstawił członków załogi; każdy wygłosił krótką mowę, z zakłopotaniem przyjmując gromkie brawa.

Pan Uuu klepnął kapitana po ramieniu.

- Dobrze jest spotkać innego Ziemiaanina. Ja także przybywam z Ziemi.

- Słucham?

- Wielu z nas stamtąd pochodzi.

- Pan? Z Ziemi? - Kapitan spojrzał na niego. - Ale jak to możliwe? Przybył pan rakieta? Czyżby podróże kosmiczne odbywały się od wieków? - W jego głosie zabrzmiała nuta zawodu. - Skąd... z jakiego kraju pan pochodzi?

- Tuiereol. Zjawiłem się tu duchem wiele lat temu.

- Tuiereol. - Kapitan powoli powtórzył tę nazwę. - Nie znam takiego kraju. O co chodzi z tym duchem?

- A panna Rrr, ta, która stoi tam z boku, także przybyła z Ziemi. Nieprawdaż, panno Rrr?

Panna Rrr przytaknęła i zaśmiała się dziwnie.

- Podobnie jak panowie Www, Qqq i Vw!

-Ja jestem z Jowisza - oznajmił jeden z mężczyzn, dumnie unosząc głowę.

-Ja z Saturna - dodał drugi. Jego oczy błysnęły przebiegle.

-Jowisz, Saturn - mruknął kapitan, zaskoczony.

Nagle zapadła cisza. Ludzie skupili się wokół stołów, dziwnie pustych jak na przyjęcie. Ich żółte oczy błyszczały, kości policzkowe rzucały mroczny cień na twarze. Kapitan uświadomił sobie nagle, że w pomieszczeniu nie ma okien, światło zdawało się przenikać ściany. Dostrzegł tylko jedne drzwi. Skrzywił się.

- Gdzie dokładnie leży Tuiereol? Czy niedaleko Ameryki?

- Co to jest Ameryka?

- Nigdy pan nie słyszał o Ameryce? Twierdzi pan, że przyleciał tu z Ziemi, a jednak pan nie wie! Pan Uuu wyprostował się gniewnie.

- Ziemia to planeta mórz i nie ma na niej żadnych lądów. Pochodzę z Ziemi, więc wiem.

- Chwileczkę. - Kapitan usiadł na krześle. - Wygląda pan jak zwyczajny Marsjanin. Żółte oczy. Brązowa skóra.

- Cała Ziemia jest porośnięta dżunglą - oznajmiła z godnością panna Rrr. - Przybywam z Orri, na Ziemi, cywilizacji srebra!

Kapitan powiódł wzrokiem od pana Uuu do panów Www, Zzz, Nnn, Hhh i Bbb. Ich żółte oczy rozbłyskały i przygasały w świetle, raz ostre, to znów rozmyte. Zadrżał. Wreszcie odwrócił się do swych ludzi i przyjrzał się im z powagą.

- Zdajecie sobie sprawę, gdzie trafiliśmy?

- Gdzie, kapitanie?

- To nie jest uroczystość - odparł dowódca ze znużeniem. - Ani bankiet. Ci ludzie nie reprezentują rządu, nie wyprawili dla nas przyjęcia. Spójrzcie im w oczy. Posłuchajcie ich.

Wszyscy wstrzymali oddech. W zamkniętej sali poruszały się jedynie błyszczące źrenice.

- Teraz rozumiem - głos kapitana zdawał się dochodzić z wielkiej odległości - czemu wszyscy dawali nam karteczki i odsyłali wciąż dalej i dalej, póki w końcu nie spotkaliśmy pana Iii, który wysłał nas korytarzem z kluczem, abyśmy otworzyli drzwi i zamknęli je za sobą. I oto jesteśmy...

- Ale gdzie? Kapitan odetchnął.

- W przytułku dla wariatów.

Zapadła noc. W wielkiej sali, oświetlonej słabym blaskiem, płynącym ze źródeł ukrytych w przejrzystych ścianach, panowała cisza. Czterej Ziemianie siedzieli wokół drewnianego stołu i nachylając się ku sobie, szeptali coś cicho. Na podłodze leżały pokodem rzędy skulonych mężczyzn i kobiet. Od czasu do czasu w mrocznych kątach ktoś się poruszał, gestykulując rękami. Co pół godziny jeden z ludzi kapitana sprawdzał srebrne drzwi i wracał do stołu.

-Jak dotąd nic. Tkwimy tu zamknięci.

- Naprawdę sądzą, że jesteśmy szaleni?

- Owszem, dlatego właśnie nikt nas nie witał. Zaledwie tolerowali coś, co dla nich musi być powszechną chorobą umysłową. - Szerokim gestem wskazał ciemne, uśpione postaci wokół. - Paranoicy, co do jednego. Cóż za powitanie nam zgotowali. Przez chwilę - w jego oczach zapłonęła nagła iskra, by po chwili zniknąć bez śladu - sądziłem, że to prawdziwa uroczystość. Wszystkie te krzyki, śpiewy i mowy. Przyjemne, nieprawda? - póki trwało.

-Jak długo nas tu zatrzymają?

- Dopóki nie udowodnimy, że nie jesteśmy wariatami.

- To nie powinno być trudne.

- Mam nadzieję.

- Nie wygląda pan na przekonanego.

- Bo nie jestem. Spójrzcie w tamten kąt.

W mroku siedział w kucki samotny mężczyzna. Z jego ust tryskał błękitny płomień, układający się w postać niewielkiej nagiej kobiety. Powoli rozkwitał w powietrzu, otoczony oparami kobaltowego światła, do wtóru szeptów i westchnień.

Kapitan skinął głową w stronę kolejnego kąta. Stała tam kobieta, ulegająca ciągłym przemianom. Najpierw tkwiła bez ruchu, zatopiona w kryształowej kolumnie, potem stała się złotym posągiem, wreszcie laską z lśniącego cedrowego drewna i znów kobietą.

W całej pogrążonej w mroku sali ludzie żonglowali fioletowymi ognikami, znikali, zmieniali swą postać, bowiem noc była czasem smutku i przemiany.

- To jakaś magia, czary - szepnął jeden z Ziemiaków.

- Nie, tylko halucynacje. Przekazują nam swoje szaleństwo tak, że my również widzimy ich złudzenia. Za sprawą telepatii -autosugestii i telepatii.

- Czy to właśnie pana martwi, kapitanie?

- Owszem. Jeśli cudze ułudy mogą wydawać nam się tak rzeczywiste, jeśli dostrzegają je inni i niemal skłonni są w nie uwierzyć, nic dziwnego, iż uznali nas za wariatów. Skoro ten człowiek potrafi tworzyć małe naguski z błękitnego ognia, a ta kobieta wtapiać się w kolumnę, niewątpliwie normalni Marsjanie uznają, że i my stworzyliśmy naszą rakietę.

- Ach! - westchnęli jego ludzie, skryci wśród cieni.

Wokół nich w rozległej sali tańczyły w powietrzu błękitne płomyki, które rozbłyskiwały i gasły bez śladu. Małe demony z czerwonego piasku przebiegały między zębami uśpionych ludzi. Kobiety przeistaczały się w oleiste węże. Wszędzie unosiła się woń gadów i zwierząt.

Rankiem wszyscy wstali, z pozoru radośni i normalni. W pomieszczeniu nie kryły się żadne ognie ani demony. Kapitan i jego ludzie czekali przy srebrnych drzwiach z nadzieją, że w końcu się otworzą.

Pan Xxx zjawił się po czterech godzinach. Podejrzewali, że czekał po drugiej stronie drzwi, obserwując ich ukradkiem przez co najmniej trzy godziny, zanim wreszcie wszedł do środka. Wezwał ich gestem i poprowadził do swego małego gabinetu.

Pan Xxx, jeśli wierzyć jego masce, był jowialnym wesołym człowiekiem, bowiem namalowano na niej niejednen uśmiech, ale trzy. Jednakże głos dobiegający zza niej należał do zupełnie poważnego psychologa.

- W czym problem?

- Wy uważacie, że jesteśmy szaleni, a my nie - odparł kapitan.

- Wcale nie sądzę, że wszyscy jesteście szaleni - psycholog wskazał niewielką różdżką na kapitana. - Nie. Jedyne pan. Pozostali to tylko wtórne złudzenie.

Kapitan klepnął się w kolano.

- A zatem o to chodziło! To dlatego pan Iii wybuchnął śmiechem, kiedy zaproponowałem, by moi ludzie także podpisali dokumenty.

- Owszem, pan Iii wspominał mi o tym. - Z radośnie wygiętych rzeźbionych ust maski dobiegł cichy śmiech. - Niezły żart. Co to ja mówiłem? Wtórne złudzenia, o tak. Kobiety przybywają do mnie z węzami wypełzającymi im z uszu. Kiedy je uleczę, węże znikają.

- Chętnie damy się uleczyć. Proszę. Pan Xxx sprawiał wrażenie zdumionego.

- Niezwykle. Niewielu ludzi pragnie się wyleczyć. Nasza kuracja jest dość drastyczna.

- Ależ proszę. Jestem pewien, że odkryjecie, iż wszyscy jesteśmy najzupełniej normalni.

- Proszę pozwolić, że sprawdzę pańskie papiery. Przed zastosowaniem kuracji muszę się upewnić, że wszystko jest w absolutnym porządku. - Przejrzał formularze. - Owszem. Przypadki takie jak pański wymagają specjalnego lekarstwa. Ludzie zamknięci w tej sali to lekkie formy choroby, kiedy jednak psychoza pogłębia się i pacjent zaczyna tworzyć wtórne złudzenia dźwiękowe, zapachowe i smakowe oraz fantazje dotykowe i wzrokowe, nie jest dobrze. Musimy uciec się do eutanazji.

Kapitan zerwał się z miejsca.

- Proszę posłuchać! - huknął. - Znosimy to już dostatecznie długo. Niech pan nas zbada! Popuka w kolana, osłucha serca, każe wykonywać ćwiczenia, zada jakieś pytania!

- Może pan swobodnie mówić.

Kapitan wściekał się przez godzinę. Psycholog słuchał.

- Niewiarygodne - mrucał do siebie. - Najbardziej szczegółowa fantazja, jaką kiedykolwiek słyszałem.

- Do diabła, pokażemy panu rakiety! - wykrzyknął kapitan.

- Chętnie ją zobaczę. Czy mógłby pan wywołać ją w tym pokoju?

- Och, oczywiście. Jest w pańskich aktach pod literą R. Pan Xxx z poważną miną zajrzał do akt. Po chwili poszukiwań, cmokając z niesmakiem, uroczyście zamknął teczkę.

- Czemu kazał mi pan tam zajrzeć? Rakiety tu nie ma.

- Oczywiście, że nie, idioto! Żartowałem. Czy szaleńcy dowcipkują?

- Niektórzy. Czasami są obdarzeni osobliwym poczuciem humoru. A teraz proszę zaprowadzić mnie do rakiety. Chciałbym ją obejrzeć.

Dochodziło południe. Zanim dotarli do rakiety, zapanował nieznośny skwar.

- Ach, tak. - Psycholog podszedł do statku i postukał w niego palcem. Metal zadźwięczał cicho. - Mogę wejść do środka? - spytał przebiegle mężczyzna.

- Bardzo proszę.

Pan Xxx na długą chwilę zniknął we wnętrzu rakiety.

- Cóż za głupota! - Kapitan przeżuwał koniuszek cygara. - Mam szczerą ochotę natychmiast wracać do domu i powiedzieć ludziom, by nie zawracali sobie głowy Marsem. Co za podejrzliwa banda kretynów!

- Zakładam, że spory procent ich populacji jest dotknięty obłędem, kapitanie. Dlatego właśnie wątpili w nasze słowa.

- Mimo wszystko, cała ta sytuacja jest niezmiernie irytująca.

Po pół godziny wędrówek po rakiecie, opukiwania ścian, nasłuchiwania, wężania, kosztowania, psycholog wynurzył się ze statku.

- Teraz nam pan wierzy! - ryknął kapitan, jakby jego rozmówca był głuchy.

Psycholog zamknął oczy i podrapał się po nosie.

- To najbardziej niewiarygodny przykład połączenia złudzenia zmysłowego i sugestii hipnotycznej, z jakim miałem kiedykolwiek do czynienia. Obejrzałem dokładnie waszą raketę, jak ją pan nazywa. - Postukał palcem w pancerz. - Słyszę to. Fantazja słuchowa. - Wciągnął powietrze. - Czuję jej zapach. Złudzenie węchowe, wywołane telepatią. - Ucałował statek. - Czuję jej smak. Fantazja smakowa.

Uścisnął dłoń kapitana.

- Czy mogę panu pogratulować? Jest pan geniuszem wśród wariatów. Cóż za osiągnięcie! Praktycznie nie da się dokonać projekcji istot żywych do innych umysłów, nie niszcząc jednocześnie pozorów rzeczywistości materialnych złudzeń. Ludzie zamknięci w Domu zazwyczaj skupiają się na obrazach albo w najlepszym razie na połączeniu wizji i dźwięku. Panu udało się zrównoważyć pełną kombinację. Pańskie szaleństwo jest cudownie kompletne.

- Moje szaleństwo? - Kapitan zbladł.

- Ależ tak, tak, wspaniała psychoza. Metal, guma, grawitatory, prowiant, ubrania, paliwo, broń, drabinki, mutry, śruby, łyżeczki. W pańskim statku naliczyłem dziesięć tysięcy odrębnych przedmiotów. Nigdy nie widziałem podobnie złożonej halucynacji. Umieścił pan nawet cienie pod

kojami i pod wszystkim innym! Cóż za koncentracja! I wszystko, nieważne, jak i kiedy sprawdzałem, miało własny zapach, masę, smak, dźwięczało! Niechże pana uścisknę!

W końcu cofnął się.

- Napiszę o tym najwspanialszą monografię mojego życia. W przyszłym miesiącu omówię ten przypadek na wykładzie w Akademii Marsjańskiej! Proszę tylko spojrzeć! Przecież zmienił pan nawet własny kolor oczu z żółtego na niebieski, skóry z brązowego na różowy. A ten strój! Pańskie dłonie mają pięć palców zamiast sześciu! Biologiczne przeistoczenie, wywołane brakiem równowagi umysłowej. A pańscy trzej przyjaciele...

Wyjął niewielki pistolet.

- Oczywiście, to nieuleczalne. Biedny, cudowny człowieku. Lepiej dla ciebie, żebyś umarł. Chcesz jeszcze coś powiedzieć?

- Przestań, na miłość boską! Nie strzelaj!

- Niestety, uwolnię cię od cierpień, które sprawiły, że wyobraziłeś sobie tę raketę i tych trzech ludzi. Z przyjemnością zobaczę, jak twoi przyjaciele i statek znikają, kiedy już cię zabiję. Dzisiejsze doświadczenia staną się podstawą do dużego artykułu na temat rozpraszania obłąkańczych wizji.

- Pochodzę z Ziemi! Nazywam się Jonathan Williams, a ci ludzie...

- Tak. Wiem. - powiedział kojąco pan Xxx i wystrzelił. Kapitan runął na piasek z sercem przebitym kulą. Pozostała trójka krzyknęła.

Pan Xxx przyglądał się im uważnie.

- Nadal istniejecie? Niesamowite! Złudzenia trwające w czasie i przestrzeni! - Wycelował w nich pistolet. - Cóż, strachem zmuszę was do zniknięcia.

- Nie! - zawołali trzej mężczyźni.

- Wrażenia słuchowe wciąż trwają, mimo śmierci pacjenta -zauważył pan Xxx, strzelając do nich po kolei.

Mężczyźni leżeli bez ruchu na piasku. Wciąż cali. Kopnął ich. Następnie postukał pięścią w pancierz statku.

- Nadal istnieje! Oni także! - Ponownie zaczął strzelać do ciał. Wreszcie odskoczył. Uśmiechnięta maska opadła mu z twarzy.

Powoli oblicze drobnego psychologa uległo zmianie. Jego szczeka opadła, broń wysunęła mu się z palców. Oczy spoglądały tępo naprzód. Uniósł dłonie i obrócił się na oślep wokół własnej osi. Zaczął niezdarnie obmacywać ciała, do jego ust napłynęła ślina.

- Złudzenia - mamrotał rozpaczliwie. - Smak. Obraz. Zapach. Dźwięk. Dotyk. - Pomachał rękami, wybałuszając oczy. Na wargi wystąpiła mu piana.

- Odejdźcie! - krzyknął do trupów. - Idź sobie! - wrzasnął pod adresem statku. Uważnie obejrzał własne rozdygotane dłonie. - Jestem zarażony - szepnął. - Przeszło na mnie. Telepatia. Hipnoza. Oszalałem. Ja także zostałem zarażony. Złudzenia w pełnej postaci zmysłowej. - Urwał i zaczął macać odrętwiałą ręką wokół siebie w poszukiwaniu broni. - Tylko jedno lekarstwo. Jedyny sposób, aby odeszli, zniknęli.

Rozległ się strzał. Pan Xxx runął w pył.

Cztery ciała spoczywały w słońcu. Pan Xxx leżał tam, gdzie padł.

Rakieta czekała na niewielkim słonecznym wzgórzu i wcale nie chciała zniknąć.

Kiedy ludzie z miasta odkryli ją o zachodzie słońca, zaczęli się zastanawiać, co to jest. Nikt nie wiedział, toteż sprzedano ją handlarzowi złomem i odciągnięto, aby następnie rozebrać na kawałki.

Tej nocy spadł ulewny deszcz. Następnego dnia był pogodny i ciepły.

Marzec 2000: Podatnik

Pragnął polecieć rakieta na Marsa. Wczesnym rankiem podszedł do granicy pola startowego i zaczął wrzeszczeć przez siatkę do ludzi w mundurach, że chce lecieć na Marsa. Powiedział im, że jest uczciwym podatnikiem, nazywa się Pritchard i ma prawo udać się na Marsa. Czyż nie urodził się tu, w Ohio? Czyż nie był dobrym obywatelem? Czemu zatem nie miałby polecieć? Wygrażał im pięściami i powtarzał, że chce uciec z Ziemi. Każdy, komu zostało choć trochę zdrowego rozsądku, pragnie wydostać się z Ziemi. W ciągu dwóch lat wybuchnie wielka wojna atomowa i nie zamierza być tutaj, kiedy to się stanie. On i tysiące jemu podobnych -jeśli mają choć trochę oleju w głowie, polecą na Marsa. -Jeszcze zobaczycie! - krzyczał. Za wszelką cenę uciec od wojen i cenzury, poboru i panoszenia się państwa, rządowej kontroli tego i owego, sztuki i nauki! Weźcie sobie Ziemię! Oddałby zdrową prawą rękę, serce, głowę, byle tylko móc lecieć na Marsa! Co trzeba zrobić, jaki dokument podpisać, kogo wpływowego znać, żeby dostać się do rakiety?

Ludzie po drugiej stronie ogrodzenia wyśmiewali się z niego. Z pewnością nie chce lecieć na Marsa. Czyż nie wie, że Pierwsza i Druga Wyprawa zakończyły się klęską, że nie pozostał po nich żaden ślad, że ich członkowie najpewniej nie żyją?

Ale nie potrafią tego udowodnić, nie wiedzą na pewno, odparł, przywierając do siatki. Może czeka tam na ludzi kraina mlekiem i miodem płynąca i kapitanowie York i Williams po prostu uznali, że nie ma po co wracać? Czy zatem otworzą bramę i pozwolą mu wsiąść na pokład rakiety Trzeciej Wyprawy? A może ma wywalić bramę kopniakiem?

Kazali mu się zamknąć.

Ujrzał ludzi, maszerujących w stronę statku.

- Zaczekajcie na mnie! - krzyknął. - Nie zostawiajcie mnie w tym strasznym świecie. Muszę się stąd wydostać, niedługo wybuchnie wojna! Nie zostawiajcie mnie na Ziemi!

Odciągnęli go, mimo że się wrywał. Zatrzasnęli za nim drzwi radiowozu i wywieźli stamtąd wczesnym rankiem. On zaś, przyciskając twarz do tylnej szyby, wciąż patrzył i tuż przedtem, nim zniknęli po drugiej stronie wzgórza, ujrzał czerwony błysk ognia, usłyszał grzmot i poczuł potężny wstrząs, kiedy srebrna rakietka wystrzeliła w górę, pozostawiając go tego zwyczajnego poniedziałkowego poranka na zupełnie zwyczajnej planecie.

Kwiecień 2000: Trzecia Wyprawa

Statek szykował się do lądowania. Przybywał z gwiazd, spomiędzy lśniących prądów i czarnych przyspieszeń, przecinających milczące otchłanie kosmosu. Był zupełnie nowy, w jego ciele krążył ogień, metalowe komórki kryły w sobie ludzi; sunął w milczeniu wśród płomieni. Jego wnętrze mieściło w sobie siedemnastu pasażerów, włączając w to kapitana. Tłum na polach w Ohio pożegnał ich krzykiem, machając rękami w blasku słońca, gdy rakieta wśród ogromnych kwiatów barwy i gorąca wystrzeliła w przestrzeń, rozpoczynając trzecią podróż na Marsa.

Teraz zwalniała z metalową precyzją, wtargnąwszy w wyższe warstwy marsjańskiej atmosfery. Nadal zachwycała swą urodą i siłą. Pokonywała mroczny ocean kosmosu niczym blady, niezłomny Lewiatan; minęła starożytny księżyc, prac naprzód w głąb kolejnych pokładów nicości. Zamknięci w środku umęczeni ludzie objali się o ściany i chorowali, by znów wyzdrowieć, każdy w swoim czasie. Jeden z nich umarł, teraz zaś pozostałych szesnastu, przyciskając twarze do grubego szkła iluminatorów, jasnymi oczami obserwowało rosnącą z każdą chwilą planetę.

- Mars! - wykrzyknął nawigator Lustig.

- Pocziwy, stary Mars - westchnął Samuel Hinkston, archeolog.

- Dobra! - uciał kapitan John Black.

Rakieta usiadła na zielonym trawniku. Nieopodal stała żelazna figurka sarny. Dalej, w słońcu, pośród zieleni wznosił się wysoki, brązowy, wiktoriański dom, cichy i milczący. Ze ścian pokrytych ślimacznicami i rokokowymi ozdóbkami spoglądały na nich witrażowe okna, ułożone z błękitnych, różowych, żółtych i zielonych szybek. Na werandzie dostrzegli włochate geranium i starą huśtawkę, przykręconą do sufitu i kołyszącą się powoli na lekkim wietrze, w przód i w tył, w przód i w tył. Szczyt ostrego dachu wieńczyła mała kopułka, okna z ołowiowego szkła połyskiwały niczym diamenty. Przez frontową szybę można było dostrzec plik nut, zatytułowany „Piękny nurt Ohio”, spoczywający na półeczce.

Wokół rakiety rozciągało się małe miasteczko, zielone i nieruchome w promieniach marsjańskiej wiosny. Wszędzie stały domy - białe tynki, czerwone cegły - wiatr poruszał gałęziami wyniosłych wiązów, klonów i kasztanowców. Zawieszzone w kościelnej wieży dzwony milczały.

Przybysze wyjrżeli przez iluminatory i zobaczyli otaczający ich świat. Następnie spojrzeli po sobie i ponownie wyjrżeli na dwór. Podtrzymywali się nawzajem, nagle pozbawieni tchu; ich twarze zbladły

- A niech mnie! - szepnął Lustig, rozcierając policzki odrętwiałymi palcami. -A niech mnie diabli!

- To przecież niemożliwe - rzucił Samuel Hinkston.

- Boże! -westchnął kapitan John Black. Po chwili chemik krzyknął:

- Kapitanie, atmosfera jest nieco rozrzedzona, ale zawiera wystarczająco dużo tlenu. Można bezpiecznie oddychać.

- Zatem wyjdźmy - zaproponował Lustig.

- Chwileczkę - powstrzymał go kapitan John Black. - Skąd wiemy, z czym mamy do czynienia?

- Z miasteczkiem o rozrzedzonym powietrzu, które jednak nadaje się do oddychania.

- I to miasteczkiem, które zupełnie przypomina osady ziemskie - dodał Hinkston, archeolog. - Niewiarygodne. To niemożliwe, a przecież istnieje.

Kapitan Black spojrzał na niego przelotnie.

- Uważasz, Hinkston, że cywilizacje na dwóch różnych planetach mogą rozwijać się w jednakowym tempie i tak samo ewoluować?

- Powiedziałbym, że to mocno wątpliwe. Dowódca stanął przy włączniku.

- Spójrzcie tylko. Geranium. Wysoce wyspecjalizowana roślina. Ta szczególna odmiana została wyhodowana na Ziemi zaledwie pięćdziesiąt lat temu. Pomyślcie o trwającej tysiące lat ewolucji roślin, a potem powiedzcie mi, że logika dopuszcza, by Marsjanie znali: po pierwsze, okna z ołowiowymi szybami; po drugie, kopuły; po trzecie, huśtawki na werandach; po czwarte, instrument, który wygląda dokładnie jak pianino i zapewne nim jest; po piąte... Spójrzcie uważnie przez lornetkę. Czy to możliwe, by kompozytor z Marsa skomponował utwór muzyczny zatytułowany, dziw nad dziwami, „Piękny nurt Ohio”? Czyli na Marsie także mają rzekę Ohio.

- Kapitan Williams, oczywiście! -wykrzyknął Hinkston.

- Co takiego?

- Kapitan Williams i jego trzyosobowa załoga! Albo Nathaniel York wraz z towarzyszem. To wszystko wyjaśnia!

- Wręcz przeciwnie. Nie wyjaśnia niczego. Z tego, co udało nam się stwierdzić, rakietka Yorka eksplodowała w dniu, w którym dotarła na Marsa, zabijając kapitana i jego kolegę. Co do zespołu Williamsa, to ich statek uległ zniszczeniu w dzień po lądowaniu. O tym przynajmniej świadczy fakt, że ich radio przerwało nadawanie. Uznaliśmy, że gdyby nasi ludzie jednak przeżyli, spróbowaliby się z nami skontaktować. Zresztą wyprawa Yorka wyruszyła zaledwie rok temu, zaś kapitan Williams i jego ludzie wylądowali tu w sierpniu zeszłego roku. Nawet założywszy, że wciąż jeszcze żyją, czy mogliby, choćby z pomocą genialnej rasy Marsjan, wznieść podobne miasteczko i postarzyć je w tak krótkim czasie? Przyjrzyjcie mu się uważnie. Stoi tu bez wątplenia od przynajmniej siedemdziesięciu lat. Spójrzcie na drewnianą poręcz werandy; na drzewa, wszystkie przynajmniej stuletnie. Nie, to nie jest dzieło Yorka ani Williamsa, lecz coś zupełnie innego. Nie podoba mi się to wszystko. I nie zamierzam opuszczać statku, dopóki nie dowiem się, o co tu chodzi.

- Pamiętajmy też - poparł go Lustig - że Williams i jego ludzie, podobnie jak York, wylądowali po przeciwnej stronie Marsa. Specjalnie wybraliśmy tę półkulę.

- Na wypadek, gdyby wrogo nastawiony szczep Marsjan zabił Yorka i Williamsa, instrukcje nakazywały nam wylądować dalej, by zapobiec powtórzeniu podobnej katastrofy. I oto jesteśmy, z tego, co nam wiadomo, w krainie, której Williams i York nigdy nie ujrzeli.

- Niech to diabli! - rzucił Hinkston.- Za pańskim pozwoleniem, kapitanie, chciałbym obejrzeć to miasto. Może rzeczywiście na każdej planecie naszego Układu Słonecznego rozwinęły się identyczne wzory myślowe i cywilizacyjne? Może znaleźliśmy się u progu największego psychologicznego i metafizycznego odkrycia naszych czasów?

- Chętnie wysłucham, co ma pan do powiedzenia - stwierdził kapitan John Black.

- Możliwe, że natknęliśmy się na zjawisko, które po raz pierwszy bez cienia wątpliwości dowiedzie istnienia Boga.

- Wielu ludzi wierzy w niego, nie dysponując podobnymi dowodami, panie Hinkston.

- Sam jestem jednym z nich, kapitanie. Z pewnością jednak podobne miasto nie mogłoby powstać bez boskiej interwencji. Te wszystkie szczegóły! Widok ów budzi we mnie uczucia tak silne, że nie wiem, śmiać się czy płakać?

- Proszę zatem powstrzymać się od jednego i drugiego, póki nie stwierdzimy, czemu przyszło nam stawić czoło.

- Stawić czoło? - wtrącił Lustig. - Niczemu, kapitanie. To poczciwe, ciche, zielone miasteczko, bardzo przypominające staroświecką osadę, w której przyszedłem na świat.

- Kiedy się pan urodził, Lustig?

- W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku.

- A pan, Hinkston?

- W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym, kapitanie. W Grinnell, w stanie Iowa. I mam wrażenie, że znalazłem się w domu.

- Hinkston, Lustig, mógłbym być waszym ojcem. Niedawno skończyłem osiemdziesiąt lat. Urodziłem się w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku w Illinois. Łaska boska i dokonane w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat odkrycia naukowe sprawiły, że niektórzy starzy ludzie mogą znów odmłodzić. I oto znalazłem się na Marsie, nie bardziej zmęczony niż reszta was, ale o wiele bardziej podejrzliwy. To miasteczko wygląda przyjaźnie, pogodnie i tak bardzo przypomina Green Bluff w Illinois, że mnie przeraża. Jest zbyt podobne do Green Bluff.- Odwrócił się do radiooperatora. - Wezwij Ziemię. Powiedz im, że wylądowaliśmy. To wszystko. Zawiadam, że jutro wyślemy pełny meldunek.

- Tak jest.

Kapitan Black wyrżał przez iluminator rakiety, przyciskając do niego twarz, która powinna należeć do osiemdziesięciolatka, a przecież była obliczem mężczyzny po czterdziestce.

- Powiem panu, co zrobimy, Lustig: pan, ja i Hinkston obejrzymy z bliska miasto. Reszta zostanie na pokładzie. Jeśli coś nam się stanie, pozostali będą mogli wynieść się stąd do diabła. Lepiej stracić trzech ludzi niż cały statek. Jeśli zdarzy się coś złego, nasza załoga może ostrzec następnych. Zdaje się, że rakieta kapitana Wildera przygotowuje się do startu na święta. Jeśli na Marsie natrafimy na coś groźnego, lepiej byłoby, gdyby nasi następcy przybyli dobrze uzbrojeni.

- Nam też nie brak broni. Mamy ze sobą cały arsenał.

- Proszę zatem rozkazać ludziom, aby przygotowali się do walki. Lustig, Hinkston, chodźcie.

Trzej mężczyźni zeszli razem przez kolejne pokłady statku.

* * *

Był piękny wiosenny dzień. Na kwitnącej jabłoni przysiadł rozśpiewany drozd. Za każdym razem, gdy wiatr muskał zielone gałęzie, ku ziemi opadały tumany kwietnego śniegu. Słodki zapach unosił się w powietrzu. Gdzieś w miasteczku ktoś grał na pianinie, wietrzyk niósł ze sobą ciche senne dźwięki piosenki „Piękna marzycielka”. Gdzie indziej odezwał się patefon, ze zdartej syczącej płyty popłynęły pierwsze takty „Księżycowej włóczędzy” Harry'ego Laudera.

Trzej mężczyźni stali przed barem. Gwałtownie wciągając w płuca rozrzedzone powietrze, ruszyli naprzód, maszerując wolno, aby się nie zmęczyć.

Teraz z patefonu odezwał się kolejny głos:

Och, piękna noc czerwcową, księżycu blask i ty...

Lustig zadrżał, podobnie Samuel Hinkston.

Niebo nad ich głowami było pogodne i czyste; gdzieś w dali, w chłodnym wąwozie osłoniętym drzewami szemrała woda. Niedaleko usłyszeli stukot podków i skrzyp wozu, podskakującego na wybojach.

- Kapitanie - odezwał się Samuel Hinkston - z pewnością raketowe podróże na Marsa musiały się rozpocząć jeszcze przed pierwszą wojną światową.

-Nie.

-Jak inaczej da się wyjaśnić istnienie tych domów, żelaznej sarenki, pianin, muzyki? - Hinkston ścisnął łokieć kapitana i spojrzał mu prosto w oczy, próbując go przekonać. - Powiedzmy, że w 1905 roku żyli ludzie, którzy nienawidzili wojen. Połączyli zatem swe siły z grupą naukowców, skonstruowali raketę i przybyli tu, na Marsa...

- Nie, nie, Hinkston.

- Czemu? W 1905 świat był zupełnie inny. Z łatwością mogliby utrzymać to w tajemnicy.

- Ale skomplikowane urządzenie, takie jak rakieta... nie, tego nie da się zbudować w sekrecie.

- Przylecieli, by tu zamieszkać, i oczywiście domy, które wzniesli, były podobne do ich siedzib na Ziemi, bowiem przywieźli ze sobą swą kulturę.

- I żyją tu od tylu lat? - spytał kapitan.

- Owszem, w ciszy i spokoju. Może zorganizowali parę wycieczek tam i z powrotem, tylko tyle, by sprowadzić tu wystarczającą liczbę ludzi i zasiedlić jedno niewielkie miasteczko. A potem przestali, lękając się, że ktoś ich odkryje. Dlatego to miejsce wydaje się takie staroświeckie. Nie dostrzegam tu nic, co pochodziłoby z okresu późniejszego niż rok 1927. A może rakiety są starsze, niż sądzimy? Może wszystko zaczęło się w jakiejś innej części świata? Setki lat temu niewielka grupka wtajemniczonych przybyła na Marsa i odtąd z rzadka składają krótkie wizyty na Ziemi.

- W twoich ustach brzmi to niemal logicznie.

- Tak musiało być. Mamy przed sobą dowód. Należy jedynie znaleźć jakichś ludzi i potwierdzić jego prawdziwość.

Gęsta zielona trawa tłumiła odgłos ich kroków. Wokół pachniało świeżo skoszoną łąką. Mimo żywionych obaw kapitan John Black poczuł, jak ogarnia go przemożny spokój. Od trzydziestu lat nie oglądał podobnego miasteczka; bzyczenie krążących wokół wiosennych pszczół przeganiało troski z jego umysłu. Świeżość otaczającego go świata niczym balsam koła mu duszę.

Weszli na werandę. Deski pod ich stopami odpowiadały głuchym echem, gdy mężczyźni zbliżali się do siatkowych drzwi. Wewnątrz widzieli zasłonę z koralików u wylotu korytarza, kryształowy żyrandol i obraz Maxfielda Parrisha wiszący nad wygodnym stylowym fotelem. W całym domu panowała atmosfera nostalgii jak na staroświeckim strychu; sprawiał wrażenie niezwykle przytulnego. Słyszeli pobrzękiwanie lodu w dzbanku z lemoniadą, obok w kuchni krzątała się kobieta, przygotowując zimny lunch, stosowny na tak upalny dzień. Nuciała pod nosem słodką, niewinną melodię.

Kapitan Black nacisnął guzik dzwonka.

W korytarzu zabrzmiały lekkie kroki i zza drzwi wyjrzała na nich miła pani około czterdziestki, ubrana w suknię, która na oko pochodziła z 1909 roku.

- O co chodzi? - spytała.

- Przepraszamy bardzo - odparł niepewnie kapitan Black - ale szukamy... czy mogłaby pani...?
- Urwał.

Kobieta patrzyła na niego ciemnymi, zamysłonymi oczyma.

-Jeśli coś sprzedajecie... - zaczęła.

- Nie, chwileczkę! - krzyknął. - Co to za miasto? Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

- Co to znaczy, co to za miasto? Jak możecie być w mieście, nie znając jego nazwy?

Kapitan wyglądał, jakby nade wszystko pragnął usiąść pod cienistą jabłonką.

-Jesteśmy tu obcy. Chcemy wiedzieć, skąd wzięło się tu miasto - i pani.

- Czy przychodzicie z biura spisu ludności?

-Nie.

- Wszyscy wiedzą - stwierdziła - że nasze miasto zostało zbudowane w 1868 roku. Czy to jakaś gra?

- Nie, żadna gra! - odparł kapitan. -Jesteśmy z Ziemi.

- Z gruntu pod stopami? - spytała ze zdumieniem.

- Nie, z trzeciej planety, Ziemi. Przylecieliśmy statkiem. Wylądowaliśmy tu, na czwartej planecie, Marsie...

- To - wyjaśniła kobieta cierpliwie, jakby zwracała się do dziecka -jest Green Bluff w stanie Illinois, na kontynencie amerykańskim, oblanym wodami oceanów Atlantyckiego i Spokojnego, w miejscu, zwanym światem albo też czasami Ziemią. A teraz odejdźcie stąd. Do widzenia.

Podreptała korytarzem, poruszając palcem długie sznury koralików.

Trzej mężczyźni spojrzeli po sobie.

- Wyważmy drzwi - zaproponował Lustig.

- Nie możemy. To własność prywatna. Dobry Boże! Z wolna usiedli na stopniu werandy.

- Czy nie przyszło ci do głowy, Hinkston, że może w jakiś sposób zesliśmy z kursu i wylądowaliśmy na Ziemi?

- Jak mielibyśmy tego dokonać?

- Nie wiem, sam nie wiem. O Boże, dajcie mi pomysłu.

- Ale przecież sprawdzaliśmy każdą milę - nie ustępował Hinkston. -Nasze wskaźniki zapisały wszystko dokładnie. Minęliśmy Księżyc, wystrzeliliśmy w przestrzeń i oto jesteśmy. To z pewnością Mars.

- Może jednak - wtrącił Lustig - zupełnym przypadkiem zabłąkaliśmy się w czasie i przestrzeliśmy i wylądowaliśmy na Ziemi sprzed trzydziestu-czterdziestu lat?

- Och, daj spokój, Lustig.

Lustig podszedł do drzwi, zadzwonił i zawołał w stronę zimnych, pogrążonych w półmroku pomieszczeń:

-Jaki rok mamy?

- Rzecz jasna, tysiąc dziewięćset dwudziesty szósty - odparła kobieta, która tymczasem usiadła wygodnie w fotelu na biegunach, pociągając łyk lemoniady.

- Słyszeliście? - Lustig odwrócił się do pozostałych. - Tysiąc dziewięćset dwudziesty szósty! Cofnęliśmy się w czasie! To jest Ziemia!

* * *

Lustig usiadł i cała trójka ze zgrozą i zdumieniem zaczęła zastanawiać się nad tym, co ich spotkało. Ich spoczywające na kolanach dłonie poruszały się niespokojnie. W końcu kapitan rzekł:

- Nie tego się spodziewałem. To mnie przeraża. Jak mogło dojść do czegoś podobnego? Szkoda, że nie zabraliśmy ze sobą Einsteina.

- Czy ktokolwiek z tego miasta nam uwierzy? - spytał Hinkston. - Czyżbyśmy mieli do czynienia z czymś niebezpiecznym? Chodzi mi o czas. Może powinniśmy wystartować i wracać do domu?

- Nie. Póki nie sprawdzimy jeszcze jednego domu. Minęli trzy budynki i doszli do maleńkiego białego domku pod dębem.

- Chciałbym być możliwie najbardziej logiczny - oświadczył kapitan - ale nie wierzę, że odgadliśmy, co się stało. Hinkston, przyjmijmy, że, jak zakładałeś, podróże kosmiczne rozpoczęły się już wiele lat temu i że po latach spędzonych na Marsie Ziemianie zatęsknili za swoją planetą. Najpierw przypominało to łagodną neurozę, potem w pełni rozwiniętą chorobę psychiczną, grożącą wręcz szaleństwem. Co zrobiłbyś jako psychiatra postawiony przed podobnym problemem?

Hinkston zastanowił się.

- No cóż, sądzę, że starałbym się zmienić cywilizację na Marsie tak, aby z każdym dniem coraz bardziej przypominała ziemską. Gdyby istniał sposób, odtworzyłbym każdą roślinę, drogę i jezioro, a nawet ocean. Następnie za pomocą masowej hipnozy przekonałbym wszystkich w mieście, że są naprawdę na Ziemi, nie na Marsie.

- Dobrze, Hinkston. Tym razem chyba do czegoś doszliśmy. Kobieta, z którą rozmawialiśmy, mogła jedynie uważać, że mieszka na Ziemi. Podobna wiara chroni ją przed obłędem. Wraz ze wszystkimi mieszkańcami tego miasta uczestniczy w największym doświadczeniu w dziedzinie

migracji i hipnozy, jakie kiedykolwiek przeprowadzono.

- Słusznie, kapitanie! - wykrzyknął Lustig.

-Jasne! - zawtórował mu Hinkston.

- No cóż - kapitan westchnął. - Coś już mamy. Przyznaję, że czuję się trochę lepiej. Takie rozwiązanie jest bardziej logiczne. Dyskusje o czasie i wędrówkach w nim, czy to w przeszłość, czy przyszłość, sprawiają, że ścisza mi się żołądek. Ale tak... - Uśmiechnął się. - No, no, wygląda na to, że będziemy tu sławni.

- A może nie? - wtrącił Lustig. - Ostatecznie, podobnie jak Ojcowie Pielgrzymi, ludzie ci przybyli tu, aby uciec z Ziemi. Może nie będą zachwyceni naszym widokiem? A jeśli spróbują nas przegnać albo nawet zabić?

-Jesteśmy lepiej uzbrojeni. Zobaczmy ten następny dom. No już.

Nie zdążyli jeszcze przekroczyć trawnika, kiedy Lustig zatrzymał się i z zachwyconą miną spojrzał na drugą stronę sennej popołudniowej uliczki.

- Kapitanie... - rzucił.

- O co chodzi, Lustig?

- Och, kapitanie, co ja widzę... - Lustig wybuchnął płaczem. Jego dłonie uniosły się, rozdygotane, twarz wyrażała zachwyt, radość i niedowierzanie. Głos wskazywał, że nawigator jest na skraju szaleństwa - ze szczęścia. Zapatrzony w głąb ulicy, zaczął biec, potykając się niezręcznie, upadając, powstając i dalej prac naprzód. - Patrzcie, patrzcie!

- Nie pozwól mu się oddalić! - Kapitan także ruszył biegiem.

Teraz Lustig pędził naprzód, krzycząc donośnie. W połowie cienistej uliczki skręcił na podjazd i jednym skokiem znalazł się na werandzie wielkiego zielonego domu z żelaznym kurkiem na dachu.

Kiedy Hinkston i kapitan doścignęli go wreszcie, Lustig dobijał się z wrzaskiem do drzwi. Wszyscy trzej dyszeli gwałtownie, wyczerpani biegiem w rozrzedzonym powietrzu.

- Babciu! Dziadku! - wołał Lustig.

W drzwiach stanęło dwoje starych ludzi.

- David! - wykrzyknęli oboje i pospieszyli, aby go uścisnąć. Na wypródki klepali go po plecach i krzatali się wokół niego. -David! Och, David! Tak wiele lat minęło! Jak ty wyrosłeś, chłopcze; jaki jesteś duży. Och, mój mały Davidzie, jakże się miewasz?

- Babciu, dziadku! - szlochał David Lustig. - Wyglądacie wspaniale! - Obejmował ich po

kolei, obracając w ramionach, całując i ściskając, po czym z płaczem, gwałtownie mrugając oczami, ponownie przytulił dwójkę starych ludzi. Na niebie lśniło słońce, wiał wiatr, trawa była zielona. Siatkowe drzwi stały otworem.

- Wejdz, chłopcze, wejdz! Mamy dla ciebie świeżą mrożoną herbatę, mnóstwo mrożonej herbaty!

- Są ze mną przyjaciele. - Lustig odwrócił się i ze śmiechem pomachał kapitanowi i Hinkstonowi. - Kapitanie, niech pan tu przyjdzie!

- Witamy - dodała para staruszków. - Wejdzcie, panowie. Każdy przyjaciel Davida jest także naszym przyjacielem. Nie stójcie tu!

* * *

W saloniku starego domu panował chłód. Staroświecki brązowy zegar tykał cicho na ścianie. Wielkie kanapy zaścielały stosy miękkich poduszek, ściany zapełniały książki, podłogę pokrywał dywan w wielkie róże. Spoceni przybysze ściskali w dłoniach szklanki z mrożoną herbatą, spływającą chłodnymi strumieniami po spragnionych językach.

- Nasze zdrowie! - babcia uniosła szklanę, która zadzwoniła ojej porcelanową szczękę.

- Jak długo tu jesteście, babciu? - spytał Lustig.

- Odkąd umarliśmy - odparła cierpko.

- Odkąd co? - Kapitan Black odstawił swą herbatę.

- Ależ tak - przytaknął Lustig. - Oboje nie żyją od trzydziestu lat.

- A ty siedzisz tu tak spokojnie? - wykrzyknął kapitan.

- Po co to gadanie? - stara kobieta mrugnęła. Jej oczy rozbłyły. - Kto panu dał prawo, by kwestionować to, co się zdarzyło? Oto jesteśmy. Zresztą na czym polega życie? Kim jesteśmy, co robimy, czemu, jak, gdzie? Wiemy jedynie, że znaleźliśmy się tutaj i nie pytamy dlaczego. Dano nam drugą szansę. - Zbliżyła się do niego chwiejnym krokiem i wyciągnęła szczupłą rękę. - Proszę jej dotknąć. - Kapitan posłuchał. - Czuje pan ciało i kości? - spytała. Przytaknął. - A zatem - odparła z triumfem - po co zadawać pytania?

- Cóż - odrzekł kapitan - po prostu nie spodziewaliśmy się, że znajdziemy na Marsie coś takiego.

- A jednak znaleźliście. Śmiem twierdzić, że na tej planecie ujrzycie jeszcze wiele rzeczy, które udowodnią wam, iż niezbadane są wyroki Boga.

- Czy to jest niebo? - spytał Hinkston.

- Ależ nie, bzdura. To świat, a my dostaliśmy drugą szansę, aby w nim żyć. Nikt nie powiedział nam czemu, ale też nikt nie mówił nam, dlaczego znaleźliśmy się na Ziemi. Tej drugiej Ziemi, z której przybywacie. Skąd wiemy, że przed nią nie istniała jeszcze jedna?

- Dobre pytanie - mruknął kapitan.

Lustig wciąż uśmiechał się do swoich dziadków.

- O rany, jak dobrze znów was zobaczyć. Jak dobrze. Kapitan wstał i lekko klepnął się po udach.

- Musimy już uciekać. Dziękujemy za poczęstunek.

- Oczywiście wróćcie - powiedzieli młodym starzy ludzie. -Dziś wieczór? Na kolację?

- Postaramy się, dziękuję. Mamy bardzo dużo do zrobienia. Moi ludzie czekają na nas w rakiecie i...

Urwał. Zdumiony spojrzał w stronę drzwi.

Daleko, w słońcu, rozbrzmiewał szmer wielu głosów, powitalne krzyki i śmiechy.

- Co się dzieje? - spytał Hinkston.

- Wkrótce się dowiemy. - Kapitan John Black pospiesznie wypadł na dwór, ruszając biegiem przez zielony trawnik na ulice marsjańskiego miasta.

Po chwili przystanął, patrząc na raketę. Włazy były otwarte, załoga wydostała się na dwór, machając rękami. Wokół zebrał się tłum i jego ludzie przedzierali się przez szeregi tubylców, rozmawiając, śmiejąc się, ściskając dziesiątki rąk. Niektórzy tańczyli. Tłum kłębił się wokół. Rakietą stała pusta i porzucona.

Nagły oślepiający blask słońca odbitego w błyszczącym metalu zwiastował nadejście orkiestry dętej. Wzniesione w górę tuby i trąby zagrały radosną melodię. Towarzyszył im łoskot bębnów i wysokie głosy fujarek. Złotowłose dziewczynki podskakiwały podniecone, chłopcy krzyczeli „hurra!”. Postawni mężczyźni rozdawali dziesięciocentowe cygara. Burmistrz miasteczka wygłosił mowę. Następnie każdy członek załogi, z matką uwieszoną u jednego ramienia i z ojcem bądź siostrą u drugiego, powędrował uliczką w stronę małego domku lub wielkiej posiadłości.

- Stójcie! - wykrzyknął kapitan Black.

Odpowiedział mu trzask zamykanych drzwi.

Fale gorąca unosiły się ku czystemu wiosennemu niebu. Zapadła cisza. Orkiestra dęta odmaszerowała za węgiel, pozostawiając samotną raketę, lśniąca oślepiającym blaskiem w promieniach słońca.

- Zdezerterowali! - wybuchnął kapitan. - Porzucili statek! Na Boga, obedrę ich ze skóry. Mieli przecież rozkazy!

- Kapitanie - wtrącił Lustig. - Proszę nie być dla nich zbyt surowym. Spotkali tu swych najbliższych krewnych i starych przyjaciół.

- To żadne wytłumaczenie!

- Proszę pomyśleć, co czuli, kapitanie, widząc przed statkiem znajome twarze.

- Do diabła, wydałem im rozkaz!

- A pan co by czuł, kapitanie?

- Posłuchałbym poleceń... - urwał, patrząc przed siebie z otwartymi ze zdumienia ustami.

Skąpanym w promieniach marsjańskiego słońca chodnikiem nadchodził wysoki, liczący sobie najwyżej dwadzieścia sześć lat mężczyzna o zdumiewająco przejrzystych błękitnych oczach.

-John! -wykrzyknął przybysz i ruszył ku nim biegiem.

- Co takiego? - Kapitan John Black zachwiał się na nogach.

-John, ty stary sukinsynu!

Mężczyzna podbiegł do nich, z całych sił ścisnął kapitanowi rękę, poklepał go po plecach.

- To ty! - westchnął kapitan Black.

- Oczywiście, a sądziłeś, że kim jestem?

- Edward! - Kapitan, nie wypuszczając dłoni nieznanego, spojrzał błagalnie na Lustiga i Hinkstona. - To jest mój brat, Edward. Ed, poznaj moich ludzi. Lustig, Hinkston - mój brat!

Przez chwilę ściskali sobie ręce, aż wreszcie objęli się mocno.

-Ed!

-John, ty włóczęgo!

- Świetnie wyglądasz, Ed, ale jak to możliwe? Zupełnie się nie zmieniłeś. Pamiętam, jak umarłeś; miałeś wtedy dwadzieścia sześć lat, a ja dziewiętnaście. Dobry Boże, tak wiele lat temu, a przecież się spotykamy. Co tu się dzieje, na Boga!

- Mama czeka - oznajmił Edward Black z szerokim uśmiechem.

- Mama?

- I tato.

- Tato?- Kapitan niemal upadł, jakby ktoś wymierzył mu cios ciężką pałką. Podeszedł parę kroków sztywno, niezgrabnie. - Mama i tato żyją? Gdzie?

- W starym domu na Dębowym Pagórku.

- W starym domu. - Kapitan patrzył na niego ze zdumieniem i zachwytem. - Lustig, Hinkston, słyszeliście?

Hinkstona już nie było. Dostrzegł tymczasem własny dom na rogu ulicy i popędził ku niemu.

Lustig wybuchnął śmiechem.

- Widzi pan, kapitanie, co się stało z innymi. Nie potrafili się powstrzymać.

- Tak, tak. - Kapitan zamknął oczy. - Kiedy je otworzę, znikniesz - mrugnął. - Nadal tu jesteś. Boże, Ed, świetnie wyglądasz.

- Chodź już, lunch czeka. Uprzedziłem mamę.

- Kapitanie - powiedział Lustig - gdyby mnie pan potrzebował, będę u dziadków.

- Co takiego? A tak, świetnie, Lustig. A zatem do zobaczenia. Edward ujął go pod ramię i pociągnął za sobą.

- To jest nasz dom. Pamiętasz?

- Do diabła, jasne! Założę się, że pierwszy dobiegnę na werandę!

Pobiegli. Korony drzew szumiały nad głową kapitana Blacka; pod jego stopami drżała ziemia. Widział złocistą postać Edwarda Blacka, która wyprzedziła go w tym zdumiewająco rzeczywistym śnie. Ujrzał dom, zbliżający się każdą chwilą, szeroko otwarte siatkowe drzwi.

- Wygrałem! - krzyknął Edward.

-Jestem starym człowiekiem - wydyszał kapitan - a ty wciąż młodzieńcem. Pamiętam zresztą, że zawsze ze mną wygrywałeś.

W drzwiach stała mama, pulchna, promienna i rumiana. Za nią czekał ojciec o szpakowatych włosach. W dłoni trzymał fajkę.

- Mamo, tato!

Kapitan Black jak dziecko pobiegł im na spotkanie.

* * *

To było długie, cudowne popołudnie. Zjedli późny lunch i usiedli w salonie, a on opowiedział im wszystko o swej rakiemie, podczas gdy oni przytakiwali i uśmiechali się do niego. Matka była taka sama jak zwykle; ojciec odgryzł koniuszek cygara i jak zawsze zapalił je z namysłem. Wieczorem na stole pojawił się wielki pieczony indyk. Czas płynął, a kiedy ogryziono już ostatnie udko i na talerzach pozostały tylko stosiki kruchych kości, kapitan wygodniej rozparł się w fotelu i odetchnął z głębokim zadowoleniem. Wśród drzew przyczała się noc, powlekając niebo ciemnością. Lampy wewnątrz domu otaczała poświata różowego blasku. Ze wszystkich innych budynków przy głównej ulicy dobiegały dźwięki muzyki, gry na pianinach, trzasku drzwi.

Mama puściła płytę na patefonie i zatańczyła z kapitanem Johnem Blackiem. Pachniała tymi samymi perfumami, które pamiętał z owego lata, kiedy wraz z ojcem zginęli w wypadku kolejowym. Jednakże teraz, tańcząc lekko w rytm muzyki, czuł ją w ramionach, prawdziwą, namacalną.

- Nie każdego dnia - rzekła - dostajemy drugą szansę w życiu.
- Rano obudzę się - stwierdził kapitan - i będę w rakiemie, w przestrzeni. Wszystko to zniknie.
- Nie myśl tak - zawołała cicho. - Przestań wątpić, Bóg jest dla nas dobry. Radujmy się.
- Przepraszam, mamó.

Igła ze zgrzytem dotarła do końca płyty.

- Jesteś zmęczony, synu - tato uczynił gest dłonią trzymającą fajkę. - Przygotowaliśmy dla ciebie twoją starą sypialnię, mosiężne łóżko i tak dalej.

- Ale przecież powinienem zebrać moich ludzi.

- Po co?

- Po co? Sam nie wiem. Chyba nie ma powodu. Nie, to bez sensu. Wszyscy jedzą albo leżą już w łóżkach. Porządny długi sen nikomu nie zaszkodzi.

- Dobranoc, synu - mama ucałowała go w policzek. - Dobrze jest znowu widzieć cię w domu.

- Dobrze jest znowu być w domu.

Porzuciwszy krainę dymu z cygara, perfum, książek i miękkiego światła, wspiął się po schodach, cały czas rozmawiając z bratem. Edward pchnął drzwi i kapitan ujrzał przed sobą żółte mosiężne łóżko, stare chorągiewki kolejowe, jeszcze z liceum, i wyleniąta skórka szopa, którą pogładził z czułością.

- To zbyt wiele - rzekł. - Jestem zmęczony i otepiały. Miałem dziś za dużo wrażeń. Czuję się, jakbym przez czterdzieści osiem godzin stał na ulewnym deszczu bez płaszcza i parasola. Jestem przemoczony uczuciami - do suchej nitki.

Edward przyglądał się śnieżnobiałą pościel i uklepał poduszki. Potem uniósł okno pozwalając,

by do sypialni napłynęła słodka woń jaśminu. Świecił księżyc, z dala dobiegały ciche odgłosy szeptów i tańca.

- A zatem to jest Mars - mruknął kapitan, rozbierając się powoli.

- Owszem. - Edward leniwie, bez pośpiechu ściągnął przez głowę koszulę, odsłaniając złociste ramiona i muskularny kark.

Światła zgasły; leżeli w łóżku obok siebie, jak kiedyś - ile dziesiątków lat temu? Kapitan umościł się wygodnie, chłonąc zapach jaśminu, przenikający przez firanki do pogrążonego w mroku pokoju. Na trawniku wśród drzew ktoś nakręcił przenośny fonograf, z którego popłynęły łagodne dźwięki „Na zawsze”.

Nagle pomyślał o Marilyn.

- Czy Marilyn tu jest?

Jego brat, wyciągnięty w blasku księżyca wpadającym przez okno, odczekał przez chwilę, po czym rzekł:

- Tak. Musiała wyjechać. Ale rano wróci. Kapitan zamknął oczy.

- Bardzo chciałbym znów zobaczyć Marilyn. W kanciastym pokoju panowała cisza, zmacona jedynie szmerem ich oddechów.

- Dobranoc, Ed. Chwila milczenia.

- Dobranoc, John.

Leżał spokojnie, pozwalając swobodnie wędrować swym myślom. Po raz pierwszy towarzyszące mu przez cały dzień napięcie ustąpiło i znów mógł myśleć logicznie. Wszystkie te emocje. Orkiestra grająca fanfarę. Znajome twarze. Ale teraz...

Jak? - zastanawiał się w ciszy. Jak to możliwe? I dlaczego? Po co? Czyżby wszystko to stanowiło przejaw dobroci ze strony nieznannej potęgi? Czy Bóg naprawdę dba o swoje dzieci? Jak, po co, dlaczego?

Ponownie rozważył teorie, wysunięte w pierwszych godzinach upalnego popołudnia przez Hinkstona i Lustiga. Następnie sam począł przesiewać kolejne pomysły, przesypany je w swym umyśle niczym kamyczki, rzucające mętne pobłyski światła. Mama. Tato. Edward. Mars. Ziemia. Mars. Marsjanie.

Kto żył na Marsie tysiąc lat temu? Marsjanie? A może zawsze był taki jak teraz?

Marsjanie. Bez pośpiechu powtórzył w umyśle to słowo.

O mało nie zaśmiał się w głos, nagle bowiem przyszła mu do głowy zupełnie idiotyczna

teoria, która sprawiła, że po plecach przebiegł mu zimny dreszcz. Oczywiście to zupełna bzdura. Kompletnie nieprawdopodobna. Głupota. Zapomnij o tym. To nic.

Ale, pomyślał, przypuśćmy jednak... Tylko przypuśćmy, że na Marsie rzeczywiście żyją Marsjanie, którzy ujrzeli nasz statek, zbliżający się do ich planety, i nas w jego środku, i zniechęcili nas. Przypuśćmy zatem, ot tak, dla zabawy, że uznali nas za najeźdźców, nieproszonych gości, i postanowili nas zniszczyć, a w dodatku uczynić to w bardzo sprytny sposób, tak aby nas zaskoczyć. Jaka byłaby najlepsza broń, którą mogliby zastosować Marsjanie przeciw przybyszom z Ziemi, uzbrojonym w bomby atomowe?

Odpowiedź wydała mu się ciekawa. Telepatia, hipnoza, pamięć i w ogóle wyobraźnia.

Przypuśćmy, że wszystkie te domy nie są prawdziwe, podobnie jak łóżko, w którym leżę, lecz stanowią jedynie wytwory mojej własnej wyobraźni, którym telepatia i hipnoza Marsjan nadały pozór rzeczywistości, pomyślał kapitan John Black. Przypuśćmy, że domy są w istocie zupełnie inne, marsjańskie z kształtu i wyglądu, lecz igrając z moimi pragnieniami i marzeniami ci Marsjanie sprawili, że widzę moje rodzinne miasteczko, mój własny dom; dzięki temu sprawili, że pozbywamy się podejrzeń. Któż lepiej zdołałby oszukać człowieka, jeśli nie jego własna matka i ojciec?

I to miasto, tak stare, pochodzące z 1926 roku, na długo przed narodzinami wszystkich członków mojej załogi. Miałem wówczas sześć lat, ludzie słuchali płyt Harry'ego Laudera, a obrazy Maxfielda Parrisha nadal wisiały na ścianach. Stworzyli miasteczko, w którym można znaleźć zasłony z paciorków, „Piękne nurty Ohio” i zabytki architektury z przełomu wieków. A jeśli Marsjanie zaczerpnęli wizję miasta wyłącznie z mojego umysłu? Podobno wspomnienia z dzieciństwa pozostają najwyraźniejsze. A kiedy już wzniesli miasto według moich myśli, zaludnili je najbliższymi osobami wszystkich członków załogi!

I przypuśćmy, że tych dwoje ludzi, śpiących smacznie w sąsiednim pokoju, to nie moja matka i mój ojciec, ale dwoje Marsjan, niewiarygodnie inteligentnych i obdarzonych zdolnością narzucania mi sennych hipnotycznych myśli.

A ta orkiestra dęta? To byłby naprawdę wspaniały plan. Najpierw należy oszukać Lustiga, potem Hinkstona. Następnie zgromadzić tłum i wszyscy ludzie w rakiemie, widząc matki, ciotki, wujów, ukochane, nie żyjących od dziesięciu, dwudziestu lat, naturalnie wybiegną na zewnątrz, lekceważąc rozkazy i porzucając statek. Cóż prostszego? Cóż bardziej niewinnego? Kiedy ktoś wskrzesza nam matkę, nie zadajemy wielu pytań; jesteśmy zbyt szczęśliwi. I oto znaleźliśmy się tutaj - każdy w innym domu, łóżku, pozbawieni broni i wszelkiej ochrony, rakieta zaś leży pusta w blasku księżyca. I czyż nie byłoby straszne odkryć, że wszystko to stanowiło jedynie część wielkiego, przebiegłego planu Marsjan, zmierzającego do tego, by nas rozdzielić, pokonać, zabić? I może w nocy mój brat, leżący ze mną w łóżku, zmieni postać, stopi się, przeistoczy i stanie się czymś innym, straszliwą istotą, Marsjaninem. Cóż łatwiejszego niż odwrócić się i wbić mi nóż prosto w serce. A we wszystkich innych domach na tej ulicy tuzin innych braci czy ojców też zmieniłby się nagle i dobywając noży, pozbyłby się niczego nie podejrzewających, uspiionych przybyszów z Ziemi...

Jego dłonie pod kołdrą dygotały, na ciele wystąpił zimny pot. To już nie była teoria. Nagle zaczął się bać.

Uniósł się na łóżku, nasłuchując. Noc była bardzo cicha. Muzyka umilkła. Wiatr zamarł. Brat leżał uśpiony u jego boku.

Kapitan ostrożnie podniósł kołdrę i złożył ją. Zsunął się z łóżka i stąpając cicho, ruszył przez pokój, gdy jego brat spytał:

- Dokąd idziesz?

-Co?

Głos brata był bardzo zimny.

- Pytałem, dokąd idziesz?

- Napić się wody.

- Ale przecież nie chce ci się pić.

- Owszem, chce.

- Ależ nie.

Kapitan John Black rzucił się biegiem naprzód. Krzyknął raz. Drugi.

Nie zdołał dotrzeć do drzwi.

* * *

Rankiem orkiestra dęta zagrała żałobną melodię. Z każdego domu wynurzył się krótki uroczysty orszak, niosący długą skrzynię. Całą rozświetloną ulicę wypełnili płaczący krewni, babcie, matki i siostry, bracia, wujowie i ojcowie; razem pomaszerowali na cmentarz, gdzie wykopano już świeże doły i przygotowano nagrobki. Szesnaście dołów, szesnaście nagrobków.

Burmistrz wygłosił krótką, smutną mowę. Chwilami jego oblicze przypominało twarz urzędnika, chwilami kogoś zupełnie innego.

Matka i ojciec Blackowie byli tam wraz z bratem Edwardem. Płakali, zaś ich twarze o znajomych rysach rozpływały się, odsłaniając obce oblicza.

Obok nich stali babcia i dziadek Lustigowie, także roniąc łzy. Ich twarze ściekały niczym wosk, otoczone falą rozedrganego powietrza, jak wszystko w upalny dzień.

Po chwili trumny zostały spuszczone do grobów. Ktoś mruknął cicho o „niespodziewanej i nagłej śmierci, która spotkała nocą szesnastu dzielnych ludzi...”

O wieka trumien zabębniły grudy ziemi.

Orkiestra, grająca „Kolumbię, perłę oceanu”, pomaszerowała z powrotem do miasta i wszyscy wzięli sobie dzień wolny.

Czerwiec 2001: W księżycowy blask

Gdy po raz pierwszy wyszli z rakiety w noc, było tak zimno, że Spender zaczął zbierać suche marsjańskie drewno i rozpałił niewielkie ognisko. Nie wspomniał przy tym ani słowem o okazji do świętowania; zebrał jedynie drwa, podpałił je i patrzył, jak płoną.

W blasku ognia, rozjaśniającym rozrzedzone powietrze tego wyschniętego marsjańskiego morza, obejrzał się przez ramię i ujrzał raketę, która sprowadziła tu ich wszystkich - kapitana Wildera, Cherokee, Hathawaya, Sama Parkhilla i jego samego, przeniosła ich poprzez milczącą czerń gwiazdnej otchłani na ten martwy, uśpiony świat.

Jeff Spender czekał na jakikolwiek hałas, obserwował swych towarzyszy wiedząc, że któryś z nich zacznie w końcu podskakiwać i krzyczeć. Stanie się to, gdy tylko odrętwienie towarzyszące myśli, że są „pierwszymi” ludźmi na Marsie, ustąpi. Żaden z nich nie odezwał się ani słowem, ale wielu żywiło w duchu nadzieję, że poprzednie wyprawy poniosły klęskę i że właśnie ich, czwarta, okaże się tą jedyną. Nie było w tym zresztą nic strasznego. Jednakże stali tam, zamyśleni, marząc o honorze i sławie, podczas gdy ich płuca przywykały do rzadkiej atmosfery, która sprawiała, że jeśli człowiek ruszył się za szybko, czuł się niemal jak pijany.

Gibbs podszedł do jasno płonącego ogniska.

- Czemu nie uruchomimy chemicznego ogrzewania statku zamiast palić drewno?
- Daj spokój - odparł Spender, nie patrząc na niego.

Pierwszej nocy na Marsie nie powinni czynić hałasu, anonsować swego przybycia obcym, bezsensownym blaskiem kuchenki. Stanowiłoby to niemal bluźnierstwo. Później nadejdzie jeszcze czas na ogrzewanie, czas na rzucanie puszek po mleku skondensowanym w głąb dumnych marsjańskich kanałów, czas na strony z „New York Timesa”, fruujące na wietrze i szeleszczące na dnie samotnych, szarych marsjańskich mórz, czas na skórki od bananów i papierki po kanapkach pośród delikatnych żłobkowanych ruin starych marsjańskich miast. Będzie dużo czasu. Myśl ta sprawiła, że zadrżał w duchu.

Podsyczał ogień, powoli dorzucając drwa, zupełnie jakby składał ofiarę martwemu olbrzymowi. Wylądowali na gigantycznym grobie. Na tej planecie zginęła cywilizacja. Zwykła grzeczność wymagała, by pierwszą noc spędzili spokojnie.

- Nie tak wyobrażam sobie zabawę. - Gibbs odwrócił się do kapitana. - Kapitanie, pomyślałem, że może warto by otworzyć parę butelek dzinu, kilka puszek mięsa i rozerwać się trochę.

Kapitan Wilder spoglądał ku oddalonemu o milę martwemu miastu.

- Wszyscy jesteście zmęczeni - rzekł nieobecny głosem, jakby zapomniał o swej załodze,

całą uwagę skupiając na ruinach. - Może jutro wieczorem. Dziś powinna wystarczyć nam świadomość, że przebyliśmy całą tę przestrzeń nie zderzywszy się z meteorem, i że wszyscy jesteśmy żywi.

Ludzie poruszyli się niespokojnie. W sumie było ich dwudziestu. Klepali się po plecach i poprawiali pasy. Spender obserwował ich. Nie byli zadowoleni. Ryzykowali życiem, aby osiągnąć coś wielkiego. Teraz pragnęli się upić, wrzeszczeć, strzelać w powietrze, pokazać, jacy są cudowni. Wybili przecież dziurę w niebie i dotarli rakieta aż na Marsa.

Jednakże nikt nie krzyczał.

Kapitan wydał cichy rozkaz. Jeden z ludzi pobiegł do statku i przyniósł puszki z prowiantem; nadal milcząc otwarli je i rozdali. W końcu ludzie zaczęli rozmawiać. Kapitan usiadł między nimi, głośno omawiając przebieg wyprawy. Wszyscy znali go doskonale, dobrze jednak było wiedzieć, że mają to już za sobą. Nie wspominali nawet o drodze powrotnej. Ktoś co prawda poruszył ten temat, ale kazali mu się zamknąć. Łyżki poruszały się miarowo w promieniach dwóch księżyców; jedzenie smakowało im jak nigdy, wino było jeszcze lepsze.

Nagle na niebie rozbłysła smuga ognia i po sekundzie obok obozu wylądowała rakietka pomocnicza. Spender patrzył, jak otwiera się niewielki właz i wychodzi z niego Hathaway, lekarz i geolog wyprawy - wszyscy jej członkowie mieli podwójne specjalności, to pozwalało zmniejszyć koszty. Powoli podszedł do kapitana.

- I co? - spytał Wilder.

Hathaway uniósł wzrok ku odległym miastom, połyskującym w blasku gwiazd. Po chwili, kiedy jego wzrok wyostrzył się, przełknął ślinę i rzekł:

- To miasto, kapitanie, jest martwe i było takie od wielu tysięcy lat. Podobnie trzy pozostałe, leżące wśród wzgórz. Ale piąte, dwieście mil stąd...

- Co z nim?

- Jeszcze w zeszłym tygodniu było zamieszkane. Spender podniósł się z miejsca.

- Przez Marsjan - dodał Hathaway.

- Gdzie są teraz?

- Nie żyją - odparł geolog. - Wszedłem do domu przy jednej z ulic. Sądziłem, że tak jak pozostałe miasta i budowle jest martwy od wieków. Mój Boże, tam leżały ciała. Zupełnie jakbym brodził wśród stosu jesiennych liści. Przypominały suche patyki, kawałki spalonego papieru. I były świeże. Nie żyli najwyżej od dziesięciu dni.

- Sprawdziłeś inne miasta? Widziałeś cokolwiek żywego?

- Absolutnie nic. Toteż ruszyłem dalej, zwiedzając kolejne osady. Cztery na pięć stały puste

od tysięcy lat. Nie mam pojęcia, co spotkało ich pierwotnych mieszkańców. Ale w co piątym zawsze zastawałem to samo. Zwłoki. Tysiące ciał.

- Na co umarli? - Spender ruszył ku niemu.
- Nie uwierzyłbyś.
- Co ich zabiło?
- Wietrzna ospa - odparł z prostotą Hathaway.
- Mój Boże, nie!

- Owszem. Przeprowadziłem testy. Wietrzna ospa. Przebiegała u Marsjan zupełnie inaczej niż na Ziemi. Przypuszczam, że ich metabolizm zareagował odmiennie. Choroba zupełnie ich wypaliła i wysuszyła, pozostawiając kruche skorupy. Ale to ospa wietrzna, bez cienia wątpliwości. Zatem York, kapitan Williams i kapitan Black musieli dotrzeć na Marsa. Wszystkie trzy wyprawy. Bóg jeden wie, co ich spotkało. Ale wiadomo przynajmniej, co niechcący przywieźli ze sobą na Marsa.

- Żadnych innych śladów życia?

- Istnieje możliwość, że niewielka część Marsjan okazała się sprytna i uciekła w góry. Ale to nie wystarczy. Założę się o wszystkie pieniądze, że jest ich zbyt mało, by spowodować dla nas kłopoty z tubylcami. Ta planeta jest martwa.

Spender odwrócił się i ponownie usiadł przy ognisku, zapatrzony w płomień. Wietrzna ospa, mój Boże, wietrzna ospa, pomyślcie tylko! Przez miliony lat rasa rozwija się, wznosi na coraz wyższe poziomy, buduje miasta jak to tutaj, czyni wszystko, by zyskać doskonałość, piękno i szacunek, a potem ginie. Część jej umiera powoli, w stosownym czasie, przed naszym nadejściem, z godnością. A reszta? Czy pozostała część mieszkańców Marsa padła ofiarą choroby o pięknej i groźnej nazwie, nazwie pełnej majestatu? Nie, w imię wszystkich świętości, to musiała być ospa wietrzna, choroba, która na Ziemi nie zabija nawet dzieci. To nie w porządku, to niesprawiedliwe. Zupełnie jakby Grecy wymarli na świnkę, a dumny Rzym na siedmiu wzgórzach padł ofiarą grzybicy. Gdybyśmy tylko dali Marsjanom dość czasu, pozwolili im przywdziać strojne całuny, położyć się na marach i wynaleźć sobie inną przyczynę śmierci, byle nie bezsensowną, paskudną wietrzną ospę. Coś takiego nie pasuje do architektury, do tego całego świata!

- W porządku, Hathaway, weź sobie coś do jedzenia.
- Dziękuję, kapitanie.

I wszystko wróciło do normy. Ludzie podjęli przerwane rozmowy.

Spender nie odrywał od nich oczu. Swoją porcję zostawił nietkniętą. Czuł, jak grunt stygnie mu pod palcami. Jasne gwiazdy płonęły na niebie; zdawało się, że opadają coraz niżej.

Kiedy ktokolwiek odzywał się nazbyt głośno, kapitan odpowiadał mu, zniżając głos tak, aby

naśladować go, także ucichł.

W powietrzu unosił się młody, świeży zapach. Spender przez długi czas trwał w bezruchu, napawając się tą wonią. Składało się na nią wiele rzeczy, których nie potrafił rozpoznać: kwiaty, związki chemiczne, pyły, wiatr.

- To właśnie wtedy w Nowym Jorku poznałem tę blondynkę, jak jej było? Ginnie! - wykrzyknął Biggs. - Właśnie tak, Ginnie!

Spender sprężył się cały. Jego ręka zaczęła dygotać. Oczy pod cienkimi powiekami poruszyły się niespokojnie.

- I Ginnie powiedziała... - wykrzyknął Biggs. Mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

- Więc dałem jej w twarz! - dokończył Biggs, wymachując butelką.

Spender odstawił talerz. Słuchał chłodnego wiatru, szepczącego mu do uszu. Spoglądał na lodowate bryły białych marsjańskich budowli, wznoszących się na pustych lądomorzach.

- Co za kobieta, co za kobieta! - Biggs uniósł flaszkę do szerokich ust i wysączył jej zawartość. - Nigdy nie znałem lepszej!

W powietrzu unosiła się woń spoconego ciała Biggsa. Spender pozwolił ogniovi przygasnąć.

- Hej, dorzuc no drewna, Spender! - rzucił Biggs, zerkając na niego przez moment, po czym wrócił do swej butelki. - Którejś nocy Ginnie i ja...

Mężczyzna nazwiskiem Schoenke ujął akordeon i wyciął parę hołubców, wzbijając tuman kurzu.

- Ohoho, ja żyję! - wykrzyknął.

- Hej! - ryknęli pozostali, odrzucając puste talerze. Trzech ustawiło się w rząd, wymachując nogami niczym tancerki w rewii, do wtóru głośnych żartów. Pozostali zaczęli klaskać, domagając się dalszych występów. Cherokee ściągnął koszulę, ukazując spoconą nagą pierś, i zawirował w tańcu. Blask księżycy padał na jego ostrzyżone najeża włosy i młodą, gładko wygoloną twarz.

Na dnie morza wiatr poruszył słaby opar. Stożące na szczycie gór wielkie kamienne fasady spoglądały obojętnie na srebrzystą raketę i maleńkie ognisko.

Hałas stawał się głośniejszy - coraz więcej członków załogi dołączało do zabawy. Ktoś przytknął do ust organki, inny zaczął grać na owiniętym serwetką grzebieniu. Otwarto i opróżniono kolejnych dwadzieścia butelek. Biggs zataczał się wokół i wymachując rękoma, dyrygował tancerzami.

- Prosimy, kapitanie! - krzyknął Cherokee, zawodząc piosenkę.

Kapitan musiał dołączyć do tańca, choć wcale nie miał na to ochoty; jego twarz była śmiertelnie poważna. Spender obserwował go, myśląc: „Biedaku, co to za noc. Nie wiedzą nawet, co robią. Powinni byli odbyć specjalny kurs orientacyjny przed lotem na Marsa, wtedy wiedzieliby, jak patrzeć, poruszać się i choć przez kilka dni zachowywać się przyzwoicie”.

- Wystarczy. - Kapitan odłączył się od reszty i usiadł, tłumacząc się zmęczeniem. Spender spojrzał na jego pierś. Wcale nie poruszała się szybciej, nie dostrzegł też śladu potu.

Akordeon, organki, wino, krzyki, tańce, zawodzenie, szczęk naczyń, śmiech.

Biggs potykając się dotarł na brzeg marsjańskiego kanału. Przyniósł ze sobą sześć pustych butelek i teraz ciskał je kolejno w głęboką, błękitną wodę. Flaszki tonęły z próżnym, głuchym bulgotem.

- Chrzczę cię, chrzczę cię, chrzczę cię... - wybełkotał Biggs. - Chrzczę cię Kanałem, Kanałem Biggsa...

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, Spender zerwał się na nogi, przeskoczył ogień i stanął obok pijanego mężczyzny. Uderzył Biggsa raz w zęby i raz w ucho. Ten zachwiał się i runął do kanału. Spender usłyszał donośny plusk i czekał w milczeniu, aby Biggs wygramolił się z powrotem na kamienny brzeg. Do tego czasu pozostali przytrzymali go już.

- Hej, co cię gryzie, Spender? - pytali.

Biggs wydzwignął się na brzeg i stanął, ociekając wodą. Ujrawszy mężczyzn przytrzymujących Spendera, mruknął „no” i ruszył naprzód.

- Wystarczy - warknął kapitan Wilder. Towarzysze Spendera puścili go. Biggs przystanął i obejrzał się na dowódcę.

- W porządku, Biggs, przebierz się w coś suchego. Wy tam, nie przeszkadzajcie sobie! Spender, chodź ze mną!

Mężczyźni podjęli przerwana zabawę. Wilder odszedł kawałek, po czym spojrzał wprost na Spendera.

- Może zechciałby pan wyjaśnić mi, co się stało? - spytał. Spender patrzył w głąb kanału.

- Nie wiem. Było mi wstyd. Za Biggsa, za nas wszystkich i za ten hałas. Chryste, co za przedstawienie.

- Odbyli długą podróż. Muszą się rozerwać.

- Gdzie się podziała ich przyzwoitość, kapitanie? Ich godność, poszanowanie odmienności?

- Jest pan zmęczony i inaczej spogląda na pewne rzeczy, Spender. Płaci pan grzywnę, pięćdziesiąt dolarów.

- Tak jest. Po prostu pomyślałem, że oni patrzą, jak robimy z siebie głupców.

-Oni?

- Marsjanie, nieważne - żywi czy martwi.

- Niewątpliwie martwi - stwierdził kapitan. - Sądzi pan, iż wiedzą, że tu jesteśmy?

- Czyż stare nie wyczuwa zawsze nadejścia nowego?

- Chyba tak. Gada pan, jakby wierzył w duchy.

- Wierzę w rzeczy, których dokonano, a na Marsie istnieją ślady, że dokonano tu mnóstwa rzeczy. Są tu ulice, domy, pewnie także książki, wielkie kanały i pomieszczenia, w których trzymano, jeśli nie konie, to inne domowe zwierzęta. Może dwunastonogie, kto wie? Wszędzie, gdzie spojrzę, dostrzegam rzeczy zdradzające ślady użycia. Dotykano ich, wykorzystywano przez całe wieki.

Jeśli zatem pyta mnie pan, czy wierzę w ducha używanych rzeczy, to owszem, wierzę. To wszystko tu jest. Wszystkie przedmioty, niegdyś tak powszechne. Góry też miały kiedyś własne nazwy. I nigdy nie zdołamy wykorzystać ich, nie czując się przy tym niezręcznie. Nie przywyknijemy do tych gór: nadamy im nowe nazwy, ale nigdy nie zabrzmia one właściwie, bowiem stare nazwy istnieją gdzieś, skryte w otchłani czasu, i to właśnie one kształtowały niegdyś te szczyty. Imiona, które nadamy kanałom, górcom i miastom, spłyną po nich niczym woda po kaczce. Nieważne, jak bardzo będziemy próbowali, nigdy nie zdołamy dotknąć sedna Marsa. A potem zacnie nas to złościć i wie pan, co zrobimy? Zniszczymy go. Zedrzymy z niego skórę, aby nadać mu nowe oblicze.

- Nie zrujnujemy Marsa - zaprotestował kapitan. - Jest zbyt wielki i zbyt piękny.

- Tak pan sądzi? My, Ziemianie, mamy talent do niszczenia wielkich pięknych rzeczy. Tylko dlatego nie umieściliśmy budek z hot dogami pośrodku egipskiej świątyni w Karnaku, że leży ona na uboczu i przez to nie przyciąga handlowców. Poza tym Egipt to tylko drobna część Ziemi. Tutaj jednak cały świat jest stary i obcy, a my musimy gdzieś się osiedlić i zacząć wszystko psuć. Kanałowi nadamy imię Rockefellera, górce - króla Jerzego, morzu - Duponta; ochrzcimy też miasta nazwiskami Lincolna, Roosevelta i Coolidge'a i nic nie będzie tak, jak powinno, bowiem miejsca te mają swe właściwe nazwy.

- To praca dla was, archeologów. Wy musicie odnaleźć stare nazwy, a my będziemy ich używać.

- Kilku ludzi przeciwko potędze interesów. - Spender spojrzął na pasmo żelaznych gór. - Oni wiedzą, że przybyliśmy tu dzisiaj, aby napluć im do wina, i zapewne nas nienawidzą.

Kapitan potrząsnął głową.

- Nie wyczuwam tu nienawiści. - Przez moment słuchał szmeru wiatru. - Sądząc z wyglądu ich miast, byli ludem filozofów, ceniących piękno i sztukę. Akceptowali to, co ich spotykało. Wiemy przecież, że pogodzili się nawet ze śmiercią całej swej rasy. Nigdzie nie widać śladów ostatniej i

rozpaczliwej walki, która poruszyłaby ich miasta. Wszystko, co dotąd oglądaliśmy, pozostało nietknięte. Prawdopodobnie nie mają nic przeciw naszej obecności, tak samo jak nie protestowałyby, gdyby na ich trawnikach zaczęły bawić się dzieci, bowiem pojmowali dokładnie dziecięce pragnienia. Zresztą może zetknięcie z tym światem odmieni nas na lepsze.

Czy dostrzegł pan ów szczególny spokój, jaki ogarnął naszych ludzi, póki Biggs nie zmusił ich do zabawy? Sprawiali wrażenie dziwnie pokornych i przerażonych. Teraz wiemy, że daleko nam do doskonałości. Jesteśmy jak dzieci w pajacykach, z krzykiem bawiące się raketami i atomami - głośne i pełne życia. Jednak pewnego dnia Ziemia stanie się taka jak Mars dzisiaj. To nas otrzeźwi. Podobne doświadczenie stanowi lekcję poglądową w dziedzinie cywilizacji. Mars wiele nas nauczy. A teraz niech pan podniesie głowę. Wracajmy i udawajmy, że świetnie się bawimy. Ale grzywnę i tak pan zapłaci.

* * *

Przyjęcie nie szło zbyt dobrze. Nad martwym morzem zerwał się wiatr. Zaczął krążyć wokół załogi, wokół kapitana i Jeffa Spendera, którzy tymczasem wrócili do pozostałych. Wiatr wzbijał w powietrze chmury pyłu, atakując niestrudzenie lśniąca raketę i akordeon. Kurz wciskał się w szczeliny organków, wpadał do oczu, zaś wiatr nucił wysoką melodyjną pieśń. Aż wreszcie, równie nagle, jak się wcześniej pojawił, wiatr ucichł.

Jednakże zabawa także się skończyła.

Ludzie stali bez ruchu na tle ciemnego, chłodnego nieba.

- Chłopaki, chodźcie! - Biggs wyskoczył ze statku w świeżym mundurze. Nie zaszczycił Spendera nawet jednym słowem. Jego głos zabrzmiał jak wołanie w wielkiej, pustej sali. Spenderowi wydał się samotny. - Chodźcie!

Nikt się nie ruszył.

- No, Whitie, łap się za organki!

Whitie posłusznie zagrał, lecz już pierwszy akord zadźwięczał obco i fałszywie. Mężczyzna otarł wilgotną harmonijkę i schował ją.

- To ma być zabawa? - rzucił Biggs.

Ktoś nacisnął akordeon, który jęknął jak konające zwierzę.

- W porządku, urządzimy własną zabawę. Ja i moja flaszką. - Biggs przykucnął obok rakiety, pociągając długi łyk.

Spender obserwował go. Przez długi czas trwał bez ruchu. Wreszcie jego palce popęzły wolno wzdłuż dygocącej nogi do tkwiącego w kaburze pistoletu i cicho, niemal niedostrzegalnie, poklepały grubą skórę.

- Czy ktoś ma ochotę wybrać się ze mną do miasta? - spytał kapitan. - Na wszelki wypadek zostawimy wartownika i zabierzemy broń.

Zaczęli zgłaszać się chętni. Czternastu, łącznie z Biggsem, który zameldował się ze śmiechem, wymachując butelką. Sześciu pozostałych wołało zostać.

- No to idziemy! - wrzasnął Biggs.

Całą grupą ruszyli naprzód, maszerując cicho. W blasku ścigających się po niebie bliźniaczych księżyców dotarli do granicy martwego miasta. Każdy z mężczyzn rzucał podwójny cień. Nie oddychali, a przynajmniej przez kilkanaście chwil tak się zdawało. Czekali, żeby coś poruszyło się wśród martwych budowli, by powstała z nich jakaś szara postać, aby pradawny, widmowy cień przeciął galopem dno wyschłego morza zakuty w starożytną stal -nieznany metal niewiarygodnego pochodzenia.

Oczy i umysł Spendera wypełniły ulicę postaciami. Po brukowanych alejkach krążyli ludzie, zwiewni niczym światła w błękitnej mgle. Towarzyszył im cichy, słaby pomruk; od czasu do czasu po szaroczerwonym piasku przemykało jakieś dziwne zwierzę. W każdym oknie pojawił się mieszkaniec, który wychylał się z niego, machając wolno ręką, jakby tkwił w beczkowej wodnej głębinie, i pozdrawiał kogoś, stojącego pod wieżami, srebrnymi w blasku księżyców. Jego wewnętrzne ucho usłyszało muzykę i Spender wyobraził sobie kształt instrumentu, który musiał ją zrodzić. Całą tę krainę nawiedzały duchy.

- Hej! - ryknął Biggs, wyprostowany, osłaniając usta dłońmi. - Hej! Wy tam, w mieście!

- Biggs! - warknął kapitan.

Mężczyzna ucichł.

Ruszyli naprzód wykładaną płytami ulicą. Teraz wszyscy już szeptali, bowiem czuli się, jakby weszli do wielkiej otwartej biblioteki czy może mauzoleum, w którym mieszkał wiatr, a gwiazdy dostarczały światła. Kapitan odezwał się półgłosem. Zastanawiał się, dokąd odeszli mieszkańcy miasta, kim byli, kto nimi władał, jak umarli? Rozmyślał też na głos, choć cicho, jak udało im się wznieść miasto tak, aby przetrwało wieki. Czy kiedykolwiek przybyli na Ziemię? Może byli przodkami Ziemiaków sprzed dziesięciu tysięcy lat? Czy znali miłość i nienawiść podobne ludzkim? I popełniali głupstwa tak jak oni?

Nikt się nie poruszył. Księżyce odnalazły ich i przyszpiliły do kamieni. Wiatr krążył wokół.

- Lord Byron - mruknął Jeff Spender.

- Jaki lord? - Kapitan odwrócił się do niego.

- Lord Byron, dziewiętnastowieczny poeta. Dawno, dawno temu napisał wiersz, który idealnie pasuje do tego miasta i do tego, co czuliby Marsjanie, gdyby jacyś jeszcze pozostali. Równie dobrze mógłby być dziełem ostatniego poety Marsa.

Ludzie stali bez ruchu, rzucając długie cienie. Wreszcie kapitan rzekł:

-Jak brzmi ten wiersz, Spender?

Spender przestąpił z nogi na nogę, uniósł dłoń i przez chwilę mrużył w skupieniu oczy. Wreszcie, przypomniawszy sobie, powtórzył cicho słowa; recytował powoli, miarowo, a towarzysze słuchali z uwagą.

*Już nie będzie się łaziło,
w ten mrok nocny, co nas krył,
choćby serce jeszcze biło,
choćby księżyc znów się skrzył.*

Miasto było szare, wyniosłe, nieruchome. Twarze ludzi zwracały się do światła.

*Miecz odrzuca zdartą pochew,
duch odmawia piersiom snu,
miłość niech odpocznie trochę,
serce musi nabrać tchu.*

*Więc choć noc kochania uczy,
i zbyt wczesnie wraca brzask –
nie będziemy już się włóczyć
w księżycowy blask.*

Ziemiańskie stali w milczeniu w samym środku miasta. Noc była spokojna, wokół nie rozlegał się żaden dźwięk poza szumem wiatru. Płyty dziedzińca układały się w kształty pradawnych zwierząt i ludzi. Przybysze spojrzeli na nie.

Nagle Biggs beknął. Jego oczy patrzyły tępo przed siebie, ręce powędrowały ku ustom. Zakrztusił się, zgiął się w pół i jego usta wypełnił strumień cieczy, która trysnęła na zewnątrz, rozbryzgując się po mozaice i pokrywając starożytne wzory. Biggs powtórzył to jeszcze dwukrotnie.

W chłodnym powietrzu rozeszła się ostra kwaśna woń.

Nikt nie poruszył się, aby mu pomóc. Mężczyzna nadal wymiotował.

Spender przez moment przyglądał mu się, po czym zawrócił i odszedł w głąb miasta, samotny w blasku księżyców. Ani razu nie przystanął, aby obejrzeć się na swych towarzyszy.

O czwartej nad ranem wrócili do rakiety. Położyli się owinięci kocami i zamknęli oczy, wciągając w płuca nieruchome powietrze. Kapitan Wilder siedział przy ognisku, podsycając płomień drobnymi patyczkami.

Dwie godziny później McClure ocknął się na moment.

- Nie idzie pan spać, kapitanie?

- Czekam na Spendera. - Dowódca uśmiechnął się lekko. McClure zastanowił się przez moment.

- Wie pan, kapitanie, mam wrażenie, że on już nie wróci. Nie wiem dlaczego, ale tak przypuszczam. On już tu nie wróci. Odwrócił się na drugi bok. Ogień trzasnął i zgasł.

Spender nie wracał przez cały tydzień. Kapitan rozesłał grupy poszukiwawcze, jednakże ludzie wrócili z niczym, twierdząc, że nie wiedzą, gdzie mógł się podziać. Kiedy będzie gotów, sam przyjdzie. To zapaleniec, powtarzali. Do diabła z nim!

Kapitan milczał, zapisywał jednak wszystko w dzienniku.

Rankiem dnia, który mógł być poniedziałkiem lub wtorkiem, lub jakimkolwiek innym dniem na Marsie, Biggs siedział na brzegu kanału. Nogi przewiesił przez krawędź, mocząc je w zimnej wodzie, podczas gdy twarz wystawił do słońca.

Na brzegu pojawił się mężczyzna. Jego cień padł na Biggsa, który uniósł wzrok.

- A niech mnie! - rzucił.

- Jestem ostatnim Marsjaninem - oznajmił mężczyzna, dobywając broni.

- Co powiedziałaś? - spytał Biggs.

- Zamierzam cię zabić.

- Przestań. Co to za żarty, Spender?

- Wstawaj i przyjmij to jak mężczyzna.

- Na miłość boską, odłóż pistolet.

Spender tylko raz pociągnął za spust. Biggs jeszcze przez moment siedział na brzegu kanału, po czym pochylił się naprzód i runął w wodę. Pistolet wydał z siebie cichy pomruk. Ciało powoli, beztrzesko płynęło z leniwym prądem. Przez chwilę słychać było cichy bulgot, który jednak wkrótce ustał.

Spender wsunął broń do kabury i odszedł bezszelestnie. Nad Marsem świeciło słońce. Czuł, jak promienie palą jego ręce i muskają napiętą twarz. Nie biegł; szedł, jakby nic się nie stało, a wokół był tylko słoneczny blask. Zbliżywszy się, ujrzał raketę i grupkę ludzi, jedzących świeżo przyrządzone śniadanie w cieniu rozbitego przez Cookiego namiotu.

- Idzie nasz samotnik - rzucił ktoś.

- Cześć, Spender! Dawno cię tu nie było. Czterej ludzie siedzący przy stole patrzyli na milczącego mężczyznę, który stał obok, przyglądając im się uważnie.

- Ty i te twoje przeklęte ruiny! - roześmiał się Cookie, mieszając w garnku czarny płyn. - Jesteś jak pies w składzie kości.

- Możliwe - odparł Spender. - Znalazłem różne rzeczy. Co byście powiedzieli na to, że natrafiłem na krążącego w pobliżu Marsjanina?

Cała grupka szybko odłożyła widelce.

- Naprawdę? Gdzie?

- Nieważne. Pozwólcie, że o coś was spytam. Jak byście się czuli, gdybyście to wy byli Marsjanami, a ludzie przybyli do waszego kraju i zaczęli go niszczyć?

- Wiem dokładnie, jak bym się czuł - odparł Cherokee. - W moich żyłach płynie krew Irokezów. Dziadek opowiadał mi często o Terytorium Oklahomy. I jeśli został tu gdzieś jakiś Marsjanin, jestem po jego stronie.

- A wy? - spytał ostrożnie Spender.

Nikt się nie odezwał. Ich milczenie wystarczyło za odpowiedź. Łap, ile wlezie. Co znajdziesz, to twoje. Jeśli ktoś nadstawi drugi policzek, uderz go czym prędzej. I tak dalej, i dalej...

- No cóż... - mruknął Spender. - Ja znalazłem Marsjanina. Patrzyli na niego, mrużąc oczy.

- Tam, w martwym mieście. Nie wiedziałem, że go spotkam. Nie zamierzałem nawet szukać. Nie mam pojęcia, co tam porabiał. Spędziłem tydzień w małym miasteczku w dolinie, ucząc się czytać pradawne księgi i oglądając starożytne dzieła sztuki. I któregoś dnia ujrzałem tego Marsjanina. Przez chwilę stał tam, po czym zniknął. Następnego dnia nie wrócił. Siedziałem przed domem, próbując odczytać stare pismo, gdy Marsjanin znów się pojawił; za każdym razem zbliżał się coraz bardziej. Aż wreszcie w dniu, kiedy zdołałem odcyfrować ich język - jest zdumiewająco prosty, istnieją też piktogramy, wspomagające naukę - Marsjanin stanął przede mną i rzekł: „Daj mi swoje buty”. Posłuchałem, a on na to: „Daj mi swój mundur i resztę ekwipunku”. A kiedy to uczyniłem,

rzekł: „Oddaj mi broń”. I dałem mu pistolet. Wówczas powiedział: „Teraz chodź ze mną i patrz, co się stanie”. Po tych słowach Marsjanin ruszył w stronę obozu. I teraz tu jest.

- Nie widzę żadnych Marsjan - stwierdził Cherokee.

- Przykro mi.

Spender wyjął pistolet, który zamruczał cicho. Pierwsza kula trafiła mężczyznę po lewej. Druga i trzecia pozbawiły życia siedzących po prawej i pośrodku stołu. Cookie ze zgrozą odwrócił się od kuchni tylko po to, by trafił go czwarty pocisk. Runął do tyłu, wprost w ogień i leżał tam, podczas gdy jego ubranie zajęło się płomieniem.

Rakieta leżała w słońcu. Trzej mężczyźni siedzieli przy śniadaniu z rękami na blacie. Nie poruszali się, niedcnięte jedzenie stygło przed nimi na stole. Cherokee, wciąż cały i zdrowy, patrzył na Spendera z tępym niedowierzaniem.

- Możesz pójść ze mną - rzekł Spender. Cherokee nie odpowiedział.

- Możesz mi w tym pomóc. - Spender czekał. Wreszcie chłopak zdołał wykrztusić.

- Zabiłeś ich - rzekł, odważywszy się spojrzeć na swych towarzyszy.

- Zasłużyli na to.

- Oszalałeś!

- Możliwe. Ale możesz ze mną pójść.

- Pójść z tobą! Po co? - krzyknął Cherokee. Jego twarz pobladła, z oczu spływały łzy. - Idź już! Wynos się stąd! Oblicze Spendera stężało.

- Myślałem, że spośród nich wszystkich ty jeden mnie zrozumiesz.

- Wynocha! - Cherokee sięgnął po broń.

Spender strzelił po raz ostatni. Mężczyzna przestał się ruszać.

Nagle Spender zachwiał się na nogach. Uniósł dłoń do spoconego czoła, zerknął na raketę i zaczął dygotać. Jego ciało zareagowało z taką siłą, że omal nie upadł. Twarz miała wyraz człowieka budzącego się z transu. Usiadł i poleciał swemu ciału, by przestało drżeć.

- Przestań! Przestań! - rozkazywał. Każdy jego mięsień kurczył się i dygotał. - Przestań! - miażdżył swe ciało myślą, dopóki nie wycisnął z niego ostatniej drgawki. Jego dłonie spoczęły bez ruchu na kolanach.

Wstał i zręcznie zarzucił na plecy szelki przenośnej lodówki. Przez moment jego dłońmi znów wstrząsnął dreszcz, jednak Spender rzucił stanowcze „Nie!” i drżenie ustało. Wówczas, maszerując

sztynno, zawrócił i skierował się samotnie pomiędzy rozpalone do czerwoności wzgórza Marsa.

* * *

Słońce uniosło się na niebie. Godzinę później kapitan wygramolił się z rakiety; miał ochotę na jajka na szynce. Właśnie zamierzał się przywitać z czterema ludźmi siedzącymi przy stole, gdy zmarł, czując w powietrzu słabiutką woń prochu. Ujrzał kucharza leżącego na ziemi w miejscu, gdzie jeszcze niedawno płonęło ognisko. Przed czwórką na stole stało jedzenie, całkiem już zimne. Chwilę później na drabince pojawił się Parkhill i jeszcze dwaj ludzie. Kapitan zagradzał ich drogę, zafascynowany milczącymi towarzyszami i tym, jak wciąż siedzieli przy śniadaniu.

- Zwołaj wszystkich, całą załogę - polecił kapitan.

Parkhill pobiegł wzdłuż kanału.

Kapitan dotknął ramienia Cherokee, który poruszył się lekko i padł na piasek. Jego krótkie szorstkie włosy i wysokie kości policzkowe jaśniały w palącym blasku słońca.

Zjawili się pozostali.

- Kogo brakuje?

- Wciąż tylko Spendera, kapitanie. Znaleźliśmy Biggsa w kanale.

- Spender!

Kapitan powiódł wzrokiem po wyrastającym w oddali łańcuchu wzgórz, wyszczerzającym zęby w paskudnym grymasie.

- Niech go diabli porwą! - rzekł ze znużeniem. - Czemu nie przyszedł i nie pogadał ze mną?

- To ze mną powinien być pogadać! - wykrzyknął Parkhill. Jego oczy płonęły. - Rozwaliłbym mu czerep, ot co!

Kapitan Wilder wezwał dwóch ludzi skinieniem głowy.

- Przynieście łopaty - rozkazał.

Ciężko było kopać groby w upale. Gorący wiatr znad pustego morza sypał im piaskiem w oczy, podczas gdy kapitan przewracał strony Biblii. Kiedy w końcu zatrzasnął książkę, ktoś zaczął spuszczać powolne strumienie piasku na nieruchome, spowite w koce postaci.

Potem wrócili do rakiety, sprawdzili zamki karabinów, zarzucili na plecy pojemniki z granatami i upewnili się, że pistolety gładko wychodzą z kabur. Następnie kapitan przydzielił każdemu kawałek terenu wśród wzgórz. Dowódca kierował nimi, nie podnosząc głosu i nie poruszając dłońmi. Jego ludzie tłoczyli się wokół niego.

- Idziemy! - rozkazał.

Spender ujrzał w dolinie kilka obłoczków kurzu i zrozumiał, że rozpoczął się pościg. Otworzył cienką srebrną książkę, którą czytał, siedząc wygodnie na płaskim głazie. Jej karty były wiotkie jak bibułka, utkane z czystego srebra i malowane ręcznie czernią i złotem. Był to traktat filozoficzny, liczący sobie co najmniej dziesięć tysięcy lat, który Spender znalazł w jednej z willi marsjańskiego miasta w dolinie. Teraz z najwyższą niechęcią odłożył go na bok.

Przez chwilę zastanawiał się, po co to wszystko? Zostanę tu, pogrążony w lekturze, póki nie zjawią się i nie zastrzelą mnie.

Jego pierwszą reakcją na zabicie sześciu ludzi tego ranka był okres zupełnego otępienia. Potem ogarnęły go mdłości, aż wreszcie osobliwy spokój. Jednakże on też minął, bowiem widok kurzu, wzbijanego nogami polujących nań mężczyzn, wzbudził u Spendera nową falę niechęci.

Pociągnął łyk chłodnej wody z wiszącej u pasa menażki. Następnie wstał, przeciągnął się, ziewnął i przez moment wsłuchał się w cudowną ciszę otaczającej go doliny. Jakże wspaniałe życie mogłoby tu prowadzić - on i jeszcze kilku innych, których znał na Ziemi! Dokonaliby tu żywota w milczeniu i beztrosce.

Ruszył naprzód, w jednej dłoni trzymając książkę, w drugiej gotowy do strzału pistolet. Wkrótce dotarł do wąskiego bystrego potoku, pełnego białych kamyków i głazów. Spender rozebrał się i, brodząc w wodzie, umył się bez pośpiechu. Już ubrany z powrotem podniósł broń.

Pierwsze strzały padły około trzeciej po południu. Do tego czasu Spender był już wysoko na wzgórzach. Szli za nim przez trzy małe osady. Nad miastami, rozrzucone niczym kamienie na trawie, stały pojedyncze wille, w których dawne rodziny odpoczywały na brzegach strumyka, wśród zieleni, w wykładanym kaflami

basenie, w bibliotece i na dziedzińcu, pośrodku którego pulsowała fontanna. Spender pluskał się przez pół godziny w jednym z basenów pełnym deszczowej wody, czekając, aż ścigający zrównają się z nim.

Gdy opuszczał willę, w powietrzu świsnęła kula. Jeden z kaflí dwadzieścia stóp za nim eksplodował. Spender pobiegł naprzód, oszczędzając siły. Skręcił za rząd niewysokich skałek, zawrócił i pierwszym strzałem powalił jednego ze ścigających go ludzi, który martwy runął na ziemię.

Spender wiedział, że jego prześladowcy utworzą wkrótce sieć, wielkie koło, okrążą go, po czym, zaciskając pętlę, dopadną go. Dziwne, że dotąd nie użyli granatów. Kapitan Wilder mógł już dawno wydać taki rozkaz.

Ale jestem nazbyt miły, by rozwalić mnie na kawałki, pomyślał Spender. Tak przynajmniej uważa kapitan. Chce, żeby moje ciało skaziła tylko jednak dziura. Czyż to nie dziwne? Pragnie, abym zginął czystą śmiercią, nic paskudnego. Czemu? Bo mnie rozumie. A ponieważ rozumie, jest gotów ryzykować życie porządnych ludzi, byle tylko zabili mnie czystym strzałem w głowę.

Znów zagrzecgotały kule. Dziewięć, dziesięć. Kamienie wokół niego zaczęły podskakiwać. Spender odpowiadał miarowymi strzałami, czasem nawet nie odrywając wzroku od trzymanej w ręku srebrnej książki.

Kapitan wybiegł na słońce, unosząc w dłoniach karabin. Spender podążył za nim wzrokiem, cały czas trzymając go na muszce. Nie wystrzelił jednak. Zamiast tego uniósł broń i zdmuchnął szczyt skałki, za którą ukrywał się Whitie. Odpowiedział mu gniewny okrzyk.

Nagle kapitan przystanął. W rękach trzymał białą chusteczkę. Powiedział coś do swych ludzi i odłożywszy karabin, zaczął wspinać się po zboczu góry. Spender leżał przez chwilę bez ruchu, po czym dźwignął się na nogi, nie opuszczając broni.

Kapitan podszedł bliżej i usiadł na ciepłym głazie, przez chwilę w ogóle nie patrząc na Spendera.

Wreszcie sięgnął do kieszeni kurtki. Palce Spendera zacisnęły się na kolbie pistoletu.

- Papierosa? - zaproponował kapitan.

- Dzięki! - Spender poczęstował się.

- Ognia?

- Mam własny. Zaciągnęli się w milczeniu.

- Ciepło - zauważył kapitan.

- Owszem.

- Wygodnie tu panu?

-Tak.

- Jak pan sądzi, ile czasu się pan utrzyma?

- Dostatecznie długo, by zabić jakichś dwunastu ludzi.

- Czemu nie wystrzelał nas pan dziś rano, kiedy miał pan okazję? Wie pan chyba, że mógł pan to zrobić?

- Owszem. Źle się poczułem. Kiedy dostatecznie silnie czegoś pragniemy, zaczynamy się okłamywać. Mówimy, że pozostali ludzie nie mają racji. Cóż, wkrótce po tym, gdy zacząłem ich zabijać, uświadomiłem sobie, że to zwykli głupcy i nie powinienem był tego robić. Ale było już za późno. Nie mogłem wówczas kontynuować przerwane zadania, toteż wróciłem tutaj, aby pooszukiwać się jeszcze trochę, znów poczuć gniew dostatecznie mocny, by dokończyć dzieło.

- I co? Jest już dostatecznie mocny?

- Nie aż tak bardzo. Wystarczająco. Kapitan przyglądał się swemu papierosowi.

- Czemu to pan zrobił?

Spender delikatnie odłożył broń na piasek.

- Ponieważ przekonałem się, że to, co mieli tu Marsjanie, wykraczało poza wszystko, o czym możemy marzyć. Zatrzymali się tam, gdzie i my powinniśmy to zrobić sto lat temu. Zwiedzałam ich domy, poznałem ów lud i z chęcią nazwałbym ich moimi przodkami.

- Mają tu piękne miasto - kapitan skinieniem głowy wskazał jedno ze skupisk budowli.

- I nie tylko. Owszem, miasta są dobre. Marsjanie potrafili połączyć sztukę z życiem, a ta umiejętność zawsze była obca Amerykanom. Sztuka to coś, co trzymamy w pokoju syna na poddaszu, coś, co przyjmuje się w małych dawkach co niedziela, czasem zmieszane z religią. Cóż, ci Marsjanie mieli sztukę, religię i wszystko pozostałe.

- Uważasz pan, że wiedzieli, o co w tym wszystkim chodzi?

- Założę się o każdy grosz.

- I dlatego właśnie zaczął pan strzelać do ludzi?

- Kiedy byłem mały, rodzice zabrali mnie na wycieczkę do Meksyku. Zawsze będę pamiętał, jak zachowywał się wówczas mój ojciec. Był głośny i prostacki. Matce nie podobali się tamtejsi ludzie, bo mieli ciemną skórę i za rzadko się myli, a siostra w ogóle nie chciała z nimi rozmawiać. Tylko ja dobrze się tam czułem. Wyobrażam sobie moją matkę i ojca, jak przylatują na Marsa i zachowują się dokładnie jak wtedy. Wszystko, co obce, budzi wrogość przeciętnego Amerykanina. Jeśli miasto nie ma chicagowskiej kanalizacji, jest do niczego. Proszę tylko pomyśleć! O Boże, co za koszmar! A potem wojna. Słyszał pan przemowy w Kongresie przed naszym startem. Jeśli wszystko się uda, wkrótce na Marsie powstaną trzy ośrodki badań jądrowych i składy broni atomowej. A to oznacza, że Mars jest skończony. Wszystkie te cuda odejdą. Jak by się pan czuł, gdyby Marsjanin zwymiotował przetrawionym alkoholem na podłogę Białego Domu?

Kapitan słuchał w milczeniu. Spender ciągnął dalej:

- A potem do gry włączają się kolejne grupy nacisku: przedsiębiorstwa górnicze, biura podróży. Pamięta pan, co spotkało Meksyk, kiedy Cortez i jego najdrożsi przyjaciele przybyli tam z Hiszpanii? Grupa chciwych, zadufanych bigotów zniszczyła całą cywilizację. Historia nigdy nie wybaczy Cortezowi.

- Pan sam też nie zachował się dziś specjalnie etycznie - zauważył kapitan.

- Co innego mogłem zrobić? Dyskutować? Byłbym sam przeciwko całej ziemskiej chciwości, nieuczciwości, niszczycielskiej korupcji. Wkrótce sprowadziliby tu swoje ohydne bomby atomowe, walcząc między sobą o bazy, z których można prowadzić wojny. Czy zniszczenie jednej planety już im nie wystarczy? Muszą zrujnować kolejną? Splugawić cudzą ojczyznę? Banda nadętych głupców!

Gdy wspiąłem się na te wzgórza, poczułem się nie tylko wolny od ich tak zwanej kultury, ale też od ich etyki i zwyczajów. Wyzwoliłem się z dawnego układu odniesienia. Pomyślałem, że wystarczy tylko zabić was wszystkich i mogę żyć własnym życiem.

- Ale nie udało się panu - stwierdził kapitan.

- Nie. Kiedy zastrzeliłem piątego człowieka przy śniadaniu, odkryłem, że nie jestem jednak kimś nowym; nie stałem się Marsjaninem. Nie potrafiłem tak łatwo odrzucić wszystkiego, czego nauczono mnie na Ziemi. Teraz jednak znów odzyskuję wiarę. Zabiję was wszystkich. To o dobrych pięć lat opóźni następną wyprawę. W tej chwili nasza rakietka jest jedyną, jaka istnieje. Ludzie na Ziemi odczekają rok, może dwa, a kiedy nie dostaną żadnej wiadomości, będą się bali zbudować nowy statek. Zaczną się zastanawiać, przeprowadzać setki dodatkowych doświadczeń na modelach, aby upewnić się, że wyeliminowali niebezpieczeństwo.

- Ma pan rację.

- Z drugiej strony, jeśli wrócicie, przywożąc dobre wieści, przyspieszycie inwazję na Marsa. Przy odrobinie szczęścia dożyję sześćdziesiątki. Wyjdę na spotkanie każdej wyprawie, która wylądzie na Marsie. Nie wyślę więcej niż jeden statek jednocześnie, a i to raz na parę lat, zaś na pokładzie nie będzie więcej niż dwadzieścia osób załogi. Kiedy się z nimi zaprzyjaźnię i wyjaśnię, że pewnego dnia nasza rakietka wybuchła - zamierzam ją wysadzić, gdy tylko skończę swą pracę - zabiję ich wszystkich. Przez następne pół wieku Mars pozostanie nietknięty. Może po jakimś czasie ludzie z Ziemi zrezygnują z dalszych prób? Pamięta pan, jak szybko chytróść kazała im porzucić budowę zeppelinów, które zawsze stawały w płomieniach?

- Widzę, że wszystko pan sobie dokładnie zaplanował - przyznał kapitan.

- Owszem.

- Ale my mamy przewagę. Za godzinę zostanie pan otoczony, wkrótce potem zginie.

- Znalazłem siatkę podziemnych przejść i schronienie, którego nigdy nie znajdziecie. Ukryję się tam na parę tygodni, póki wasza czujność nie osłabnie. Wtedy wyjdę i wykończę was, jednego po drugim.

Kapitan skinął głową.

- Niech mi pan opowie o tutejszej cywilizacji - poprosił, zataczając krąg ręką.

- Wiedzieli, jak żyć i współżyć z naturą. Nie starali się usilnie pozbyć pierwiastka zwierzęcego i pozostać wyłącznie ludźmi. To błąd, jaki popełniliśmy, kiedy Darwin wystąpił ze swą teorią. Z uśmiechem przyjęliśmy pomysły Huxleya i Freuda. A potem odkryliśmy, że Darwin i nasza religia nie mogą współistnieć. Albo przynajmniej tak sądziliśmy. Byliśmy głupcami. Usiłowaliśmy obalić tezy Darwina, Huxleya i Freuda. Nie dało to większych rezultatów, więc jak idioci spróbowaliśmy obalić religię.

I to nam się powiodło. Utraciliśmy wiarę i zaczęliśmy błąkać się po świecie, zadając sobie

pytanie, po co właściwie żyjemy, skoro sztuka daje wyłącznie ujście naszym pragnieniom, a religia to jedno wielkie oszustwo. Po cóż mamy żyć? Wiara zawsze udzielała nam odpowiedzi na każde pytanie, wszystko to jednak poszło w diabły wraz z Freudem i Darwinem. Byliśmy i nadal jesteśmy zagubioną rasą.

- A ci Marsjanie byli rasą odnalezioną? - spytał kapitan.

- Tak. Wiedzieli, jak połączyć naukę i religię tak, by współgrały, nie zaprzeczając sobie, a jedynie wzbogacając się nawzajem.

- To brzmi idealnie.

- Bo takie było. Chętnie pokazałbym panu, jak Marsjanie to osiągnęli.

- Moi ludzie czekają.

- To potrwa najwyżej pół godziny. Proszę im to powiedzieć.

Kapitan zawahał się. Wreszcie wstał i wykrzyknął stosowny rozkaz.

Spender poprowadził go do małej marsjańskiej wioski, wzniesionej z zimnego, doskonałego marmuru. Jej ściany ozdabiały wielkie fryzy, przedstawiające piękne zwierzęta, kocie istoty o białych kończynach, żółtorękie symbole słońca. Wokół tłoczyły się posągi podobnych do byków stworów, rzeźby mężczyzn, kobiet i wielkich, szlachetnych psów.

- Oto pańska odpowiedź, kapitanie.

- Nic nie widzę.

- Marsjanie odkryli sekret życia pośród zwierząt. Zwierzę nie kwestionuje życia, po prostu trwa. Życie to jedyny powód, dla którego istnieje. Raduje się nim i napawa. Widzi pan te posągi i symbole zwierząt, powtarzające się bez końca?

- Wygląda to dość pogańsko.

- Wręcz przeciwnie. To symbole Boga, symbole życia. Człowiek na Marsie także stał się zanadto człowiekiem, zatracił w sobie zwierzę. Tyle że mieszkańcy Marsa pojęli, iż aby przetrwać, muszą przestać zadawać to jedno jedyne pytanie: czemu żyjemy? Życie stanowi ostateczną odpowiedź. Życie to mnożenie nowych bytów i możliwie najszcześniejsza egzystencja. U szczytu wojny i rozpacz Marsjanie uświadomili sobie, że w istocie zadali pytanie: po co w ogóle żyć? Wówczas nie uzyskali odpowiedzi. Kiedy jednak cywilizacja uspokoiła się, a wojny ustały, pytanie straciło swój sens w zupełnie nowy sposób. Teraz życie było piękne. Nie potrzebowali dalszych sporów.

- Wygląda na to, że pańscy Marsjanie byli bardzo naiwni.

- Tylko kiedy im się to opłacało. Przestali starać się wszystko zniszczyć, wszystko poniżyć.

Połączyli w jedną całość religię, naukę i sztukę, ponieważ nauka to w gruncie rzeczy badanie cudu, którego nigdy nie zdołamy wyjaśnić, a sztuka jest interpretacją tegoż cudu. Nigdy nie pozwolili nauce zniszczyć owego piękna. To tylko kwestia stopniowania. Ziemiąnin myśli: „Na tym obrazie barwa tak naprawdę nie istnieje. Naukowiec potrafi udowodnić, że kolor to jedynie komórki określonej substancji, odbijające światło. Zatem barwa nie jest tak naprawdę częścią oglądanego przeze mnie świata”. Marsjanin, znacznie mądrzejszy, powiedziałby: „To piękny obraz. Stworzyła go ręka i umysł natchnionego człowieka, Jego idea i barwa naśladują życie. To dobre dzieło”.

Zapadła cisza. Kapitan, siedzący w południowym słońcu, rozejrzał się ciekawie po małym, cichym miasteczku.

- Chętnie bym tu zamieszkał - rzekł.

- Może pan, jeśli chce.

- Proponuje to pan mnie?

- Czy ktokolwiek z pańskich podwładnych zdołałby zrozumieć to wszystko, o czym przed chwilą opowiadałem? To zawodowi cynicy. Dla nich jest już za późno. Czemu chce pan z nimi wracać? Aby dotrzymać kroku sąsiadom? Kupić wóz dokładnie taki, jaki ma gość z naprzeciwka? Słuchać muzyki portfelem, miast całym organizmem? Tu niedaleko jest niewielki dziedziniec, na którym znalazłem taśmę z nagraniem marsjańskiej muzyki. Liczy sobie co najmniej pięćdziesiąt tysięcy lat i nadal można ją odtworzyć. Muzyka, jakiej w życiu nie słyszeliśmy. Mógłby jej pan wysłuchać. Są też książki. Odszyfrowanie ich pisma idzie mi całkiem nieźle. Mógłby pan siedzieć i poznawać skarby literatury Marsa.

- Wszystko to brzmi cudownie, Spender.

- Ale nie zostanie pan?

- Nie. W każdym razie dzięki.

- I z pewnością nie pozwoli mi pan odejść w spokoju. Będę musiał zabić was wszystkich.

- Optymista.

- Mam po co żyć i o co walczyć. To sprawia, że jestem lepszym zabójcą. Znalazłem tu coś, co stało się moją religią. Zupełnie jakbym na nowo uczył się oddychać, leżeć w słońcu, opalać się. Pozwolić dotykać się promieniom. Słuchać muzyki i czytać książkę. Co ofiaruje panu pańska cywilizacja?

Kapitan zaszurał nogami i powoli pokręcił głową.

- Żałuję, że tak się stało. Przykro mi.

- Mnie także. Chyba powinienem odprowadzić pana z powrotem, żebyście mogli rozpocząć atak.

- Chyba tak.

- Kapitanie, nie zabiję pana. Kiedy to się skończy, wciąż będzie pan żył.

-Co?

- Od początku postanowiłem, że pana nie tknę. A kiedy pozostali zginą, może zmieni pan zdanie.

- Nie - odparł kapitan. - Mam w sobie zbyt wiele ziemskiej krwi. Będę musiał nadal pana ścigać.

- Nawet kiedy dam panu szansę zostania tutaj?

- To dziwne, ale owszem, nawet wtedy. Nie wiem czemu. Nigdy nie zadawałem sobie tego pytania. No, jesteśmy. -Wrócili na miejsce, w którym się spotkali. - Poddaj się, Spender. To moja ostatnia oferta.

- Dzięki, ale nie. - Spender wyciągnął rękę, - I jeszcze jedno. Jeśli wygracie, proszę zrobić mi pewną grzeczność. Niech pan postara się wstrzymać niszczenie tej planety przynajmniej przez pięćdziesiąt lat, póki archeolodzy nie będą mieli szansy poznania tego wszystkiego.

- Zgoda.

- I wreszcie, jeśli to w czym pomoże, może pan myśleć o mnie jak o obłąkańcu, który pewnego letniego dnia dostał ataku szału i nigdy nie miał racji. W ten sposób będzie panu łatwiej.

- Zastanowię się na tym. Zegnaj, Spender, Powodzenia.

- Niezwykły z pana człowiek - odparł Spender, gdy kapitan pomaszerował w dół ścieżką z ciepłym wiatrem.

Po chwili otoczył go oddziałek zakurzonych ludzi, jak kogoś, kto się zgubił, a teraz odnalazł drogę. Mrużąc oczy, spoglądał pod słońce i dyszał ciężko.

- Macie coś do picia? - spytał. Ktoś wcisnął mu do ręki chłodną piersiówkę. - Dzięki - pociągnął łyk i otarł usta. - W porządku - rzekł. - Bądźcie ostrożni. Nigdzie nam się nie spieszy. Nie chcę, żeby ktoś jeszcze stracił życie. Musicie go zabić. Nie podda się. Jeśli się uda, zróbcie to czysto, jednym strzałem. Załatwmy to raz dwa.

- Rozwalę mu tę cholerną łepetynę! - rzucił Sam Parkhill.

- Nie. Przez pierś - zaprotestował kapitan. Wciąż jeszcze widział przed sobą silną, pełną determinacji twarz Spendera.

- Cholerną łepetynę - powtórzył Parkhill. Kapitan niezgrabnie oddał mu butelkę.

- Słyszałeś, co powiedziałem? Przez pierś. Parkhill zaklął pod nosem.

- Ruszamy! - rzucił kapitan.

* * *

Ponownie rozciągnęli się w szeroką linię, skradając się i biegnąc, i znów skradając na zboczach letnich wzgórz, gdzie nagle można było się natknąć na chłodne, pachnące mchem groty, a za chwilę wypaść na rozżarzone terasy, nad którymi unosił się zapach słońca i kamienia.

Nienawidzę przebiegłości, pomyślał kapitan, zwłaszcza gdy nie czuję się sprytny i wcale nie chcę taki być. Skradanie się wokół, ustalanie planów i uczucie, że czynią one z nas kogoś wielkiego. Nienawidzę świadomości, że mam rację, choć sam nie jestem co do tego przekonany. W czym bowiem imieniu właściwie występujemy? Większości? Czy to jest odpowiedź? Większość zawsze ma rację, nigdy nie popełnia błędów, nawet przez jedną nieistotną chwilkę, ani jednej pomyłki przez dziesięć milionów lat. Czym jest ta większość? - zastanawiał się. I kim jesteśmy w niej my? O czym myślą jej członkowie? Czemu tacy się stali? Czy kiedykolwiek się zmieniają? I co ja do diabła robię w tej przeklętej pułapce? Czy to klaustrofobia? Lęk przed tłumem? A może zwyczajny zdrowy rozsądek? Czy jeden człowiek może mieć rację, podczas gdy reszta świata się myli? Nie myślmymy o tym. Pełnijmy naprzód, pełni podniecenia, i pociągajmy za spust. O tak!

Mężczyźni biegli, uskakując za skałki i przykucając w cieniu. Błyskali zębami dysząc, bowiem powietrze było bardzo rzadkie, nie nadające się do biegów. Od czasu do czasu przysiadali na pięć minut, oddychając ze świstem. Przed ich oczami wirowały czarne plamki, podczas gdy oni chłonęli rozrzedzone powietrze, pragnąc więcej i więcej, zaciskając powieki, by wreszcie wstać, unieść broń i wybić dziury w tej cienkiej, letniej atmosferze, otwory pełne dźwięku i gorąca.

Spender pozostał tam, gdzie był, strzelając jedynie od czasu do czasu.

- Rozwalę ci ten przeklęty łeb! - wrzasnął Parkhill, pędząc pod górę.

Kapitan wycelował karabin w Sama Parkhilla. Nagle opuścił broń, patrząc na nią ze zgrozą. Co ty wyprawiasz? - spytał swą bezwładną rękę.

O mało nie strzelił Parkhillowi w plecy.

Boże, pomóż mi.

Patrzył, jak Parkhill wciąż biegnie, po czym pada na ziemię, kryjąc się w bezpiecznym miejscu.

Spender uwiązał w luźnej ruchomej sieci ludzi. Leżał na szczycie wzgórza, pomiędzy dwiema skałami, uśmiechając się, zmęczony oddychaniem rzadkim powietrzem; pod jego pachami wyrosły dwie wielkie wyspy potu. Kapitan ujrzał te głązy. Między nimi ziała szczelina, szeroka na jakieś cztery cale, otwierająca dostęp do piersi mężczyzny.

- Hej, ty! - ryknął Parkhill. - Mam tu kulkę, którą przestrzelę ci łeb!

Kapitan Wilder czekał. No dalej, Spender, pomyślał. Uciekaj, tak jak mówiłeś. Zostało ci jeszcze tylko parę minut. Znikaj stąd i wróć później. Idź. Mówiłeś przecież, że to zrobisz. Zejdź w głąb tunelu, który ponoć odkryłeś, ukryj się tam i zamieszkał przez następne miesiące i lata, oddając się lekturze przepięknych ksiąg i kąpielom w świątynnych basenach. Uciekaj, człowieku, zanim będzie za późno.

Spender nie ruszył się z miejsca.

- Co się z nim dzieje? - spytał sam siebie kapitan.

Uniósł karabin. Patrzył na ludzi biegnących, kryjących się wokół; na wieże czystej marsjańskiej wioski, rzeźbione figurki szachowe w blasku słońca. Ujrzał głązy i szczelinę między nimi oraz widoczną w niej pierś Spendera.

Parkhill pędził pod górę, wrzeszcząc wściekle.

- Nie, Parkhill! - rzucił kapitan. - Nie pozwolę ci na to. Ani innym. Nie, żadnemu z was. Tylko ja mogę to zrobić. - Uniósł broń i wycelował.

Czy po tym będę czuł się zbrukany? - pomyślał. Czy słuszne, abym to ja zrobił? Owszem. Wiem, że postępuję właściwie, że mam rację, bowiem jestem właściwą osobą. Mam tylko nadzieję, że stanę na wysokości zadania.

Skinął głową w stronę Spendera.

- Uciekaj - zawołał głośnym szeptem, którego nikt nie usłyszał. - Daję ci jeszcze trzydzieści sekund, abyś stąd zniknął. Trzydzieści sekund!

Zegarek na jego ręce tykał nieubłaganie. Kapitan patrzył. Jego ludzie biegli. Spender nie ruszał się. Zegarek tykał długo. Jego cykanie zabrzmiało w uszach kapitana niczym grzmot.

- No dalej, Spender, rusz się, uciekaj!

Minęło trzydzieści sekund.

Broń odnalazła cel. Kapitan odetchnął głęboko.

- Spender - rzekł, wypuszczając powietrze. Nacisnął cyngiel.

Pozornie nic się nie stało. Jedynie drobny obłoczek skalnego pyłu uniósł się w powietrze. Po chwili echo wystrzału ucichło.

* * *

Kapitan wstał i zawołał do swoich ludzi: - On nie żyje.

Nie uwierzyli mu. Kąt, pod którym patrzyli, uniemożliwiał im dostrzeżenie tej szczególnej

skalnej szczeliny. Widzieli, jak ich kapitan biegnie samotnie pod górę, i uznali, że jest bardzo odważny albo też oszalał.

Po kilku minutach poszli w jego ślady.

Zebrali się wokół ciała i jeden z nich spytał:

- Przez pierś?

Kapitan popatrzył w dół.

- Przez pierś - odrzekł. Widział, jak kamienie pod Spenderem zmieniają barwę. - Zastanawiam się, czemu czekał. Dlaczego nie próbował uciec, tak jak zaplanował. Dlaczego został i dał się zabić?

- Kto wie? - odparł jeden z ludzi.

Spender leżał tam, gdzie padł; jedną dłoń zaciskał wokół kolby pistoletu, druga wciąż trzymała srebrną książkę, migoczącą w słońcu.

Czy to przeze mnie? - rozmyślał kapitan. Dlatego, że nie zgodziłem się ustąpić? Zatem Spender nie chciał mnie zabić? Czym różnię się od pozostałych? Czyżby dlatego właśnie to zrobił? Uznał, że może mi zaufać? Czy istnieje jakaś inna odpowiedź? Nie. Przykucnął obok milczących zwłok. Będę musiał sprostować temu zadaniu, pomyślał. Teraz nie mogę go zawieść. Skoro uznał, że jest we mnie coś, co przypomina mu jego samego, i dlatego nie mógł mnie zabić, czeka mnie ogromna praca. To o to chodziło. Ja także jestem Spenderem, ale myślę, zanim zacznę strzelać. Nie, w ogóle nie strzelam, nie zabijam. Zamiast tego kieruję ludźmi. Nie potrafił mnie zabić, ponieważ jestem nim, tyle że odrobinę innym.

Kapitan poczuł na karku ciepły promień słońca. Usłyszał własny głos, mówiący:

- Gdyby tylko przyszedł do mnie porozmawiać, zanim kogokolwiek postrzelił... Może zdołalibyśmy dojść do zgody?

- Dojść do zgody? - powtórzył Parkhill. - Jak można dojść do zgody z kimś takim?

Fala upału zalewająca skały, błękitne niebo, cały świat, niosła ze sobą dziwną odległą pieśń.

- Chyba masz rację - mruknął kapitan. - Nigdy nie doszlibyśmy do porozumienia. Spender i ja, możliwe. Ale Spender i ty oraz wszyscy pozostali - nie, nigdy. Lepiej, że tak się stało. Daj mi jeszcze łyka.

To kapitan zaproponował, by pochowali Spendera w pustym sarkofagu. Znaleźli starożytny marsjański cmentarz. Umieścili Spendera w srebrnej skrzyni, wśród wosków i win liczących sobie dziesięć tysięcy lat, z rękami splecionymi na piersi. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzeli, była jego pogodna twarz.

Przez chwilę stali w pradawnej krypcie.

- Sądzę, że dobrze by było, gdybyśmy wszyscy wspomnieli go od czasu do czasu - rzekł kapitan.

Wyszli na dwór, zatrzasnąwszy za sobą marmurowe drzwi grobowca.

Następnego popołudnia Parkhill zaczął ćwiczyć się w strzelaniu w jednym z martwych miast, roztrzaskując kryształowe okna i szczyty kruchych wież. Kapitan przyłapał go na tym i wybił mu wszystkie zęby.

Sierpień 2001: Osadnicy

Ludzie z Ziemi przybyli na Marsa.

Przybywali, wiedzeni lękiem albo brakiem lęku, ponieważ byli szczęśliwi bądź nieszczęśliwi; bowiem chcieli poczuć się jak Pielgrzymi, albo i nie. Każdego przywiodły tu własne powody. Porzucali nieudane żony, nieudane zawody, nieudane miasta; zjawiali się tu, aby coś odnaleźć, porzucić lub zdobyć, odkryć, pogrzebać, zostawić w spokoju. Wyruszyli, wiedzeni śmiałymi wizjami, skromnymi snami albo w ogóle bez marzeń. Jednakże czterobarwne plakaty rozwieszane w całym kraju powtarzały za rządem: „TY TEŻ ZNAJDZIESZ PRACĘ W KOSMOSIE: LEĆ NA MARSA!” I ludzie posłuchali. Z początku tylko nieliczni, drobna garstka, bowiem większość, zanim jeszcze rakietę wystrzeliła w przestrzeń, ogarniała potężna choroba. Nosila ona miano „samotność”, bo kiedy widzi się swoje rodzinne miasto, malejące do rozmiarów pięści, potem cytryny i szpilki, by wreszcie zniknęło w ognistym ogonie, człowiek czuje się, jakby nigdy się nie narodził, jakby miasto w ogóle nie istniało, a on tkwił sam, otoczony przestrzenią, w towarzystwie obcych ludzi, pozbawiony punktu oparcia. A kiedy morze chmur pochłaniało stan Illinois, Iowa, Missouri czy Montana, Stany Zjednoczone kurczyły się do rozmiarów wyspy, a cała planeta Ziemia stawała się odrzuconą błotnistą piłką, człowiek zostawał sam, wędrując przez błonie kosmosu w drodze do miejsca, którego nawet nie potrafił sobie wyobrazić.

Nic dziwnego zatem, że najpierw wyruszyli nieliczni. W miarę rozrostu kolonii na Marsie liczba przybyszów zwiększała się -jak powiadają, w wielości siłą. Jednakże pierwsi samotnicy musieli radzić sobie sami..

Grudzień 2001: Zielony ranek

Po zachodzie słońca zбочzył ze ścieżki i przyrządził sobie skromną kolację. Unosząc jedzenie do ust i żując z namysłem, słuchał potrzaskiwania ognia. Kolejny dzień, podobny do trzydziestu pozostałych; kolejne dziesiątki równiutkich dziur, wykopanych o świcie, zagrzebanych w ziemi nasion i wody, dźwiganej z błyszczących kanałów. Teraz, gdy znużenie przygniotło jego szczupłe ciało żelaznym ciężarem, leżał obserwując zmieniające się kolory nieba.

Nazywał się Benjamin Driscoll, miał trzydzieści jeden lat, a jego marzeniem były drzewa. Wysokie zielone drzewa na Marsie; rozłożyste korony, produkujące powietrze, coraz więcej powietrza, rosnące coraz wyżej z każdym rokiem; drzewa, które osłoniłyby miasta przed letnimi upałami i wiatrami zimy; pożyteczne drzewa, które dodawały barwy światu, zapewniały cień i rodziły owoce; dzieci bawiły się wśród nich, skacząc i balansując w królestwie splątanych gałęzi. Oto drzewo, połączenie radości i prozy życia. Jednakże przede wszystkim drzewa dostarczały płucom lodowatego powietrza, a kiedy ludzie kładli się nocą w śnieżną pościel łóżek, łagodny szelest liści usypiał ich niczym kołysanka.

Pan Driscoll leżał przytulony do mrocznej ziemi słysząc, jak zbiera się w sobie, czekając na słońce, bowiem nie nastąpiła jeszcze pora deszczów. Jego ucho przytknięte do gruntu chwyciło odgłos stóp, które będą kroczyły w tym miejscu w nadchodzących latach. Wyobrażał sobie, jak zasadzone dziś nasiona kiełkują zielone i świeże, i obejmują w posiadanie niebo, gałąź za gałęzią, póki Mars nie przekształci się w szumiący las, rozległy promienny sad. Wczesnym rankiem, gdy mała tarcza słońca rozbłyśnie słabo wśród pofałdowanych wzgórz, Driscoll wstanie, w kilka minut dokończy pachnące dymem śniadanie i zdeptawszy popiół ogniska ruszy w drogę, dźwigając swój plecak. Znów będzie sprawdzał skład gleby, kopał, umieszczał w otworach nasiona bądź kiełki, uklepywał lekko ziemię, podlewał i tak dalej, dalej, pogwizdując lekko, podczas gdy czyste niebo pojaśnieje i nadejdzie ciepłe południe.

- Potrzebujesz powietrza - rzekł w stronę nocnego ogniska. Ogień był mu rumianym, żywym towarzyszem, który trzaskał potakująco i drzemał tuż obok, rozgrzewając spojrzeniem swych sennych różowych oczu nocny chłód. - Wszyscy potrzebujemy powietrza. Tu, na Marsie, atmosfera jest zbyt rzadka, człowiek łatwo się męczy. Zupełnie jakby mieszkał wysoko w Andach w Południowej Ameryce. Oddycha głęboko i nic to nie daje.

Pomacał swoje żebra. W ciągu trzydziestu dni jego klatka piersiowa bardzo się rozrosła. Aby zapewnić sobie więcej powietrza, ludzie będą musieli rozwinąć własne płuca. Albo zasadzić drzewa.

- I właśnie po to tu jestem - oznajmił. Ogień strzelił cicho. - W szkołach opowiadają nam historię Johnny'ego Pestki, który wędrował po Ameryce sadząc jabłonie. Cóż, ja dokonam więcej, bowiem sadzę dęby, wiązy i klony, wszelkie gatunki drzew, cedry, osiki i kasztany. Miast dostarczać tylko owoców brzuchom, dostarczam płucom powietrza. Kiedy za paręnaście lat moje drzewa urosną, pomyśl tylko, ile wytworzą tlenu.

Przypomniał sobie dzień swego przybycia na Marsa. Podobnie jak tysiące innych przybyszów spojrzął na nieruchomy świat w blasku poranka i pomyślał: Czy będę tu pasował? Czym się zajmę? Czy znajdę jakąś pracę?

A potem zemdlął.

Ktoś przytknął mu do nosa fiolkę z amoniakiem i Driscoll kaszląc odzyskał świadomość.

- Nic panu nie będzie - oznajmił lekarz.

- Co się stało?

- Powietrze jest tu dość rzadkie. Niektórzy nie są w stanie tego znieść. Obawiam się, że będzie pan musiał wrócić na Ziemię.

- Nie! - Usiadł gwałtownie. Niemal natychmiast pociemniało mu w oczach i Mars zawirował wokół niego. Jego nozdrza rozszerzyły się; zmusił swe płuca, by wciągnęły w siebie głęboki haust nicości. - Nic mi nie będzie. Muszę tu zostać!

Zostawili go leżącego i chwytającego rozpaczliwie oddech niczym wyrzucona na brzeg ryba. On zaś pomyślał: Powietrze, powietrze, powietrze. Odsyłają mnie z powodu powietrza. Odwróciwszy głowę, spojrzął na marsjańskie pola i wzgórza. Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegł, był zupełny brak drzew. Jak daleko sięgał wzrokiem, nie dojrzał ani jednego. Wokół rozciągały się czarne iłowe pustkowia, pozbawione choćby jednego źdźbła trawy. Powietrze! - pomyślał, że świstem wciągając do nosa rozrzedzony tlen. Powietrze. Na szczytach wzgórz, w ich cieniach, nawet na brzegach strumieni ani jednego drzewa. Nawet kępki zielonej trawy. Oczywiście! Miał wrażenie, że odpowiedź przyszła nie z jego umysłu, lecz z płuc i gardła. I myśl ta była niczym haust czystego tlenu, dodając mu sił. Drzewa i trawa. Popatrzył na swe ręce i obrócił je dłońmi do góry. Zasadzi tu drzewa i trawę. To będzie jego praca. Walka z tym, co mogło przeszkodzić mu zostać na Marsie. Wypowie osobistą rolniczą wojnę tej planecie. Oto połacie starej gleby, niegdyś dającej życie roślinom, które jednak już dawno wyginęły. A gdyby sprowadzić tu nowe gatunki? Ziemskie drzewa, wzniosłe mimozy i wierzby płaczące, magnolie i dostojne eukaliptusy - co wtedy? Trudno stwierdzić, jakie bogactwo minerałów kryło się nie tknięte w tej ziemi, bowiem pradawne paprocie, kwiaty, krzaki i drzewa wymarły co do jednego.

- Pozwólcie mi wstać! - krzyknął. - Muszę porozmawiać z Koordynatorem!

Przez cały ranek dyskutowali o rzeczach, które rosną i są zielone. Miną miesiące, jeśli nie lata, zanim rozpocznie się zorganizowane sadzenie roślin. Jak na razie mrożoną żywność sprowadzano wprost z Ziemi w wielkich latających soplach. Powstały też załączki kilku ogrodów w hydroponicznych zbiornikach.

- Tymczasem - oznajmił Koordynator - to będzie pańska praca. Dostarczymy panu wszelkie dostępne nasiona i nieco sprzętu. W tej chwili każda odrobina miejsca w rakietach jest niezwykle cenna. Ponieważ pierwsze miasta to wyłącznie osady górnicze, obawiam się, że nie znajdzie pan wiele zrozumienia, sadząc swoje drzewa.

- Ale pozwolicie mi to zrobić?

Pozwolili mu. Zaopatrzony w motocykl, którego bagażnik wypełniały bezcenne nasiona i kielki, zaparkował swój pojazd w samotnej dolinie i ruszył pieszo przez kraj.

Było to trzydzieści dni wcześniej i Driscoll ani razu nie obejrzał się za siebie. To bowiem z pewnością odebrałoby mu zapał. Na Marsie panowała niezwykła susza; wątpliwe, by jakiegokolwiek nasienie wykiełkowało. Możliwe, że cała jego kampania, cztery tygodnie skłonów i kopania, spełźnie na niczym. Toteż patrzył wyłącznie przed siebie, schodząc w głąb szerokiej, płytkiej doliny skąpanej w blasku słońca, coraz dalej od Pierwszego Miasta, czekając, aż nadejdą deszcze.

Teraz, gdy naciągał koc na ramiona, nad wyschłymi górami gromadziły się chmury. Mars był miejscem równie nieprzewidywalnym jak czas. Pan Benjamin Driscoll czuł, jak spalone słońcem wzgórze stygną z nadejściem lodowatej nocy. Pomyślał o bogatej, czarnej jak tusz ziemi, glebie tak ciemnej i lśniącej, że kiedy ścisnął ją w dłoni, miał wrażenie, że zaraz zacznie się ruszać; tak żyznej, iż wydawało się, że lada moment wystrzelą z niej gigantyczne strąki, które otworzą się z ogłuszającym trzaskiem, wyrzucając z siebie wrzeszczących olbrzymów.

Ostatnie słabe płomyki zgasły pod kołdrą popiołu. Powietrze zadrżało, niosąc z sobą odległe echo. Grzmot. Nagły zapach wody. Tej nocy, pomyślał i wyciągnął rękę, przywołując deszcz.

Tej nocy.

* * *

Obudziło go uderzenie kropli w czoło.

Woda spłynęła po grzbiecie jego nosa i dalej, po wargach. Kolejna kropla trafiła go w oko, na moment przesłaniając świat. Następna rozbryznęła się na podbródku.

Deszcz.

Zimna, łagodna mżawka opadała z nieba, życiodajny eliksir, niosący z sobą smak magii powietrza i gwiazd, przyprawiony kurzem, spływał po jego języku niczym lekka szlachetna sherry.

Deszcz.

Usiadł, odrzucając koc. Jego błękitną dzinsową koszulę natychmiast pokryły plamy. Krople deszczu stawały się coraz większe. Ogień wyglądał, jakby niewidzialne zwierzę stratowało go tańcząc, pozostawiając jedynie gniewny dym. Deszcz padał. W wielkiej czarnej kopule niebios otwarło się sześć błękitnych pęknięć, które strzaskały szklistą powłokę. Ujrzał dziesięć miliardów deszczowych kryształków, uwiecznionych na moment w błysku elektryczności. Potem pozostała tylko woda - i ciemność.

Wkrótce przemókł do suchej nitki, nadal jednak unosił twarz, pozwalając ze śmiechem, by krople rozbijały się na jego powiekach. Klasnął w dłonie i wstał, krążąc po swym małym obozowisku. Była pierwsza nad ranem.

Deszcz padał przez pełne dwie godziny, po czym ustał. Na niebie rozbłysły gwiazdy jaśniejsze i wyraźniejsze niż kiedykolwiek.

Pan Benjamin Driscoll, przebrany w suche ubranie wyjęte z foliowego worka, położył się na ziemi i zasnął szczęśliwy.

* * *

Słońce wstawało powoli między wzgórzami. Jego promienie musnęły pustkowie i obudziły pana Driscolla. Odczekał chwilę, po czym wstał.

Przez długi gorący miesiąc pracował niestrudzenie, toteż teraz odwrócił się wreszcie i spojrzał w kierunku, z którego przybył.

Powitał go zielony ranek.

Jak daleko sięgał wzrokiem, na tle nieba wyrastały drzewa. Niejedno, dwa czy tuzin, lecz tysiące, które zasadził, każdy kiełek i nasienie. I nie były to małe drzewka, sadzonki, pierwsze wątłe pędy, lecz wielkie pnie; drzewa wysokie niczym dziesięciu ludzi, zielone, zieleńsze, o krągłych gęstych koronach. Ich metaliczne liście połyskiwały w słońcu, podczas gdy drzewa szeptały, pokrywając rzędami wzgórze, drzewa cytrynowe i pomarańczowe, lipy, sekwoje i mimozy, dęby, wiązy i osiki, wiśnie, klony, jesiony, jabłonie i eukaliptusy, pobudzone do życia falą deszczu, wykarmione przez obcą czarodziejską glebę. Na jego oczach nowe gałęzie strzelały w górę, kolejne pąki otwierały się ku słońcu.

- To niemożliwe! - krzyknął pan Benjamin Driscoll.

Jednakże poranek i dolina wciąż były zielone.

A powietrze!

Wszędzie wokół, niczym bystry prąd górskiej rzeki, krążyło nowe powietrze, tlen wydychany przez zielone drzewa. Niemal widziało się jego rozświetlone krystaliczne fale. Tlen, czysty, świeży, zielony tlen, który przemieniał dolinę w deltę rzeki. Za chwilę wszystkie drzwi w mieście otworzą się szeroko. Ludzie wybiegną na ulice, chłonąc nowy cud tlenu, wciągając powietrze, spijając je całymi łykami. Ich policzki zaróżowią się, nosy przemarną, płuca ożyją, serca zabiją raźniej, a znużone ciała ruszą do tańca.

Pan Benjamin Driscoll wciągnął w płuca haust zielonego wilgotnego powietrza i zemdlał.

Zanim się ocknął, pięć tysięcy nowych drzew wystrzeliło ku złotemu słońcu.

Luty 2002: Szarańcza

Ogień raketowy pochłaniał łąki, przemieniał skały w lawę, drzewa w popiół, a wodę w parę, topił piasek i krzemionkę w zielone szkło, które niczym strzaskane zwierciadła zalegało wszędzie wokół, odbijając pojazdy najeźdźców. Rakiety przybywały niczym werble huczące w ciemności, jak szarańcza roiły się i osiadały na równinach pośród różowego dymu. A z nich wybiegali ludzie, unosząc w dłoniach młoty, gotowi przekuć ów obcy świat w coś znajomego oku, przegnać to, co nieznane. Trzymając w zębach gwoździe, przypominali drapieżców o stalowych szczękach; spluwali metalem w zręczne dłonie, zbijając ramy domów. Okrywali je gontami dachów, przesłaniającymi obce gwiazdy. Zielone okiennice nie wpuszczały do środka nocy. Kiedy cieśle odeszli, zjawily się kobiety z doniczkami, rondlami i perkalem, i podzwaniając kankami, zaczęły się krzątać w kuchniach, wypełniając znajomymi dźwiękami ciszę Marsa, która wciąż zalegała za drzwiami i zamkniętymi oknami.

W ciągu sześciu miesięcy na nagiej planecie wyrosło dwanaście małych osad, pełnych syczących neonów i żółtych żarówek. W sumie na Marsa przybyło już ponad dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi, a na Ziemi kolejni pakowali manatki...

Sierpień 2002: Spotkanie nocą

Przed wyprawą na Błękitne Wzgórza Tomas Gomez zatrzymał się na samotnej stacji, aby nabrać benzyny.

- Pustawo tu, co dziadku? - spytał.

Stary mężczyzna przetarł przednią szybę niewielkiej ciężarówki.

- Nie jest tak źle.

-Jak wam się podoba Mars, dziadku?

- Bardzo. Stale natykam się na coś nowego. Kiedy w zeszłym roku przybyłem na tę planetę, postanowiłem nie oczekiwać niczego, o nic nie prosić, niczemu się nie dziwić. Musimy zapomnieć Ziemię i tamtejsze zwyczaje, skupić się na tym, co zastaliśmy tutaj, jak bardzo wszystko jest inne. Sama pogoda dostarcza mi świetnej zabawy. To marsjańska pogoda - za dnia gorąco jak w piekle, nocą diablo zimno. Bawią mnie też obce kwiaty i obcy deszcz. Przyleciałem na Marsa, gdy tylko przeszedłem na emeryturę, a zawsze chciałem spędzić ten czas w miejscu, gdzie wszystko jest inne. Stary człowiek potrzebuje odmiany. Młodzi nigdy nie chcą z nim rozmawiać, a inni starcy śmiertelnie go nudzą. Toteż uznałem, że muszę wyszukać sobie miejsce tak inne, iż wystarczy otworzyć oczy, aby mieć rozrywkę. Otworłem stację benzynową. Jeśli interes zanadto się rozkręci, przeniosę się na inną starą drogę, gdzie nie ma takiego ruchu. Byleby tylko zarobić na życie i mieć czas, aby czuć inność tego świata.

- Dobry mieliście pomysł, dziadku - stwierdził Tomas. Jego ogorzałe ręce spoczywały na kierownicy. Czuł się naprawdę świetnie. Przez ostatnich dziesięć dni pracował bez przerwy w jednej z nowych kolonii, a teraz miał dwa dni wolnego i zmierzał na przyjęcie.

-Już nic mnie nie zaskakuje - ciągnął dalej starzec. - Po prostu patrzę i chłonę. Jeśli nie potrafisz zaakceptować Marsa takim, jakim jest, równie dobrze możesz wracać na Ziemię. Wszystko tu jest inne, szalone - gleba, powietrze, kanały, tubylcy (dotąd żadnego nie widziałem, ale słyszałem, że kręcą się w pobliżu), zegary. Nawet mój własny zegar zachowuje się osobliwie, zupełnie jakby czas także oszalał. Często mam wrażenie, jakbym tkwił tu zupełnie sam, jakby poza mną na całej planecie nie było nikogo. I gotów jestem się założyć, że to prawda. Innego dnia wydaje mi się, że mam najwyżej osiem lat, moje ciało kurczy się, a wszystko inne wyrasta wysoko. Jezu, to cudowne miejsce dla starego człowieka. Pobudza mnie, ożywia, sprawia, że jestem szczęśliwy. Wie pan, jaki jest Mars? Przypomina zabawkę, którą dostałem na Gwiazdkę siedemdziesiąt lat temu - nie wiem, czy kiedykolwiek miał pan coś takiego - nazywali je kalejdoskopami; kawałeczki kryształu, tkaniny, koraliki i inne świecidełka. Unosiło się go do światła, zaglądało do środka i widok zapierał dech w piersi. Wszystkie te wzory... cóż, taki właśnie jest Mars. Proszę się nim cieszyć i nie żądać, aby stał się czymś innym, niż jest teraz. Dobry Jezu, wiedział pan, że tę drogę zbudowali Marsjanie? Liczy sobie dobrych szesnaście wieków! A nadal jest w świetnym stanie. To będzie dolar pięćdziesiąt.

Tomas, śmiejąc się cicho, odjechał starożytną drogą.

Długi trakt prowadził między wzgórz, prosto w ciemność. Tomas, trzymając w dłoniach kierownicę, od czasu do czasu sięgał do pojemnika z kanapkami, wyjmując cukierka. Jechał już ponad godzinę, nie natknąwszy się na żaden inny samochód. Istniała jedynie rozwijająca się przed nim wstęga drogi, pomruk silnika i przejmująca, wszechobecna cisza Marsa. Mars zawsze był cichy, lecz tego wieczoru stał się cichszy niż kiedykolwiek. Za oknami przepływały pustynie i suche morza. Na tle gwiazd rysowały się łańcuchy gór.

Tej nocy w powietrzu unosiła się woń czasu. Tomas uśmiechnął się, zadowolony z tego określenia. To ci dopiero. Jak mógłby pachnieć czas? Kurzem, płaszcami i ludźmi. A jeśli zastanowić się, jak brzmi czas, to szumi on niczym woda płynąca w mrocznej grocie, dźwięczy jak płaczące głosy, huczy jak ziemia, opadająca na drewniane pokrywy trumien, szemrze jak deszcz. A dalej, jak wygląda czas? Jak śnieg padający cicho w ciemnym pokoju albo może niemy film w dawnym kinie - setki miliardów twarzy, szybujących w dół niczym noworoczne balony, coraz niżej i niżej, w nicość. Tak właśnie pachniał, wyglądał i brzmiał czas. Zaś tej nocy -Tomas wysunął rękę za okno ciężarówki - tej nocy można było nieomal go dotknąć.

Jechał dalej pomiędzy wzgórzami czasu. Po jego karku przebiegł dreszcz. Wyprostował się, uważnie obserwując drogę.

Po chwili zjechał na pobocze w martwym marsjańskim miasteczku, wyłączył silnik i pozwolił, by otoczyła go cisza. Siedział tak, wstrzymując oddech i spoglądając na białe budynki skąpane w blasku księżyców, od wieków stojące pustką. Doskonałe, idealne budowle. Zrujnowane? - owszem, ale mimo wszystko doskonałe.

Włączył silnik, przejechał kolejną milę, po czym zatrzymał się ponownie. Wsiadł z ciężarówki, niosąc w ręku pudełko z prowiantem, i wspiął się na niewielki skalny cypel, z którego roztaczał się widok na zasypane pyłem miasto. Otworzył termos i nalał sobie kubek kawy. Niedaleko przemknął nocny ptak. Tomas czuł się wspaniale. Ogarnął go niezwykły spokój.

Jakieś pięć minut później jego uszu dobiegł cichy dźwięk. Daleko wśród wzgórz, w miejscu, gdzie starożytna droga skręcała gwałtownie, coś się poruszyło, rozblysło słabe światelko, a potem zamruczał silnik.

Tomas odwrócił się powoli z kubkiem kawy w ręce.

I nagle zza wzgórz wyłoniło się coś dziwnego.

To była maszyna, jaskrawozielony owad, przecinający delikatnie chłodne nocne powietrze; olbrzymia modliszka o ciele wysadzonym setkami zielonych diamentów, mrugających w blasku gwiazd. Osadzone pomiędzy nimi czerwone klejnoty lśniły niczym fasetkowe oczy. Sześć nóg uderzało o pradawny szlak z odgłosem przypominającym szum deszczu w oddali. Siedzący z tyłu maszyny Marsjanin o oczach z płynnego złota popatrzył na To-masa, jakby spoglądał w głąb mrocznej studni.

Tomas uniósł dłoń w odruchowym powitaniu, lecz jego usta nie poruszyły się, był to bowiem prawdziwy Marsjanin. Jednakże Tomas pływał w błękitnych rzekach Ziemi, nie dbając o stojących na brzegu nieznanym; jadał w obcych domach z obcymi ludźmi i zawsze jego jedyną bronią pozostawał uśmiech. Nie nosił ze sobą pistoletu, i teraz także nie czuł jego braku, choć ogarnął go lekki strach.

Ręce Marsjanina też były puste. Przez długą chwilę patrzyli na siebie poprzez mrok.

To Tomas uczynił pierwszy ruch.

- Witaj! - zawołał.

- Witaj! - odkrzyknął Marsjanin w swym własnym języku. Nie zrozumieli się nawzajem.

- Czy powiedziałaś: „witaj”? - spytali obydwaj.

- Co mówisz? - dodali, każdy w swojej mowie. Skrzywili się.

- Kim jesteś? - spytał Tomas po angielsku.

- Co tu robisz? - Wargi nieznanego poruszyły się, formując marsjańskie słowa.

- Dokąd zmierzasz? - dodali oszołomieni.

-Jestem Tomas Gomez.

-Jestem Muhe Ca.

Żaden z nich nie zrozumiał, jednakże powtarzając swe imiona, uderzyli się w piersi i wreszcie pojęli, o co chodzi. Nagle Marsjanin wybuchnął śmiechem.

- Zaczekaj! - Tomas poczuł, jak coś sięga jego głowy, choć nie dotknęła go niczyja ręka.

- Proszę! - rzeki Marsjanin po angielsku. - Tak lepiej.

-Już zdołałaś nauczyć się mojego języka? Tak szybko?

- To nic wielkiego.

Patrzyli po sobie, zakłopotani nagłą ciszą. Ich wzrok powędrował ku parującej kawie Tomasa.

- Coś nowego? - spytał Marsjanin, mierząc wzrokiem swego rozmówcę i kawę. Być może miał na myśli i kawę, i jego.

- Chciałbyś spróbować? - zaproponował Tomas.

- Chętnie.

Marsjanin zsunął się ze swej maszyny.

Tomas wyciągnął drugi kubek, napełnił go parującą kawą i podał obcemu.

Ich ręce zetknęły się i jak mgła przeniknęły nawzajem.

- Chryste Panie! - wykrzyknął Tomas, upuszczając kubek.

- Bogowie! - rzucił Marsjanin w swym własnym języku.

- Widziałeś, co się stało? - szepnęli obydwaj. Ogarnął ich lodowaty lęk.

Marsjanin schylił się, aby dotknąć kubka, jednakże jego palce przeniknęły skorupę.

-Jezu! - westchnął Tomas.

- Istotnie. - Marsjanin spróbował ponownie. Bez powodzenia. Wyprostował się i zastanowił przez moment, po czym wyjął zza pasa nóż.

- Hej! - krzyknął Tomas.

- Źle mnie zrozumiałeś! Łap go! - krzyknął Marsjanin i cisnął sztylet. Tomas złożył dłonie, jednakże nóż przeniknął jego ciało i uderzył o ziemię. Tomas sięgnął po niego, nie zdołał go jednak dotknąć i odskoczył, wstrząsany dreszczem.

Spojrzał na Marsjanina, stojącego na tle nieba.

- Gwiazdy - rzekł.

- Gwiazdy - powtórzył Marsjanin, patrząc na Tomasa.

Ostre białe gwiazdy przeświecały przez ciało Marsjanina i pływały w nim niczym iskierki, uwięzione w cienkiej świetlistej błonie galaretowatej meduzy. Fioletowe gwiazdne oczy migotały w jego brzuchu i piersi, niczym klejnoty płonęły w jego przegubach.

- Widzę skroś ciebie - powiedział Tomas.

- A ja skroś ciebie - odparł Marsjanin, cofając się o krok. Tomas pomacał swe ciało i czując jego ciepło, uspokoił się. To ja jestem prawdziwy - pomyślał.

Marsjanin dotknął swego nosa i ust.

- Mam ciało - rzekł półgłosem. - Żyję. Tomas wpatrywał się w niego.

- A jeśli ja istnieję naprawdę, ty musisz być martwy.

- Nie, ty!

- Duch!

- Zjawa!

Wskazywali się nawzajem, a światło gwiazd płonęło w ich dłoniach niczym sztylety, sopte i świetliki. A potem znów zaczęli badać własne kończyny i każdy stwierdzał, że jest gorący, materialny, podniecony, oszołomiony, zachwycony. A ten drugi? O tak, ten drugi naprzeciw niego to tylko nierzeczywista zjawa, widmowy pryzmat, skupiający blask odległych światów.

Jestem pijany - pomyślał Tomas. - Na pewno nie wspomnę jutro nikomu o tym spotkaniu.

Stali tam na starożytniej drodze, żaden z nich się nie ruszał.

- Skąd przybywasz? - spytał w końcu Marsjanin.

- Z Ziemi?

- Gdzie to jest?

- Tam. - Tomas skinął głową w stronę nieba.

- Kiedy?

- Wylądowaliśmy ponad rok temu. Pamiętasz?

-Nie.

- A wy wszyscy byliście martwi. No, prawie wszyscy. Jesteście dziś rzadkością, wiedziałeś o tym?

- To nieprawda.

- Owszem. Widziałem wasze ciała. Czarne trupy w sypialniach, we wszystkich domach, bez życia. Tysiące.

- To śmieszne. My żyjemy.

- Może o tym nie wiesz, ale najechano na was. Musiałeś uciec.

- Nie uciekłem; nie było przed czym. O czym ty mówisz? W tej chwili wybieram się właśnie na festyn nad kanałem u stóp gór Eniall. Byłem tam zeszłej nocy. Nie widzisz miasta? - Marsjanin wskazał ręką.

Tomas podążył wzrokiem za jego gestem i ujrzał ruiny.

- Ależ to miasto jest martwe od tysięcy lat. Marsjanin wybuchnął śmiechem.

- Martwe? Spałem tam wczoraj.

- A ja byłem tam dziś, tydzień temu i jeszcze tydzień wcześniej. To kupa gruzu. Widzisz strzaskane kolumny?

- Strzaskane? Owszem, widzę wyraźnie. Księżyc świecą tak jasno, a kolumny są nietknięte.

- Ulice zaściela pył - rzucił Tomas.

- Są czyste!

- Kanały stoją puste.

- Płynie w nich lawendowe wino!

- Miasto jest martwe.

- Żyje! - protestował Marsjanin, zaśmiewając się coraz głośniej. - Och, jakże się mylisz! Nie widzisz weselnych świateł? Są tam piękne łodzie, smukłe niczym kobiety, piękne kobiety, smukłe jak łodzie, kobiety barwy piasku, z ognistymi kwiatami w dłoniach. Widzę je, maleńkie, biegające po ulicach. Tam właśnie zmierzam, na festyn. Przez całą noc będziemy żeglować po kanałach, śpiewać, pić, kochać się. Nie widzisz tego?

- Przyjacielu, to miasto jest martwe jak zasuszona jaszczurka. Spytaj kogokolwiek z naszej grupy. Ja sam jadę dziś do Zielonego Miasta; to nowa kolonia, zbudowana niedawno w pobliżu traktu Illinois. Coś ci się pomieszało. Sprowadziliśmy tu milion stóp desek z dobrego oregońskiego drewna i parę tuzinów ton gwoździ z porządnej stali, i zbudowaliśmy z nich dwie śliczniutkie wioski, lepszych z pewnością nie widziałeś. Dziś właśnie oblewamy jedną z nich. Z Ziemi przybędzie parę rakiet, przywożąc z sobą nasze żony i narzeczone. Będą też tańce, whisky...

Twarz Marsjanina zdradzała niepokój.

- Twierdzisz, że jedziesz w tym kierunku?

- Tam stoją rakiety. - Tomas podprowadził go do krawędzi zbocza i wskazał w dół. - Widzisz?

-Nie.

- Do diabła, przecież są! Te długie srebrne przedmioty.

-Nie.

Nagle Tomas wybuchnął śmiechem.

-Jesteś ślepy.

- Bynajmniej. To ty nic nie dostrzegasz.

- Ale przecież widzisz nowe miasto, prawda?

-Jedynie ocean. Niedawno zaczął się odpływ.

- Przyjacielu, ta woda wyparowała czterdzieści wieków term

- To już naprawdę przesada.

- Nie, to prawda, mówię ci. Marsjanin spoważniał.

- Powtórz raz jeszcze. Nie dostrzegasz miasta takim, jakim je opisuję? Niezwykle białych kolumn, niezwykle smukłych łodzi, świateł festynu - och, widzę je tak wyraźnie! Słuchaj! Z dala dochodzi śpiew. To naprawdę niedaleko.

Tomas nasłuchiwał przez chwilę, po czym potrząsnął głową.

-Nie.

- A ja, z drugiej strony - ciągnął dalej Marsjanin - nie widzę tego, co ty opisujesz. No, no.

Znow ogarnął ich chłód, zupełnie jakby ich ciała zamieniły się w lód.

- Czy to możliwe...?

- Co takiego?

- Twierdzisz, że przybywasz z nieba?

- Z Ziemi.

- Ziemia to tylko nazwa, nic nie znaczy - stwierdził Marsjanin - Ale... kiedy godzinę temu dotarłem do przełęczy... - Musnął dłonią kark. - Poczułem...

- Chłód?

-Tak.

- A teraz?

- Znowu. To dziwne. Światło, wzgórza, droga - wszystko miało w sobie coś osobliwego - powiedział Marsjanin. - Poczułem obcość drogi, światła i przez moment wydało mi się, jakbym był jedyną żywą istotą na całym świecie...

-Ja też - przerwał mu Tomas; zupełnie jakby rozmawiał ze starym, drogim przyjacielem, zwracając mu się, poruszając bliski ich sercu temat.

Marsjanin przymknął oczy i otworzył je ponownie.

- To może znaczyć tylko jedno. Cała ta sprawa ma jakiś związek z czasem. Tak. Jesteś zjawą z przeszłości.

- Nie, to ty pochodzisz z przeszłości - zaprotestował natychmiast Ziemianin.

- Jesteś taki pewny siebie. Jak możesz udowodnić, który z nas pochodzi z przeszłości, a który z przyszłości? Który rok mamy?

- Dwa tysiące drugi.

- Co to dla mnie znaczy?

Tomas pomyślał przez chwilę i wzruszył ramionami.

-Nic.

- Zupełnie jakbym powiedział ci, że jest rok 4462853 S.E.C. To nic i gorzej niż nic. Gdzie znajdziemy kalendarz, który pokaże nam pozycje gwiazd?

- Ale ruiny! Dowodzą, że to ja jestem przyszłością, ja żyję, a ty jesteś martwy!

- Wszystko we mnie temu zaprzecza. Moje serce bije, żołądek łaknie, usta są spragnione. Nie, żaden z nas nie jest ani żywy, ani martwy. Choć przecież obaj żyjemy. Zupełnie jakbyśmy trafili pomiędzy dwa światy, dwóch nieznanymi mijających się w ciemności. Dwóch obcych. Ruiny, powiadasz?

- Owszem. Boisz się?

- Któż chciałby ujrzeć przyszłość? Kto by tego pragnął? Przeszłości można stawić czoło, ale pomyśl tylko - twierdzisz, że kolumny zawaliły się, morze jest puste, kanały wyschły, dziewczęta umarły, a kwiaty zwiędły? - Marsjanin umilkł. Po chwili jednak spojrzął przed siebie. -Ale przecież tu są! Widzę je. Czyż to nie wystarczy? Czekają na mnie, nieważne, co powiesz.

Na Tomasa zaś czekały w dali rakiety, miasto i kobiety z Ziemi.

- Nigdy się nie pogodzimy - rzekł.

- Zgódźmy się zatem co do dzielących nas sprzeczności - odparł Marsjanin. - Skoro obaj żyjemy, jakie to ma znaczenie, który z nas pochodzi z przeszłości, a który z przyszłości? To, co ma być, i tak będzie -jutro albo za dziesięć tysięcy lat. Skąd wiesz, że te świątynie to nie leżące w gruzach kościoły twojej własnej cywilizacji za sto wieków? Nie możesz tego wiedzieć, zatem nie pytaj. Ale noc jest bardzo krótka. Na niebie płonie luna. To ognie festynu i świąteczne ptaki.

Tomas wyciągnął rękę. Naśladując go, Marsjanin uczynił to samo.

Ich dłonie nie zetknęły się, lecz przeniknęły przez siebie.

- Czy spotkamy się jeszcze?
- Kto wie? Może któreś innej nocy?
- Chętnie poszedłbym z tobą na ten festyn.

- A ja bardzo pragnąłbym odwiedzić wasze nowe miasto, ujrzeć statek, o którym mówiłeś, zobaczyć owych ludzi, usłyszeć o wszystkim, co się wydarzyło.

- Do zobaczenia - rzucił Tomas.

- Dobranoc.

Marsjanin dosiadł swej zielonej metalowej maszyny i odjechał cicho między wzgórza. Ziemiak zawrócił swoją ciężarówkę i skierował się w przeciwną stronę.

- Dobry Boże, co za sen! - westchnął Tomas, głaszcząc kierownicę; jego myśli krążyły wokół rakiet, kobiet, ostrej whisky, tańców wirginijskich i zabawy.

Jakaż osobliwa wizja, pomyślał Marsjanin, pędząc naprzód i rozmyślając o festynie, kanałach, łodziach, złotookich kobietach i pieśniach.

Noc była ciemna. Księżyc zaszył. Światło gwiazd migotało na powierzchni pustej drogi, gdzie nie rozlegał się już żaden dźwięk. Wokół nie było żywej duszy, nic. I pozostało tak przez resztę chłodnej nocy.

Październik 2002: Brzeg

Mars był jak odległy brzeg, na który ludzie przybywali falami. Każda z nich była inna, każda coraz większa. Pierwsza przyniosła ze sobą mężczyzn przywykłych do chłodu, samotności i rozległych przestrzeni; łowców wilków i zaganiaczy bydła, pozbawionych grama tłuszczu. Lata wyostrzyły ich rysy, oczy były twarde jak główki gwoździ, ręce szorstkie niczym skóra starych rękawic, gotowe dotknąć wszystkiego. Mars nic im nie mógł zrobić, bowiem przywykli do równin i prerii, rozległych jak marsjańskie pola. Zjawili się zatem i ujarzmili pustkowia tak, by inni nabrali odwagi, aby pójść w ich ślady. Wstawili szyby w puste okna, zapalili za nimi światło.

Tacy byli pierwsi mężczyźni.

Wszyscy wiedzieli, kim będą pierwsze kobiety.

Druga fala mężczyzn powinna była wyruszyć z innych krajów, przynosząc ze sobą obce akcenty i idee. Jednakże rakiety zbudowano w Ameryce, pionierzy także byli Amerykanami. I tak już zostało - Europa, Azja, Ameryka Południowa, Australia i wyspy patrzyły, jak w niebo strzelają rzymskie świece, pozostawiając ich w tyle. Reszta świata pogrążyła się w wojnie bądź myślach o niej.

Toteż druga fala ludzi przybyła także z Ameryki. Ci pochodzili z osiedli pachnących kapustą i podziemnych korytarzy; towarzystwo milczących przybyszów z równin było dla nich niczym ożywczy oddech, upragnione wakacje, bowiem pierwsi ludzie wiedzieli, jak posłużyć się ciszą, aby przepelniła człowieka spokojem po długich latach, kiedy tkwił skurczony w rurach, puszkach i skrzynkach Nowego Jorku.

Zaś pomiędzy przybyszami drugiej fali znaleźli się też ludzie, w których oczach płonęła wiara, że zmierzają wprost do Boga...

Luty 2003: Tymczasem...

Sprowadzili piętnaście tysięcy stóp desek z oregońskiej sosny, z których miało powstać Dziesiąte Miasto, oraz siedemdziesiąt dziewięć tysięcy stóp kalifornijskiej sekwoi i wzniesli z nich zgrabne miasteczko na brzegu kamiennych kanałów. W niedzielne noce kościelne witraże jaśniały czerwienią, błękitem i zielenią; słychać też było głosy, śpiewające kolejne hymny.

- Teraz zaśpiewamy hymn 79. A teraz 94.

W niektórych domach słychać było ostry stukot maszyny do pisania - oto pisarz przy pracy, albo drapanie pióra - poeta przy pracy; w innych panowała cisza - dawni zbieracze muszli przy pracy. Zupełnie jakby potężne trzęsienie ziemi wyrwało korzenie i piwnice osady w stanie Iowa, a potem w jednej sekundzie trąba powietrzna, godna tej z krainy Oz, przeniosła całe miasteczko na Marsa i tam zostawiła...

Kwiecień 2003: Muzykanci

Chłopcy zapuszczali się daleko na marsjańskie pustkowia. Dźwigali ze sobą papierowe torby i od czasu do czasu, przystając na moment w długim marszu, wtykali do nich nosy, wciągając z lubością smakowitą woń szynki i pikli w majonezie oraz słuchając bulgotu oranżady w coraz cieplejszych butelkach. Wymachując sklepowymi torbami, pełnymi zielonego szczypiorku i pachnącej wątrobianki, czerwonego keczupu i białego chleba, rzucali sobie nawzajem wyzwania, aby przekroczyć granice zakreślone przez surowe matki. Biegli naprzód, krzycząc:

- Pierwszy zaczyna kopać!

Włoczyli się tak latem, jesienią i zimą. Jesień była najlepsza, bowiem wyobrażali sobie, że są na Ziemi i brodzą wśród zeschniętych liści.

Niczym garść kulek do gry wypadali na marmurowe nabrzeża kanału - chłopcy o rumianych policzkach i zimnych, błękitnych jak agat oczach; zdyszani, wykrzykiwali pachnące cebulą rozkazy, bowiem teraz, gdy dotarli do zakazanego, martwego miasta, wyzwania typu: „Ostatni to zwykła baba!” albo „Pierwszy zostanie muzykantem!”, przestały się liczyć. Teraz drzwi martwego miasta stały otworem, a chłopcom wydało się, że słyszą dobiegający ze środka lekki szmer, szelest jesiennych liści. W nagłym milczeniu skradali się naprzód, trzymając się za łokcie, niosąc w rękach kijki i wspominając słowa rodziców: „Tylko nie tam! Nie do starych miast! Uważajcie, gdzie się wybieracie! Kiedy wrócicie, oberwiecie w skórę jak jeszcze nigdy. Sprawdźmy wasze buty!”

I oto stali w umarłym mieście, grupka chłopców, którzy pożarli już połowę kanapek, a teraz namawiali się piskliwym szeptem.

- Raz kozie śmierć! - I nagle jeden z nich wpadł przez drzwi do najbliższego kamiennego domu, przeciął salon i nie oglądając się dotarł do sypialni, gdzie zaczął wymierzać wokół kopniaki, tupiąc nogami, a w powietrze frunęły czarne liście, kruche, cienkie jak bibułka wycięta z nocnego nieba. W jego ślady podążyło sześciu innych, pierwszy chłopak zaś stawał się muzykantem, grającym na białych ksylofonowych kościach, skrytych pod warstwą czarnych płatków. Na środek pokoju wytoczyła się wielka czaszka podobna do śnieżnej kuli; chłopcy krzyknęli. Pajęczce nogi zeber dźwięczały niczym rozstrojona harfa, a czarne płatki tańczyły wokół nich. Chłopcy szurali nogami, popychali się, siłowali i padali w stosy liści, prosto w śmierć, która zamieniła martwych w stosy suchych płatków, zabawkę dla opitych oranżadą chłopców.

A potem wpadali z jednego domu do drugiego, do siedemnastu kolejnych budynków, świadomi, że do każdego z miast po kolei przybywają strażacy, sterylnej wojownicy z łopatami i kubłami, którzy wypalą grozę i oczyszczą budynki, usuwając hebanowe strzępy ciał i miętowe laseczki kości, powoli, lecz nieubłaganie oddzielając koszmar od normalności, toteż chłopcy muszą bawić się, póki się da - strażacy wkrótce nadejdą.

Wreszcie, z twarzami lśniącymi od potu, pożerali resztę kanapek i z ostatnim kopnięciem, ostatnim akordem na marimbach, pożegnalnym skokiem w stos jesiennych liści wracali do domów.

Matki oglądały ich buty w poszukiwaniu śladów czerni, a jeśli je znalazły, chłopców czekała wrząca kąpiel i lanie od ojców.

Pod koniec roku strażacy zagrabili jesienne liście i białe ksylofony. Zabawa się skończyła.

Czerwiec 2003: Droga w przestworzach

- Słyszeliście? - O czym?
- Czarnuchy, czarnuchy!
- Co z nimi?
- Wyjeżdżają, wyprowadzają się, wynoszą; nie słyszeliście?
- Co to znaczy: wynoszą? Przecież nie mogą?
- Mogą i robią to.
- Tylko paru?
- Wszyscy z Południa, co do jednego!
- Nie?
- Tak!
- Muszę to zobaczyć. Nie wierzę. Dokąd się wybierają? Do Afryki? Cisza.
- Na Marsa.
- Chcesz powiedzieć, na planetę Mars?
- Zgadza się.

Mężczyźni stali w upalnym cieniu werandy sklepu żelaznego. Czyjaś ręka, zapalająca właśnie fajkę, zawisała w powietrzu. Ktoś inny splunął w rozgrzany poranny kurz.

- Nie mogą się wynieść, po prostu nie mogą.
- Ale właśnie to robią.
- Skąd wiesz?
- Mówią o tym wszędzie, wspominali nawet w radiu minutę temu. Właśnie to ogłosili.

Niczym seria zakurzonych posągów mężczyźni kolejno powracali do życia.

Samuel Teece, właściciel sklepu żelaznego, zaśmiał się niespokojnie.

- Po prawdzie zastanawiałem się, co się dzieje z Głuptakiem. Godzinę temu posłałem go na moim rowerze. Jeszcze nie wrócił od pani Bordman. Sądzicie, że czarny dureń popedałował prosto na Marsa?

Mężczyźni prychnęli.

- Powiadam jedynie, że lepiej dla niego, żeby przyprowadził mi rower. Na Boga, nikomu nie odpuszczę kradzieży.

- Słuchajcie!

Poirytowani mężczyźni zderzali się ze sobą, obracając się gwałtownie.

Zupełnie jakby daleko w głębi ulicy pękła grobla. Ciepłe czarne wody zalały miasto. Pomiędzy lśniącymi białymi brzegami miejskich sklepów i sterczącymi nieruchomo pniami drzew przelewał się czarny prąd. Spęczniałe fale gęstego ciemnego syropu ściekały na cynamonowy piach drogi. Rzeka powoli płynęła naprzód, a składali się na nią mężczyźni i kobiety, chłopcy i dziewczynki, z ust zaś ludzi, tworzących ową falę, dobywał się śpiew rzeki, letniej rzeki zmierzającej w dal, szemrzącej, nieposkromionej. W głębi powolnego niestrudzonego strumienia ciemności, prącego naprzód w jasnym blasku dnia, rozbłyskiwały czujne białe plamki, jasne białka oczu, spoglądających naprzód i na boki, podczas gdy rzeka, długa, nie kończąca się rzeka, opuszczała dawne koryto, spływając w nowe. Tworzyły ją niezliczone dopływy, strumienie, strumyczki i potoki barwy i ruchu, łączące się w jedność, w jeden potężny prąd, pędzący coraz dalej i dalej. Główny nurt unosił też z sobą rozliczne przedmioty, które trafiły w głąb rzeki - staroświeckie zegary z kurantami, cykające kuchenne budziki, zamknięte w klatkach, wrzeszczące wniebogłosy kury i płaczące dzieci; nagle wiry porywały muły i koty, na wodzie kołysały się materace, z których sterczały sprężyny i kępy włosów, obok nich przepływały pudła, skrzynie, skrzynki i obrazy czarnych dziadków w dębowych ramach. Rzeka płynęła naprzód, podczas gdy mężczyźni siedzieli na werandzie sklepu niczym rozdrażnione ogary. Już za późno, by załatać tamę. Ich ręce były próżne. Samuel Teece nie wierzył własnym oczom.

- Do diabła, skąd wzięli transport? Jakim cudem chcą się dostać na Marsa?

- Raketami - odparł Dziadunio Quartermain.

- Głupstwa gadasz. Skąd wzięliby rakiety?

- Zaoszczędzili pieniądze i zbudowali je.

- Nigdy o tym nie słyszałem.

- Wygląda na to, że czarnuchy trzymali wszystko w sekrecie. Sami zajęli się budową rakiet. Nie wiem gdzie, może w Afryce.

- I wolno im zrobić coś takiego? - spytał ostro Samuel Teece, krążąc po werandzie. - Nie ma na to żadnego prawa?

- Przecież nie wypowiedzieli nam wojny - odparł spokojnie Dziadunio.

- Dokąd się wybierają, do diaska? Po co te wszystkie spiski i sekrety? - wykrzyknął Teece.

- Zgodnie z planem wszystkie czarnuchy z naszego miasta mają się zebrać nad jeziorem Loon. Rakiety przylecą tam o pierwszej, zabiorą ich i zawiozą na Marsa.

- Zadzwońcie do gubernatora, wezwijcie milicję stanową! - wrzasnął Teece. - Powinni o tym wiedzieć.

- Idzie twoja kobieta, Teece.

Mężczyźni znów się odwrócili.

Gdy tak patrzyli, na rozgrzanej drodze, pod nieubłaganiem słońcem, pojawiła się najpierw jedna biała kobieta, potem druga i trzecia; dziesiątki kobiet, oszołomionych, szeleszczących jak zeschnięty papier. Niektóre płakały, twarze innych zastygły w surowym grymasie. Wszystkie przybyły w poszukiwaniu swych mężczyzn. Część skręciła do baru, znikając za wahadłowymi drzwiami, inne weszły do chłodnych, spokojnych sklepów, jeszcze inne do aptek i garaży, a jedna z nich, pani Clara Teece, stanęła w kurzu obok ganku sklepu żelaznego i mrugając oczami spojrzała na swego złego, wyniosłego męża, podczas gdy czarna rzeka przepływała za jej plecami.

- Mam kłopot z Lucindą, tatuśku; potrzebuję cię w domu.

- Nie będę wracał do domu dla jakiejś czarnej zdiury!

- Ona odchodzi. Co ja bez niej pocznę?

- Sama sobie poradzisz. Nie zacznę błagać na klęczkach, żeby została.

- Ale ona jest jak członek rodziny - jęknęła pani Teece.

- Zamknij się! Nie będziesz tak gadała przy ludziach o jakiejś przeklętej...

Urwał, słysząc cichy szloch żony. Kobieta otarła załzawione oczy.

- Powtarzałam jej: „Lucindą, zostań, podwyższę ci pensję, jeśli zechcesz, dostaniesz nawet dwa wolne wieczory w tygodniu”, ale ona miała taką stanowczą minę! Nigdy nie widziałam jej tak zdecydowanej. Więc mówię: „Nie kochasz mnie już, Lucindo?” - a ona na to, że owszem, ale musi odejść, ponieważ tak już jest. To wszystko. Sprzątnęła dom, odkurzyła, postawiła lunch na stole, po czym podeszła do drzwi jadalni i - i stała tam z dwoma zawiniątkami, które złożyła na ziemi, następnie uściśnęła mi rękę, mówiąc: „Do widzenia, pani Teece”. A potem wyszła. Jej lunch został na stole, a my wszyscy byliśmy tak zmartwieni, że nie mogliśmy go tknąć. Zdaje się, że nadal tam czeka. Pewnie zupełnie już wystygł.

Teece o mało jej nie uderzył.

- Do diabła, pani Teece, wynoś się do domu! I przestań robić z siebie widowisko!

- Ależ, tatuśku...

Odwrócił się na pięcie i zniknął w gorącym półmroku sklepu. W kilka sekund później wynurzył się stamtąd, trzymając w dłoni srebrny pistolet.

Jego żona już zniknęła.

Czarna rzeka przelewała się między budynkami. Towarzyszył jej szmer głosów, skrzypienie butów i nieustanne ciche szuranie. Wszystko odbywało się bardzo spokojnie, nieuchronnie; żadnych śmiechów i krzyków, jedynie miarowy, stanowczy, nieubłagany prąd.

Teece przysiadł na skraju drewnianego krzesła.

-Jeśli jeden z nich choćby się zaśmieje, klnę się na Boga, że go zabiję.

Mężczyźni czekali.

Rzeka przepływała spokojnie w sennym blasku południa.

- Wygląda na to, że od tej pory sam będziesz musiał okopywać swą rzepę. - Dziadunio zachichotał.

- Zdarzało mi się też strzelać do białych. - Teece nawet nie spojrzał na starca. Ten także odwrócił głowę i zamilkł.

- Stać! - Samuel Teece zeskoczył z werandy, wyciągnął rękę i pochwycił wodze konia, na którym jechał wysoki Murzyn. - Ty, Belter, zsiadaj!

- Tak, proszę pana. - Belter zsunął się na ziemię. Teece zmierzył go wzrokiem.

- Dokąd to się wybierasz?

- Cóż, panie Teece...

- Zgaduję, że chcesz odjechać tak jak w tej piosence, jak ona idzie? „Drogą w przestworzach", zgadza się?

- Tak, proszę pana. - Murzyn czekał.

- Pamiętasz, że jesteś mi winien pięćdziesiąt dolarów, Belter?

- Tak, proszę pana.

- Próbujesz mnie oszukać? Na Boga, wychłoscze cię za to!

- W całym tym zamieszaniu umknęło mi to z głowy, proszę pana.

- Umknęło mu z głowy. - Teece uśmiechnął się paskudnie i mrugnął do swych towarzyszy na werandzie sklepu żelaznego. - Na Boga, wiesz, co teraz będzie, mój panie?

- Nie, proszę pana.

- Zostaniesz tutaj, żeby odpracować te pięćdziesiąt dolarów, albo nie nazywani się Samuel W. Teece. - Odwrócił się ponownie, posyłając siedzącym w cieniu ludziom pewny siebie uśmiešek.

Belter spojrzał na płynącą ulicą rzekę, czarne wody przelewające się między sklepami, mroczny strumień na wozach, koniach i w zakurzonych butach; nurt, z którego wyrwano go tak nagle. Zaczął się trząść.

- Proszę mnie puścić, panie Teece. Przyrzekam, że odeślę panu pieniądze.

- Słuchaj, Belter. - Teece pochwycił szelki swego rozmówcy niczym dwie struny harfy, od czasu do czasu strzelając nimi pogardliwie. Krzywiąc się, spoglądał w niebo celując kościstym palcem prosto w Boga. - Belter, wiesz, co cię tam czeka?

- To, co mi opowiadali.

- To, co mu opowiadali! Chryste! Słyszeliście? Co mu opowiadali! - Szarpnął szelkami, pociągając do siebie mężczyznę i leniwie pstrykając palcami tuż przed czarną twarzą. - Belter, wylecisz w górę jak rakieta na czwartego lipca, a potem bum! i twoje popioły rozsypią się w kosmosie. Ci zwariowani naukowcy nie znają się na niczym. Zabiją was wszystkich!

- Nie dbam o to.

- Cieszę się, że to słyszę. Bo wiesz, co znajdziesz na planecie Mars? Są tam potwory o wielkich jak grzyby oczach! Widywałeś je przecież w pisemkach, które kupujesz w sklepie za dziesiątaka. Właśnie! Te potwory rzucą się na was i wyssają wam szpik z kości!

- Nie dbam o to ani trochę. - Belter patrzył, jak tłum przepływa obok, pozostawiając go za sobą. Na jego czarne czoło wystąpiły krople potu. Zdawało się, że zaraz zemdleje.

- Do tego jest tam zimno, nie ma powietrza. Człowiek pada, szarpiąc się jak ryba; dusi się i umiera, dusi i umiera. Podoba ci się to?

- Mnóstwo rzeczy mi się nie podoba, proszę pana. Niech pan mnie puści. Spóźnię się.

- Puszczę cię, kiedy uznam za stosowne. A na razie porozmawiamy sobie uprzejmie, póki nie powiem, że możesz już iść. I dobrze o tym wiesz. A więc chcesz podróżować? No cóż, panie Droga w Przestworzach, możesz teraz zabrać swój tyłek do domu i odpracować pięćdziesiąt dolców, które jesteś mi dłużny. To ci zabierze ze dwa miesiące.

- Ale jeśli je odpracuję, spóźnię się na raketę, proszę pana.

- Jakże mi przykro. - Teece przybrał smutną minę. Nie wyszło mu to najlepiej.

- Oddam panu konia, proszę pana.

- Koń nie jest legalną zapłatą. Nie ruszysz się stąd, póki nie dostanę moich pieniędzy. - Teece roześmiał się w duchu. Po ciele rozeszło mu się rozkoszne ciepło.

Tymczasem wokół nich zebrała się grupka ciemnych ludzi. Jeden z nich, starszy już, wystąpił naprzód i stanął obok dygoczącego Beltera, który czekał ze zwieszoną głową.

- Panie?

Teece zerknął na niego spode łba.

-Co?

- Ile jest panu winien ten człowiek?

- Nie twój przeklęty interes. Starzec spojrzał na Beltera.

- Ile, synu?

- Pięćdziesiąt dolarów.

Starzec wyciągnął czarne ręce do zebranych wokół ludzi.

-Jest was dwudziestu pięciu. Niech każdy da dwa dolary. Szybko, nie ma czasu na dyskusje.

- Chwileczkę! - zawołał Teece, sztywniejac cały. Znikąd pojawiły się pieniądze. Stary mężczyzna przeliczył je, wrzucił do kapelusza i podał Belterowi.

- Synu - rzekł - nie spóźnisz się na rakiety. Belter uśmiechnął się do kapelusza.

- Nie, proszę pana, chyba nie.

- Zwróć im to, szybko! - wrzasnął Teece.

Belter uklonił się grzecznie, podając mu pieniądze, a kiedy Teece nie zareagował, położył je w pyle u jego stóp.

- Oto mój dług, proszę pana - rzekł. - Dziękuję uprzejmie. - Nadal uśmiechając się, wskoczył na siodło i poganiając konia, ruszył naprzód, dziękując staremu mężczyźnie, który jechał obok niego. Wkrótce obaj zniknęli patrzącym z oczu.

- Sukinsyn - szepnął Teece, gapiąc się ślepo w słońce. - Sukinsyn.

- Weź swoje pieniądze, Samuelu - poradził ktoś z werandy. Podobne sceny odbywały się wszędzie wokół. Bosonodzy biali chłopcy śmigali naprzód, roznosząc nowiny.

- Ci, którzy mają pieniądze, pomagają tym, co ich nie mają! W ten sposób wszyscy się

wyzwoła! Widziałem bogacza, który oddał biedakowi dwieście dolarów, aby spłacił swój dług! Ktoś inny pożyczył dziesiątkę, pięć dolarów, szesnaście, i wszyscy to robią!

Biali mężczyźni siedzieli bez ruchu, czując kwaśny posmak w ustach. Ich podpuchnięte oczy mrużyły się, jakby wiatr, piasek i upał wymierzyły każdemu policzek.

Samuel Teece kipiał wściekłością. Wspiął się na werandę, patrząc gniewnie na przechodzący tłum. Wymachiwał pistoletem, a po chwili, kiedy poczuł, że musi coś zrobić, zaczął wrzeszczeć do wszystkich, do każdego Murzyna, który odważył się spojrzeć na niego.

- Bum! Kolejna rakietą wylatuje w kosmos! - ryczał tak, aby wszyscy go słyszeli. - Bum! na Boga! - Czarne głowy nawet nie drgnęły, puszczając te słowa mimo uszu, jednakże białe oczy zerkały niespokojnie tam i z powrotem. - Łup! I rakiety spadają! Giną z wrzaskiem! Bum! Boże wszechmogący, cieszę się, że zostaję tu na dobrym, starym gruncie! Jak powiadają w starym dowcipie, grunt to grunt, im twardszy tym lepszy! Ha, ha!

Konie przejeżdżały obok, stukając kopytami, wozy podskakiwały na zużytych resorach.

- Bum! - Jego głos rozbrzmiewał samotnie w upale, próbując przerazić pył i płonące na niebie słońce. - Łup! Czarnuchy w kosmosie! Na Boga, wylatują z raket niczym szprotki z puszek! Kosmos jest pełen meteorów. Wiedzieliście o tym? Jasne! Gęstych jak ziarnka śrutu! Zestrzelą wasze blaszane statki jak kaczkę czy garść rzutków! Puszek pełne czarnych dorszy zaczną wybuchać jak garść kapiszonów! Bach, bach, bach! Tu dziesięć tysięcy trupów, tam dziesięć tysięcy. A wszystkie krążące w przestrzeni wokół Ziemi na zawsze, zimne i dalekie. Mój Boże! Słyszycie, wy tam?

Cisza. Szeroka rzeka płynęła nieprzerwanie. Przez ostatnią godzinę dotarła do wszystkich chat na polach i wymyła z nich cenne drobiazgi, teraz zaś unosiła zegary i tary do bielizny, sztuki jedwabiu i karnisze, zmierzając do odległego czarnego morza.

Wreszcie fala zaczęła opadać. Była druga. Rzeka wysychała powoli, miasto milczało, kurz opadał, osiadając cieniutką warstwą na fasadach sklepów, nieruchomych ludziach, wysokich rozgrzanych drzewach.

Cisza.

Mężczyźni na werandzie wyteżali uszy.

Nie słysząc nic, skierowali swoje myśli na otaczające miasto łąki. Jeszcze wczesnym rankiem całą krainę wypełniała zwykła mieszanina dźwięków. Tu i ówdzie rozlegały się głosy nucące tradycyjne pieśni przy pracy. Wtórował im słodki śmiech pod gałęziami mimozy i nawoływania Murzyniątek, pluszczących się w czystej wodzie strumienia. Ludzie na polach schylali się miarowo, z drewnianych chat porośniętych zielonym mchem dobiegały żarty i wesołe okrzyki.

Teraz zapadła cisza, zupełnie jakby wielki wiatr zdmuchnął z Ziemi wszystkie dźwięki. Nie pozostało nic. Zbite z desek drzwi wisiały otwarte na skórzanych zawiasach, huśtawki z opon kołysały się lekko, puste i porzucone. Kamienie w rzece, na których codziennie odbywało się pranie,

sterczały samotne nad wodą, a ostatnie pozostawione odłogiem grządki arbużów grzały w słońcu swe ukryte soki. Pająki zaczęły już snuć nowe sieci w opuszczonych domach; przez dziury w dawno nie łątanych dachach sypały się złote kolce kurzu. Tu i ówdzie zapomniany w pośpiechu ogień budził się z drzemki i w nagłym przyptywie sił pożerał suchy szkielet zaśmieconej chaty. Martwą ciszę zakłócał trzask, towarzyszący jego uczcie.

Mężczyźni siedzieli bez ruchu na werandzie sklepu żelaznego, nie mrugając oczami, nie przełykając śliny.

-Jednego nie pojmuję. Czemu odeszli właśnie teraz? Przecież było im coraz lepiej. Co dzień dostawali nowe prawa. Czego właściwie chcą? Zniesiono podatek pogłówny, coraz więcej stanów przyjmuje ustawy zwalczające lincz i wprowadza równe prawa. Czego jeszcze mogliby pragnąć? Zarabiają prawie tyle samo co biali, a jednak odchodzą.

U wylotu pustej ulicy pojawił się rower.

- A niech mnie, Teece, jedzie twój Głuptak.

Rower zatrzymał się przed werandą. Zsiadł z niego siedemnastoletni kolorowy chłopiec, same ręce, stopy, długie nogi i głowa okrągła jak arbuż. Spojrzał na Samuela Teece'a i uśmiechnął się.

- A zatem wróciłeś. Pewnie ogarnęły cię wyrzuty sumienia, co? - rzucił drwiąco Teece.

- Nie, proszę pana. Po prostu odprowadzam rower.

- A co, nie mogłeś zabrać go do rakiety?

- Nie o to chodzi, proszę pana.

- Nie mów mi, o co! Rusz się, nie ukradniesz mi mojej własności! - Pchnął chłopca. Rower runął na ziemię. - Właż do środka i zacznij polerować mosiądze.

- Przepraszam? - Oczy chłopca rozszerzyły się.

- Słyszałeś, co powiedziałem. Trzeba rozpakować nowe strzelby, z Natchez przysłano skrzynię gwoździ...

- Panie Teece...

- Musisz też osadzić całe pudło młotków...

- Panie Teece, proszę pana?

- Jeszcze tu stoisz? - Teece zmierzył go gniewnym spojrzeniem.

- Panie Teece, jeśli nie ma pan nic przeciw temu, wezmę dziś wolny dzień - powiedział

chłopak przeproszającym tonem.

- A także jutro, pojutrze i jeszcze później - dokończył Teece.

- Obawiam się, że tak, proszę pana.

- I powinieneś się obawiać, chłopcze. Chodź tutaj! - Powlókł go za sobą przez werandę i wyciągnął z biurka kartkę papieru. - Pamiętasz to?

- Nie, proszę pana.

- To twoja umowa o pracę. Podpisałeś ją, tu jest twój krzyżyk. Zgadza się? Odpowiadaj!

- Ja tego nie podpisałem, panie Teece. - Chłopiec zadrżał. - Każdy może postawić taki znaczek.

- Posłuchaj tylko, Głuptaku. Umowa: będę pracował u pana Samuela Teece'a przez dwa lata, począwszy od piętnastego lipca 2001 roku. Przed odejściem złożę czterotygodniowe wypowiedzenie i nadal będę pracował, póki nie znajdzie się ktoś, kto zajmie moje miejsce. Masz. - Teece rąbnął pięścią w papier. Jego oczy błyszczały. - Zacznieś się stawiać, pójdziemy do sądu.

- Nie mogę tego zrobić - jęczał chłopiec. Po jego policzkach spływały łzy. - Jeśli dziś nie odejdę, nie odejdę w ogóle.

- Rozumiem twój zawód, Głuptaku. Tak, nawet ci współczuję. Ale będziemy cię dobrze traktować i karmić, mój chłopcze. A teraz wracaj do środka, zacznij pracować i zapomnij o tym bzdurnym wyjeździe, co, Głuptaku? Jasne? - Teece uśmiechnął się szeroko i poklepał chłopaka po ramieniu.

Chłopiec odwrócił się i powiódł wzrokiem po ludziach siedzących na werandzie. Ledwie ich dostrzegał przez łzy.

- Może... może jeden z tych panów zechciałby... Mężczyźni zebrani w gorącym niespokojnym cieniu unieśli wzrok, spoglądając to na chłopca, to na Teece'a.

- Chcesz powiedzieć, że według ciebie biały człowiek mógłby zająć twoje miejsce, chłopcze? - spytał lodowato Teece.

Dziadunio Quartermain uniósł czerwone dłonie, spoczywające dotąd na kolanach. Z namysłem popatrzył na horyzont i rzekł:

- Teece, a może ja?

- Co ty?

- Wziąłbym robotę Głuptaka. Na werandzie zapadła cisza.

Teece zakołysał się na piętach.

- Dziaduniu... - rzucił ostrzegawczo.

- Puść chłopaka. Ja wyczyszczę mosiądze.

- Naprawdę pan to zrobi? - Głuptak podbiegł do Dziadunia, śmiejąc się z niedowierzaniem. Jego policzki wciąż lśniły od łez.

- Dziaduniu! - warknął Teece. - Nie mieszaj się do tego.

- Daj spokój chłopakowi.

Teece podszedł do nich i pochwycił rękę chłopca.

- Jest mój. Zamknę go w składziku na tyłach i wypuszczę dopiero wieczorem.

- Panie Teece, nie!

Chłopak zaczął płakać. Jego szlochy wypełniły powietrze na werandzie. Zacisnął powieki. Ulicą zbliżał się stary blaszany ford, który rżąc unosił z sobą ostatni ładunek kolorowych.

-Jedzie moja rodzina, panie Teece. Błagam, o Boże, błagam pana!

- Teece - odezwał się jeden z mężczyzn na werandzie, wstając z miejsca. - Puść go.

Jego sąsiad uniósł się również.

- Też tak uważam.

- I ja - dodał następny.

- Po co to wszystko? - Teraz mężczyźni mówili już jeden przez drugiego. - Daj spokój, Teece. Puść go.

Teece pomacał się po kieszeni, w której trzymał pistolet. Kiedy jednak ujrzał twarze swych towarzyszy, jego ręka opadła, pozostawiając broń w spokoju.

- A więc tak to wygląda? - spytał.

- Tak to wygląda - odparł ktoś. Teece uwolnił chłopca.

- W porządku. Wynoś się stąd. - Skinął ręką w stronę sklepu. - Ale mam nadzieję, że nie zamierzasz zostawić po sobie żadnych śmieci w moim sklepie.

- Nie, proszę pana!

- Sprzątnij wszystko z szafasu na tyłach. Spal to.

Głuptak potrząsnął głową.

- Wezmę te rzeczy ze sobą.

- Nie pozwolą ci zabrać ich do tej przeklętej rakiety.

- Wezmę je ze sobą - powtórzył chłopiec z łagodnym uporem.

Śmignął w głąb sklepu, znikając na zapleczu. Po chwili rozległy się stamtąd odgłosy zamiatania i sprzątanania i w parę minut później chłopak stanął w drzwiach z rękami pełnymi kapsli i szklanych kulek, starych zakurzonych latawców i zbieranych przez całe lata śmieci. W tym momencie stary blaszany wóz podjechał pod sklep, Głuptak wszedł do środka, trzasnęły drzwiczki. Teece stał na werandzie, uśmiechając się z goryczą.

- Co zamierzasz tam robić?

- Zacząć wszystko od nowa - powiedział Głuptak. - Będę miał własny sklep żelazny.

- Niech to diabli! Uczyłeś się fachu tylko po to, żeby uciec i wykorzystać to do własnych celów!

- Nie, proszę pana, nie przypuszczałem, że któregoś dnia tak się ułoży. Ale stało się. Nie mogę nic poradzić na to, że się nauczyłem, panie Teece.

- Ponazywaliście jakoś te wasze rakiety? Pasażerowie zerknęli na zegar na tablicy rozdzielczej.

- Tak, proszę pana.

- Pewnie Eliasz i Rydwan, Wielkie Koło i Małe Koło, Wiara, Nadzieja i Litość, co?

- Mamy własne nazwy dla naszych statków, panie Teece.

- Syn Boży i Duch Święty, dobrze zgadłem? Powiedz no, chłopcze, macie może rakieta nazwaną Pierwszy Kościół Baptystów?

- Musimy już jechać, panie Teece. Teece wybuchnął śmiechem.

- Może którąś nazwaliście Zstąp w Dół, a drugą Słodki Rydwan?[1]

Samochód ruszył naprzód.

- Do widzenia, panie Teece.

- A Rozruszaj Stare Kości?

- Do widzenia, proszę pana!

- I jeszcze Nad Brzegami Jordanu! Ha! Bierz swą rakieta, chłopcze, unieś ją w powietrze, no dalej, wybuchnij z nią razem! Zobaczysz, ile mnie to obejdzie!

Samochód oddalał się w tumanie kurzu.

Chłopiec wstał z miejsca i przytykając dłonie do ust, wykrzyknął po raz ostatni do pana Teece'a:

- Panie Teece, panie Teece, co pan teraz będzie robił po nocach? Co pan będzie robił po nocach, panie Teece? Cisza. Samochód zniknął w dali. Już go nie było.

- O co, u diabła, mu chodziło? - zastanawiał się pan Teece. - Co będę robił po nocach?

Patrzył, jak kurz osiada na szlaku, i nagle zrozumiał. Przypomniał sobie noce, kiedy pod jego dom podjeżdżali ludzie; ich kolana sterczały w powietrzu, nad nimi zaś unosiły się strzelby niczym stado studziennych żurawi na tle nocnego nieba. Oczy przybyszów lśniły paskudnym blaskiem. Naciskali klakson, a on, trzaskając drzwiami, wypadał na dwór z bronią w ręku, śmiejąc się do siebie, a jego serce waliło jak u dziesięciolatka, po czym razem odjeżdżali drogą. Na podłodze samochodu spoczywał zwój konopnej liny, pudełka z nabojami wypychały kieszenie płaszczy. Ileż nocy spędzili w ten sposób? Wiatr wpadał do wozu, szarpiając ich włosy, wciskając je w błyszczące mściwie oczy i rycząc w uszach, podczas gdy oni wybierali drzewo, porządne silne drzewo, i stukali do drzwi!

- A więc to miał na myśli ten sukinsyn? - Teece wyskoczył na słońce. - Wracaj, świnió! Co będę robił po nocach? Ten głupi, bezczelny pomiot...

Dobre pytanie. Poczł nagłą pustkę w piersi. O tak, co będziemy robić po nocach? - pomyślał. Teraz, kiedy oni odeszli? Był jak pusta butelka, zagubiony, odrętwiały.

Wyciągnął z kieszeni pistolet i sprawdził magazynek.

- Co chcesz zrobić, Sam? - spytał ktoś.

- Zabić sukinsyna!

- Nie nakręcaj się - upomniał go Dziadunio. Jednakże Samuel Teece zniknął już za sklepem. Po chwili wyjechał na drogę swym kabrioletem.

- Ktoś jedzie ze mną?

- Po prawdzie mam ochotę się przewietrzyć - odparł Dziadunio, wstając.

- Ktoś jeszcze?

Nikt nie odpowiedział.

Dziadunio wsiadł do środka, trzaskając drzwiczkami. Samuel Teece ruszył gwałtownie w

wielkim tumanie kurzu. Milczeli, pędząc naprzód pod jasnym pogodnym niebem. Powietrze nad suchymi łąkami drżało od gorąca.

Zatrzymali się na skrzyżowaniu.

- Którędy poszli, Dziaduniu? Starzec rozejrzał się, mrużąc oczy.

- Myślę, że prosto.

Pojechali dalej. Samochód pędził naprzód między letnimi drzewami. Jedyne ryk jego silnika zakłócał wszechobecną ciszę. Droga była pusta. W miarę posuwania się naprzód zauważyli coś nowego. Teece zwolnił i wychylił się z wozu. Jego żółte oczy patrzyły gniewnie naprzód.

- Niech to diabli, Dziaduniu, widzisz, co ci dranie zrobili?

- Co takiego? - spytał Dziadunio i podążył wzrokiem w ślad za spojrzeniem swego towarzysza.

Po obu stronach pustej wiejskiej drogi, starannie ułożone w stosikach i zawiniątkach, spoczywały stare wrotki, chusty pełne drobiazgów, znoszone buty, taczki, kubki, spodnie, płaszcze i wysłużone kapelusze, wschodnie kryształowe sople, które kiedyś podzwaniały na wietrze, różowe geranium posadzone w puszkach, półmiski woskowych owoców, pudła pieniędzy konfederatów, wanny, tary, sznury do suszenia bielizny, mydło, czyjs trójkołowy rowerek, czyjs inny sekator do strzyżenia żywopłotów, wagonik-zabawka, diabeł w pudełku, witraż z murzyńskiego kościoła baptystów, cały zestaw szczęk hamulcowych, rurki, materace, kanapy, fotele na biegunach, słoje zimnej śmietanki, ręczne lusterka. Żaden z tych przedmiotów nie został niedbale porzucony; wszystkie ułożono łagodnie, z uczuciem i szacunkiem, na piaskowych poboczach drogi. Zupełnie jakby całe miasto przybyło tu, dźwigając swój dobytek, a potem, gdy zabrzmiała wielka trąba ze spiżu, wszystkie te rzeczy oddano w pieczę milczących piasków i jeden za drugim mieszkańcy Ziemi umknęli wprost w błękitny przestwór nieba.

- Nie chcieli ich spalić - wykrzyknął gniewnie Teece. - Nie, nie chcieli ich spalić, jak mówiłem; musieli zabrać wszystko ze sobą i zostawić tak, by mogli spojrzeć na nie po raz ostatni, przy drodze, wszystko razem, nietknięte. Czarnuchy sądzą, że są bardzo sprytni.

Gwałtownie zarzucając wozem parł naprzód, mila za milą, rozrzucając, miażdżąc i niszcząc paczuski papieru, szkatułki na biżuterię, lustra, fotele.

- A masz! Jeszcze, jeszcze!

Nagle przednie koło syknęło ogłuszająco. Samochód szarpnął się gwałtownie i zjechał na bok, wprost do rowu, ciskając Teece'em o przednią szybę.

- Sukinsyn! - Mężczyzna otrzepał się z kurzu i wyskoczył z samochodu, niemal wrzeszcząc z wściekłości.

Spojrzał z nienawiścią na cichą, pustą drogę.

- Teraz nigdy już ich nie złapiemy. Nigdy.

Jak okiem sięgnąć, widać było jedynie tobołki, stosiki i kolejne zawiniątka, ułożone starannie niczym maleńkie porzucone świątynie, skąpane w blasku popołudniowego słońca. Ciepły wiatr dmuchał im w twarze.

Godzinę później Teece i Dziadunio wrócili pieszo do sklepu żelaznego, kompletnie wyczerpani. Tamci nadal siedzieli na werandzie, nasłuchując i patrząc w niebo. W chwili gdy Teece opadł na krzesło, zzuwając ciasne buty, ktoś krzyknął:

- Patrzcie!

- Niech mnie diabli, jeśli choć spojrzę - mruknął Teece. Jednakże pozostali posłuchali i ujrzeli daleko złote nitki, ulatujące w niebo. Po chwili zniknęły, pozostawiając za sobą ognisty ślad.

Na polach bawełny wiatr szumiał pośród pokrytych śnieżnym nalotem krzaków. Jeszcze dalej na łąkach leżały nietknięte arbuzy, pasiaste niczym koty, wygrzewające się w słońcu.

Mężczyźni na werandzie usiedli. Spojrzeli po sobie, zerknęli na żółte zwoje liny na półkach sklepowych, przebiegli wzrokiem stosy nabożów, połyskujących mosiężnym blaskiem w kartonowych pudełkach, srebrne pistolety i długie czarne strzelby, wiszące spokojnie w cieniu. Ktoś wsunął do ust słomkę, ktoś inny nakreślił palcem w kurzu ludzką sylwetkę.

Wreszcie Samuel Teece uniósł triumfalnie swój pusty but, obrócił go w dłoni i przyglądając mu się, rzekł:

- Zauważyliście? Klnę się na Boga, aż do samego końca mówił do mnie: „proszę pana”!

2004-2005: Nadawanie imion

Przybyli do obcej błękitnej krainy i narzucili jej swoje nazwy. I tak pojawił się Strumień Hinkstona, Zakątek Lustiga, Czarna Rzeka, Lasy Driscolla, a z drugiej strony Góry Graniczne i Osada Wildera - wszystkie przywoływały na myśl wizje ludzi i rzeczy, które robili. Oto miejsce, gdzie Marsjanie zabili pierwszych Ziemian. Nazwano je Czerwonym Grodem, od barwy krwi. Tu, gdzie zgładzono drugą wyprawę, stanęła wioska Drugie Podejście; we wszystkich innych miejscach, w których piloci raket postawili swe ogniste kotły, pozostały po nich popioły imion. Oczywiście istniało też Wzgórze Spendera i miasto Nathaniela Yorka...

Stare marsjańskie nazwy wywodziły się z wody, powietrza i wzgórz. To były imiona śniegów, spływających na południe kamiennymi kanałami, aby wypełnić puste morza; miana pradawnych, pogrzebanych pod ziemią magów, wież i pomników. Rakiety niczym młoty strąciły stare nazwy w nicość, rozbijając marmur w pył, miażdżąc porcelanowe kamienie milowe, drogowskazy dawnych miast. Wśród ich szczątków osadzono wielkie filary, na których widniały nowe nazwy: ŻELAZOWO, STALOWO, ALUMINIOWO, PRĄDNIK, ZBOŻÓW, ZIARNOWO, DETROIT II - miana urządzeń i metali wprost z Ziemi.

A gdy już wzniesiono i ochrzczono miasta, pojawiły się też cmentarze: Zielone Wzgórze, Ciche Mchy, Pagórek Wędrowców, Zaczekaj Chwilkę; w grobach spoczęli pierwsi zmarli...

Kiedy zaś wszystko trafiło już na swe miejsca, pewne i bezpieczne, gdy ciche, porządne miasta zyskały wszelkie wygody, a samotność niemal zniknęła, z Ziemi przybyły wyższe sfery. Ich członkowie zjeżdżali na przyjęcia i urlopy, wyprawiali się na zakupy lub w poszukiwaniu pamiątek, zdjęć i atmosfery. Przybywali, aby badać i stosować prawa socjologii; zjawiali się, przynosząc ze sobą gwiazdy, odznaki, prawa i reguły, biurokratyczne przepisy, spowijające Ziemię niczym obce zielsko. Teraz zaczęli rozsadzać je na Marsie, czekając, aż zapuszczą korzenie. Poczęli planować życie ludzi i zawartość ich bibliotek, pouczać i gnębić - tych samych ludzi, którzy przybyli na Marsa po to, by uciec od pouczeń, przepisów i nacisków.

A czasami niektórzy z tych ludzi odpowiadali pięknym za nadobne...

Kwiecień 2005: Usher II

Przez cały dzień pewnej jesieni - dzień zadymką omglony, posępny i oniemiały, gdy chmury ciężko i nisko zwisyły na niebie, przebywałem samopas i konno obszary niezwykle ponurej krainy i wreszcie, w chwili przyływu zmierzchów wieczornych, stanąłem przed melancholijnym Domem Usherów..."[2]

Pan William Stendahl zawiesił głos, nie kończąc cytatu, bowiem tam, na niskim czarnym wzgórzu wznosił się Dom, na którego kamieniu węgielnym wypisano datę A.D. 2005. Pan Bigelow, architekt, rzekł:

- Wszystko gotowe. Oto klucz, panie Stendahl.

Obaj mężczyźni stali razem w milczeniu. Było spokojne jesienne popołudnie. Na kruczoczarnej trawie u ich stóp szeleściły odbitki planów.

- Dom Usherów. - Pan Stendahl wymówił te słowa z prawdziwą rozkoszą. - Zaplanowany, zbudowany, kupiony, zapłacony. Czyż pan Poe nie zachwyciłby się nim?

Pan Bigelow zmrużył oczy.

- Tego właśnie pan pragnął?

-Tak!

- Czy barwę ma odpowiednią? Jest pełen spustoszenia i zgrozy?

- Przejmującego spustoszenia, straszliwej zgrozy!

- A ściany, czy dostatecznie chłodem przesycone?

- Zdumiewająco!

- A staw, jest wystarczająco czarny i żałobny?

- Niewiarygodnie czarny i żałobny.

- I wreszcie sitowie - wie pan, musieliśmy je ufarbować - czy nazwie je pan stosownie widmowym i szarawym?

-Jest iście ohydne!

Pan Bigelow skonsultował się ze swymi planami, cytując z nich:

- Czy cała ta budowla budzi w panu „drętwotę serca, znękanie, niemoc - niepokonany smutek zadumy"? Dom, staw, krajobraz... i jak, panie Stendahl?

- Panie Bigelow, to jest warte każdych pieniędzy. Na Boga, jest cudowny!

- Dziękuję panu. Prawdę mówiąc, musiałem pracować na ślepo. Dzięki Bogu, ma pan własne prywatne rakiety, w przeciwnym razie nigdy nie zezwolono by nam na sprowadzenie większości sprzętu. Zauważył pan, że w tej krainie stale panuje zmierzch? Tu zawsze jest październik, jałowy, sterylny, martwy. Wymagało to sporo wysiłku. Zabiliśmy wszystko. Dziesięć tysięcy ton DDT. Nie został ani jeden wąż, żaba, nawet marsjańska mucha. A co do wiecznego zmierzchu, panie Stendahl, to jestem z niego wyjątkowo dumny. Zainstalowaliśmy tu ukryte maszyny, które przesłaniają słońce tak, by wywołać stosownie posępny nastrój.

Stendahl chłonał roztaczający się przed nim widok, smutek, grozę, cuchnące opary, całą tę atmosferę, jakże starannie wymyśloną i wykreowaną. A Dom! Zmurszała fasada, złowroga topiel, liszaje, aura rozkładu! Nieważne, że wszystko zrobiono z plastiku! Któż mógłby to stwierdzić?

Uniósł wzrok ku jesiennemu niebu. Gdzieś daleko, w górze, świeciło słońce, na planecie Mars rozkwitał kwiecień, złocisty miesiąc pod błękitnym niebem; gdzieś w górze rakiety lądowały w ogniu, aby ucywilizować tę cudownie martwą planetę. Huk ich przelotów ginał jednak, pochłonięty przez ten mroczny, dźwiękoszczelny świat, świat starodawnej jesieni.

- Teraz, kiedy moja praca dobiegła końca - powiedział pan Bigelow niespokojnie - chciałbym spytać, co zamierza pan zrobić z tym wszystkim?

- Z Usherem? Nie domyślił się pan?

-Nie.

- Czy nazwisko Usher nic panu nie mówi?

-Nic.

- A Edgar Allan Poe?

Pan Bigelow potrząsnął głową.

- Oczywiście! - Stendahl prychnął lekko, z pogardą i smutkiem. - Jak mogłem oczekiwać, że będzie pan znał genialnego pana Poe? Zmarł on bardzo dawno temu, jeszcze przed Lincolnem. Wszystkie jego książki spłonęły w Wielkim Ogniu. To było trzydzieści lat temu, w 1975 roku.

- Ach - westchnął pan Bigelow ze zrozumieniem. - Jeden z tych!

- Owszem, jeden z tych, Bigelow. On i Lovecraft, Hawthorne i Ambrose Bierce, niezliczone opowieści pełne fantazji, koszmaru i grozy, a przy okazji historie o przyszłości - wszystko zostało spalone. Bezlitośnie. Uchwalono stosowne prawo. Och, wszystko zaczęło się od drobiazgów. Lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte były jak ziarnko, powodujące lawinę. Na początku kontroli poddano komiksy, potem powieści detektywistyczne i oczywiście filmy, pod takim czy innym kątem; do akcji włączały się kolejne grupki, kierujące się względami patriotycznymi, uprzedzeniami religijnymi, naciskiem związków... Zawsze znalazła się mniejszość, która bała się tego i owego, i ogromna

większość, czująca strach przed ciemnością, przyszością, własną historią, dniem dzisiejszym; ludzie bali się samych siebie i swoich własnych cieni.

- Rozumiem.

- Nawet słowo „polityka” budziło w nich lęk (w końcu, w bardziej reakcyjnych kręgach, stało się ono synonimem słowa „komunizm” i samo jego wypowiedzenie - tak przynajmniej słyszałem - mogło kogoś kosztować życie!) i tak stopniowo przykręcano śrubę, wbijano kolejne gwoździe, popychano w odpowiednim kierunku, aż wreszcie sztuka i literatura, rozciągane, splatane w warkocze, wyginane w węzły, szarpane na wszystkie strony, niczym wielka bryła gliny, przestały stawiać opór i straciły swój smak. Wówczas wyłączyły się kamery filmowe, światła w teatrach pogasły, spływająca z drukarni ogromna Niagara lektur zamieniła się w wąziutki niewinny strumień „czystych opowieści”. Powiadam panu, prawdziwie radykalna była to ucieczka.

- Naprawdę?

- O tak! Powiadali, że każdy musi stawić czoło rzeczywistości, temu, co dzieje się Tu i Teraz! Wszystko inne musi odejść. Piękne literackie kłamstwa i wybryki fantazji straciły rację bytu, toteż pewnego sobotniego ranka trzydzieści lat temu, w 1975 roku, ustawiono ich wszystkich pod ścianą biblioteki - świętego Mikołaja i Jeźdźca bez Głowy, Królową Śnieżkę, Rumpelstiltskina i Matkę Gąskę - och, jakież podniósł się płacz! - i rozstrzelali ich, spalili zamki z papieru, księżniczki zaklęte w żaby i starych władców oraz ludzi, którzy żyli długo i szczęśliwie (bowiem, rzecz jasna, wszyscy wiedzieli, że nikt nie żyje długo i szczęśliwie!). „Dawno, dawno temu” przemieniło się w „nigdy więcej”. A potem na ruinach Szmaragdowego Grodu rozsypali popioły Upiornego Rykszarza; strzaskali na kawałki kości dobrej czarownicy Gladioli i Ozmy; Kolor z Przeszłości wepchnęli do spektroskopu, a Kubusia Dyniogłowego podali z bezami na balu biologów! Łodyga fasoli uschła, przysypana papierami, Śpiąca Królowa ocknęła się ze snu, przebudzona pocałunkiem naukowca tylko po to, by zemrzeć od śmiertelnej rany, zadanej przez jego strzykawkę. Zmusili też Alicję, by wypiała napój, po którym zmniejszyła się tak, że nie mogła już wykrzyknąć: „zdziwniej i zdziwniej”; jednym uderzeniem młota rozbili lustro, Czerwonego Króla i ostrygi.

Zacisnął pięści. Boże, jak szybko zaszła w nim przemiana! Jego twarz poczerwieniała, z trudem chwycił powietrze

Pan Bigelow był wyraźnie zaskoczony tym długo tłumionym wybuchem. Kilka razy mrugnął oczami, wreszcie rzekł:

- Przepraszam, ale nie mam pojęcia, o czym pan mówi. To dla mnie puste słowa. Z tego, co słyszałem, palenie przyniosło wiele dobrego.

- Wynoś się stąd! - krzyknął Stendahl. - Zrobiłeś już swoje, a teraz zostaw mnie, idioto!

Pan Bigelow wezwał swoich cieśli i odjechał. Stendahl został sam przed swoim domem.

- Słuchajcie - rzekł, zwracając się do niewidocznych rakiet. - Przybyłem na Marsa, aby uciec przed wami, ludzie o czystych umysłach! Ale was przybywa z każdym dniem, niczym much przy

padlinie, toteż pokażę wam coś nowego. Zamierzam dać wam nauczkę za to, co zrobiliście na Ziemi z panem Poe. Strzeżcie się zatem, ponieważ dziś Dom Usherów otwiera swoje podwoje!

Uniósł rękę i pogroził niebu.

* * *

Rakieta osiadła na ziemi. Wyskoczył z niej jowialny mężczyzna, raz jeden zerknął na dom i jego szare oczy pociemniały z niesmakiem. Szybkim krokiem przeszedł przez fosę, stając naprzeciw drobnego mężczyzny.

- Pan się nazywa Stendahl?

-Tak.

-Jestem Garrett, kontroler Klimatów Moralnych.

- A zatem ludzie z Klimatów Moralnych dotarli w końcu na Marsa? Zastanawiałem się, kiedy się zjawicie.

- Przybyliśmy w zeszłym tygodniu. Wkrótce zaprowadzimy tu porządek. Będzie tak jak na Ziemi. - Mężczyzna machnął gniewnie legitymacją w stronę domu. - Czy zechce mi pan coś powiedzieć o tym miejscu, Stendahl?

- To moje nawiedzone zamczysko. Podoba się panu?

-Nie, Stendahl, absolutnie nie. Nie odpowiada mi nawet-sam dźwięk słowa „nawiedzony”.

- To bardzo proste. W roku pańskim 2005 wzniosłem sobie mechaniczne sanktuarium. W jego murach fruwały miedziane nietoperze, sterowane elektronicznymi promieniami; mosiężne szczury przemykają w piwnicach z plastiku, automatyczne szkielety tańczą taniec śmierci; mechaniczne wampiry, roboty pajace, wilki i zjawy, połączenie chemii i pomysłowości - wszystkie mieszkają tutaj.

- Tak właśnie przypuszczałem. - Garrett uśmiechnął się lekko. - Obawiam się, że będziemy musieli zburzyć pański dom.

- Wiedziałem, że gdy tylko odkryjecie, co się dzieje, natychmiast zjawicie się tutaj.

- Przybyłbym nawet wcześniej, ale najpierw, zanim wkroczymy, chcieliśmy się upewnić co do pańskich zamiarów. Do kolacji zjawią się tu ekipy burzycieli i podpalaczy. O północy to miejsce zostanie zrównane z ziemią. Panie Stendahl, osobiście uważam pana za głupca. Jak można wydawać na takie szaleństwo ciężko zarobione pieniądze? Coś takiego musiało pana kosztować trzy miliony dolarów...

- Cztery miliony. Ale ponieważ jako młody człowiek odziedziczyłem dwadzieścia pięć milionów, stać mnie na to, aby nimi szastać. Okropna szkoda jednak, że ledwie godzinę temu

zakończyliśmy budowę, a już zjawia się tu pan ze swoimi burzycielami. Czy nie mógłby pan pozwolić mi nacieszyć się moją zabawką przez, powiedzmy, dwadzieścia cztery godziny?

- Zna pan prawo. Przestrzegamy go bardzo skrupulatnie. Nieważne, czy w grę wchodzi książki, czy domy. Nie wolno tworzyć niczego, co w jakikolwiek sposób sugerowałoby obecność duchów, wampirów, wróżek czy innych wytworów fantazji.

- Niedługo spalicie i Babbitta!

- Mieliśmy z panem wiele kłopotów, panie Stendahl. Wszystko jest w naszych aktach. Dwadzieścia lat temu, na Ziemi. Pan i pańska biblioteka.

- Owszem, ja i moja biblioteka. I paru innych mnie podobnych. Poe już dawno został zapomniany, a także Oz i inne fantastyczne istoty. Ja jednak miałem swą małą kolekcję. Nasza grupa obywateli przechowywała swoje biblioteki, póki nie przysłaliście do nas ludzi z pochodniami, którzy podarli moich pięćdziesiąt tysięcy książek i spalili je wszystkie, tak jak wcześniej przebiliście kołkiem serce święta duchów i uprzedziliście producentów filmowych, że jeśli już muszą coś kręcić, niech to będą kolejne wersje dzieł Ernesta Hemingwaya. Mój Boże, ile razy oglądałem „Komu bije dzwon”? Trzydzieści różnych adaptacji. Wszystkie bardzo realistyczne. Och, niech piekło pochłonie wasz realizm!

- Gorycz nie popłaca.

- Panie Garrett, musi pan złożyć pełne sprawozdanie, prawda?

- Owszem.

- Zatem proszę wejść i rozejrzeć się. Choćby po to, by zaspokoić ciekawość. To potrwa tylko chwilę.

- W porządku, niech pan prowadzi. Tylko bez żadnych sztuczek. Jestem uzbrojony.

Wrota Domu Usherów rozwarły się szeroko. Twarze wchodzących owionął ciepły, wilgotny powiew. Rozległ się ogłuszający chór jęków i westchnień, zupełnie jakby podziemne miechy, zamknięte w głębokich katakumbach, powróciły nagle do życia.

Po kamiennej posadzce przemknął szczur. Garrett kopnął go z głośnym okrzykiem. Szczur przewrócił się i z jego nylonowej sierści wypadł niewiarygodny rój metalowych pcheł.

- Zdumiewające! - Garrett nachylił się, patrząc uważnie.

W ciemnej niszy przycupnęła stara wiedźma, jej woskowe dłonie kołysały się nad pomarańczowo-niebieskimi kartami do tarota. Nagle gwałtownie szarpnęła głową i ściągając bezzębne usta, syknęła na Garretta, stukając palcami w wytłuszczone arkana.

- Śmierć! - krzyknęła.

- Właśnie o to mi chodziło - oznajmił Garrett. - Godne pożałowania.

- Pozwolę panu spalić ją osobiście.

- Naprawdę? - ucieszył się Garrett. Po chwili jednak zmarszczył czoło. - Muszę przyznać, że dziwnie lekko pan to przyjmuje.

- Wystarczy mi świadomość, że mogłem stworzyć takie miejsce i będę mógł o tym opowiadać. Odetchnąłem średniowieczną atmosferą w nowoczesnym świecie niedowiarków.

- Niechętnie przyznaję, że pański geniusz budzi we mnie podziw. - Garrett odprowadził wzrokiem przepływający obok obłok szepczącej mgły w kształcie pięknej, zmysłowej kobiety. W głębi wilgotnego korytarza szumiała maszyna. Z jej wylotu wypływała mgła, niczym wata cukrowa z wirówki, i mrucząc wędrowała po milczącym domu.

Nagle znikąd pojawiła się małpa.

- Chwileczkę! - wykrzyknął Garrett.

- Proszę się nie bać! - Stendahl poklepał czarną pierś zwierzęcia. - To robot. Widzi pan? - Pogłodził sierść, spod której błysnął metal.

- Owszem. - Garrett wyciągnął nieśmiało rękę, aby pogłodzić zwierzątko. - Ale dlaczego, panie Stendahl? Po co to wszystko? Co panem kierowało?

- Niechęć do biurokracji, panie Garrett. Nie mam jednak czasu na wyjaśnienia. - Skinął głową w stronę małpy. - W porządku. Teraz.

Małpa zabiła pana Garretta.

* * *

- Jesteśmy już gotowi, Pikes? Pikes uniósł wzrok znad stołu.

- Tak, proszę pana.

- Wykonałeś wspaniały kawał roboty.

- Za to mi pan płaci, panie Stendahl - odparł miękko Pikes, unosząc plastikową powiekę robota i wsuwając pod nią szklaną gałkę oczną, która osiadła wygodnie w gumowych fałdach mięśni. - Proszę.

- Istny brat bliźniak pana Garretta.

- Co z nim zrobimy? - Pikes wskazał blat, na którym spoczywał prawdziwy pan Garrett, martwy.

- Lepiej go spal, Pikes. Nie chcielibyśmy przecież, aby ktoś zobaczył dwóch panów Garrettów.

Pikes przeniósł zwłoki do ceglanego pieca.

- Zegnaj! - Wepchnął pana Garretta do środka i zatrzasnął drzwiczki.

Tymczasem Stendahl stanął przed Garrettem-robotem.

- Znasz swoje rozkazy?

- Tak, proszę pana. - Robot usiadł. - Mam wrócić do biura Klimatów Moralnych. Tam sporządzę raport uzupełniający. Opóźnię działanie o co najmniej czterdzieści osiem godzin. Powiem, że muszę przeprowadzić dokładniejsze śledztwo.

- Zgadza się, Garrett. Do widzenia.

Robot pospieszył do rakiety Garretta, wsiadł do środka i odleciał.

Stendahl odwrócił się.

- A teraz, Pikes, roześlijmy resztę zaproszeń na dzisiejszy wieczór. Myślę, że czeka nas świetna zabawa, a ty?

- Szczególnie, że czekaliśmy na nią dwadzieścia lat. Mrugnęli do siebie porozumiewawczo.

* * *

Siódma. Stendahl raz jeszcze spojrzął na zegarek. Już prawie pora. Obrócił w palcach kieliszek sherry, czekając w milczeniu. Zwisające z dębowych belek stropu nietoperze, delikatne miedziane ciała, skryte pod warstwą gumowej skóry, mrugały do niego, popiskując. Pozdrowił je, unosząc kieliszek.

- Za nasze powodzenie.

Następnie odchylił się w fotelu, przymykając oczy. Och, jak będzie się tym napawał na starość, tą zapłatą rządowi za jego terror literacki i płonące stosy. Jakże jego gniew i nienawiść narastały przez te wszystkie lata. Jego plan z wolna nabierał kształtów w otępiałym umyśle, aż do owego dnia, trzy lata wcześniej, kiedy spotkał Pikesa.

Ach tak, Pikesa. Pikesa, który chował w sercu zapięklą gorycz, głęboką i mroczną niczym czarna studnia, pełna żrącego, zielonego kwasu. Kim był Pikes? Jedyne największym z nich wszystkich! Pikes, człowiek o dziesięciu tysiącach twarzy, upiór, dym, błękitna mgiełka, biały deszcz, nietoperz, gargulec, potwór. Oto Pikes! Lepszy niż Lon Chaney ojciec? - zastanawiał się Stendahl. Ileż to razy nocami oglądał stare filmy z Chaneyem. Tak, lepszy niż Chaney. Lepszy niż ten drugi, sławny potwór, starożytna mumia? Jak on się nazywał? Karloff? Znacznie lepszy! Lugosi? Nie ma porównania! Nie, istniał tylko jeden Pikes, obecnie nieszczęsny człowiek pozbawiony swych

fantazji, swego miejsca na Ziemi. Nikomu już nie mógł się pokazywać. Zabroniono mu nawet grać dla samego siebie, przed lustrem!

Biedny, niezwykły, pokonany Pikesie! Co musiałeś czuć owej nocy, gdy zabrali twoje filmy, niczym wnętrzności wyrwane z kamery, twoje własne serce, i wepchnęli całe zwoje taśmy do pieca. Czy może się to równać z wściekłością człowieka, któremu zniszczono pięćdziesiąt tysięcy książek bez żadnego zadośćuczynienia? Tak. Tak. Dłonie Stendahla zlodowaciały w bezsensownym gniewie. Cóż zatem bardziej naturalnego niż to, że spędzili razem niezliczone noce, dyskutując nad nieskończoną liczbą dzbanków z kawą, i że to właśnie z owych rozmów, z tej gorzkości, zrodził się Dom Usherów.

Zadźwięczał wielki kościelny dzwon. To przybywali goście.

Wstał z uśmiechem, aby ich powitać.

* * *

Roboty, dorosłe, choć pozbawione pamięci, czekały. Odziane w zielone jedwabie koloru leśnych stawów, młodych żab i paproci czekały cierpliwie. Złotowłose, o puklach barwy słońca i piasku, leżały bez ruchu - naoliwione szkielety z brązu, zatopione w żelatynie. Tkwiły w trumnach, przeznaczonych dla nieżywych i nie-umarłych, zamknięte w skrzynkach z tarcicy; metronomy ich serc wyglądały chwili, gdy zostaną wprowadzone w ruch. W powietrzu unosiła się woń smarów i rozgrzanego mosiądzu. Na cmentarzysku panowała cisza. Obdarzone płcią, a przecież bezpłciowe, nazwane, lecz anonimowe, nie różniące się od ludzi niczym prócz braku człowieczeństwa, spoglądały na zabite gwoździemi wieka swych skrzyń, z naklejkami głoszącymi „wolne od opłat”, pogrążone w śmierci, którą nawet śmiercią trudno nazwać, bowiem nigdy nie żyły. Nagle rozległ się ogłuszający jęk wyszarpywanych gwoździ. Wieka uniosły się. Na skrzynie padł cień. Czyjaś ręka wycisnęła smar z oliwiarki. Pierwszy zegar, nakręcony, zaczął cichutko tykać. Po chwili dołączył do niego drugi i jeszcze jeden, i jeszcze, póki w całym pomieszczeniu nie rozległ się pomruk mechanizmów. Gumowe powieki uniosły się, odsłaniając szklane oczy. Nozdrza zadrżały. Roboty, odziane w małą sierść i białe królicze skórki, powstały: Tweedledum podążył za Tweedledee, Żółwiciel za Susłem; topielcy z głębin mórz, pokryci solą i wodorostami, zakołysali się niepewnie, wokół nich stanęli wisielcy o sinych gardłach i wywróconych ślimaczych oczach; stwory z lodu i rozgrzanej blachy, powolne skrzaty i bystre elfy, Tik-tak, Ruggedo, święty Mikołaj, poprzedzany własnoręcznie stworzoną śnieżycą, Sinobrody o zaroście niczym płomień palnika, siarkowe chmury, z których wystawały zielone ogniste pyski, a za nimi pokryte łuskami olbrzymie węzowe ciało smoka, w którego brzuchu płonął ogień. Wszystkie roboty toczyły się naprzód z krzykiem, tykaniem, świstem, w ciszy pośród wiatru. Dziesięć tysięcy wiek runęło na ziemię i niezliczone zegary ruszyły w głąb Domu Usherów. Nadeszła magiczna noc.

* * *

Okolicę owiała fala gorąca. Rakiety gości, płonące na niebie i zmieniające jesień w wiosnę, przybyły na miejsce.

Wysiedli z nich mężczyźni w wieczorowych strojach, a za nimi kobiety o włosach upiętych w

eleganckie koki.

- A zatem to jest Usher!

- Ale gdzie są drzwi?

W tym momencie pojawił się Stendahl. Kobiety zaśmiały się i zaszcebiotały. Pan Stendahl uciszył je krótkim gestem. Odwróciwszy się, uniósł wzrok ku wysokiemu oknu i wykrzyknął:

- Rapunzel, Rapunzel, spuść swoje warkocze!

W górze zaś piękne dziewczę wychyliło się z okna, spuszczać złote włosy kołysane wieczornym wiatrem. Jej pukle wiły się coraz niżej, rosnąc i rosnąc, aż wreszcie stały się drabiną, po której roześmiani goście wspięli się do wnętrza domu.

Co za szanowani socjolodzy! Cóż za sprytni psychologowie! I ja-cyż niezwykle ważni politycy, bakteriologowie i neurologowie! Wszyscy co do jednego stali teraz w wilgotnych murach domu.

- Witajcie.

Pan Tryon, pan Owen, pan Dunne, pan Lang, pan Steffens, pan Fletcher i dwa tuziny innych.

- Proszę, proszę!

Panna Gibbs, panna Pope, panna Churchil, panna Blunt, panna Drummond i jeszcze paręnaście kobiet, wystrojonych, eleganckich.

Jeden w drugiego ludzie cieszący się ogólnym szacunkiem, członkowie Towarzystwa Zwalczenia Fantazji, zwolennicy zakazu obchodów święta duchów i dnia Guya Hawkesa, wrogowie nietoperzy, podpalacze książek, dzierżący w dłoniach pochodnie; porządni, uczciwi obywatele, którzy odczekali, aż nieokrzesani pielgrzymi przybędą tu, pochowają Marsjan, sprzątną miasta, wybudują nowe domy, naprawią drogi i ujarzmią tę krainę, a potem, kiedy już wszystko toczyło się, jak należy, przybyli na Marsa -porządnicy, psujący każdą zabawę, ludzie o oczach barwy jodyny, w których żyłach płynęła rtęć. Zjawili się, aby ustanowić kontrolę Klimatów Moralnych i wydzielać wszystkim głodowe porcje dobra. I pomyśleć, że byli jego przyjaciółmi! O tak, włożył wiele wysiłku, by ich poznać i zaprzyjaźnić się z nimi w zeszłym roku na Ziemi!

- Witajcie w przestronnych salach śmierci! - krzyknął.

- Cześć, Stendahl, o co tu chodzi?

- Sami zobaczycie. A teraz przebierzcie się szybko. Tam są kabiny, znajdziecie w nich odpowiednie kostiumy. Panowie po tej stronie, panie po tamtej.

Goście poruszyli się niespokojnie.

- Nie wiem, czy powinniśmy tu zostać - stwierdziła panna Po-pe. - Nie podoba mi się tutaj.

To niemal jak bluźnierstwo.

- Bzdura, to tylko bal kostiumowy.

- Wygląda mi na imprezę nielegalną. - Pan Stevens zaczął węszyć wokoło.

- Dajcie spokój - roześmiał się Stendahl. - Bawcie się, jutro to wszystko legnie w gruzach.

Do kabin!

Dom tętnił życiem i kolorami; błażni podzwaniiali brzękadła-mi na czapkach, białe myszki tańczyły miniaturowe kadryle w takt melodii odgrywanych przez karły, przesuważące maleńkimi smyczkami po malusieńkich skrzypkach. U zwęglonych belek powała powiewały proporce, a chmary nietoperzy krążyły wokół żygaczy, z których tryskało wino, chłodne, mocne, spienione. Przez siedem komnat balu maskowego przelewał się strumień. Goście, przekraczając go, odkryli, że to sherry. Przybysze wysypywali się z kabin, przekształceni w postaci z mroków dziejów, o twarzach skrytych za dominami. Sam fakt przywdziania masek odebrał im prawo do zgłaszania sprzeciwów wobec grozy i fantazji. Kobiety ze śmiechem przepływały wokół, odziane w czerwone suknie; wokół nich krążyli mężczyźni, zaś po ścianach przesuwały się cienie pozbawione właścicieli. Rozwieszona gdzieś lustra nie odbijały niczego.

- Wszyscy jesteśmy wampirami! - zaśmiał się pan Fletcher. - Już nie żyjemy!

Bal odbywał się w siedmiu komnatach, każdej innego koloru; jednej błękitnej, drugiej purpurowej, trzeciej zielonej, czwartej pomarańczowej, piątej białej, szóstej fioletowej, siódmej obitej czarnym aksamitem. W czarnej sali stał hebanowy zegar, który głośno wybijał kolejne godziny. Zaś wszędzie kręcili się goście, dobrze już podpici, a wśród nich mechaniczne stwory, Susły, Szaleni Kapelusznicy, trolle, olbrzymy, Czarne Koty i Białe Królowe. Tańczące stopy muskały posadzkę, spod której dobywało się ogłuszające bicie ukrytego oskarżycielskiego serca.

- Panie Stendahl! Szept.

- Panie Stendahl!

U jego boku pojawił się potwór o twarzy śmierci. To był Pikes.

- Muszę pomówić z panem na osobności.

- Co się stało?

- Proszę. - Pikes wyciągnął kościstą dłoń. Spoczywała na niej garstka na wpół stopionych, na wpół zwęglonych kółek, śrub i nakrętek. Stendahl przyglądał im się przez długą chwilę. Wreszcie wyciągnął Pikesa na korytarz.

- Garrett? - wyszeptał. Pikes przytaknął.

- Przysłał nam robota. Znalazłem to, kiedy przed chwilą czyściłem palenisko.

Przez jakiś czas obaj wpatrywali się w zębate kółka.

- To oznacza, że lada moment zjawi się tu policja - oznajmił Pikes. - Nasze plany wezmą w łeb.

- Sam nie wiem. - Stendahl obejrzał się na wirujących po salach ludzi w żółtych, błękitnych i czerwonych strojach. W zamglonych komnatach rozbrzmiewała muzyka. - Powiniennem się domyślić, że Garrett nie byłby takim głupcem, aby osobiście złożyć mi wizytę. Ale chwileczkę!

- Co się stało?

- Nic. Nic się nie stało. Garrett przysłał nam jednego robota, a my odesłaliśmy drugiego. Jeśli nie sprawdzi dokładnie, nie zauważy różnicy.

- Oczywiście!

- Następnym razem zjawi się tu we własnej osobie. Teraz sądzi, że będzie bezpieczny. Lada chwila powinien się pokazać! Więcej wina, Pikes!

Wielki dzwon zabrzmiał donośnie.

- Założę się, że to on. Idź, wpuść pana Garretta. Rapunzel spuściła swe złote włosy.

- Pan Stendahl?

- Pan Garrett? Prawdziwy pan Garrett?

-Jako żywo. - Garrett powiódł wzrokiem po zagrzybionych ścianach i wirujących w tańcu gościach. - Uznałem, że lepiej przyjadę tu osobiście. Nie można polegać na robotach. Zwłaszcza na cudzych robotach. Poczyniłem też pewne kroki. Burzyciele zjawią się tu za godzinę, aby zrównać to straszne miejsce z ziemią.

Stendahl uklonił się.

- Dziękuję, że mnie pan uprzedził. - Machnął ręką. - A tymczasem może przyłączy się pan do zabawy? Wina?

- Nie, dziękuję. Co tu się dzieje? Jak nisko może upaść człowiek?

- Proszę przekonać się samemu, panie Garrett.

- Morderstwo - rzucił Garrett.

- Morderstwo wręcz przeokropne - zgodził się Stendahl. Usłyszeli krzyk kobiety. Panna Pope podbiegła do nich, jej twarz pobladła niczym ser.

- Właśnie zdarzyło się coś okropnego. Widziałam, jak małpa udusiła pannę Blunt i wepchnęła

ją do komina.

Obejrzawszy się, ujrzeni długie jasne włosy, wystające z przewodu kominowego. Garrett krzyknął głośno.

- Potworność! - szlochała panna Pope. Nagle jej płacz urwał się gwałtownie. Mrugając ze zdumienia oczami odwróciła się. -Panna Blunt!

- Owszem - odparła panna Blunt, stając obok niej.

- Ale widziałam, jak ten stwór wpychał panią do komina!

- Nie - roześmiała się panna Blunt. - To był robot. Bardzo zręczna kopia.

-Ale, ale...

- Nie płacz, moja droga. Nic mi nie jest. Daj mi spojrzeć. Rzeczywiście, to ja. W górze, w kominie. Zupełnie tak jak mówiłaś. Czyż to nie zabawne?

Panna Blunt odeszła ze śmiechem.

- Napije się pan, panie Garrett?

- Chyba tak. To mnie poruszyło. Mój Boże, co za miejsce. Naprawdę powinno zostać zniszczone. Przez chwilę sądziłem...

Garrett pociągnął długi łyk.

Kolejny krzyk. Cztery białe króliki dźwignęły pana Steffensa i poniosły go schodami, które w cudowny sposób pojawiły się na środku sali. Wkrótce pan Steffens znalazł się w studni, gdzie starannie skrupowany, został rzucony na pastwę wielkiego, ostrego jak brzytwa wahadła, które opuszczało się z każdym ruchem coraz bliżej i bliżej umęczonego ciała.

- Czy to ja? - spytał pan Steffens, stając u boku Garretta. Nachylił się nad studnią. -Jakież to osobliwe oglądać własną śmierć. Wahadło świsnęło po raz ostatni.

- Cóż za realizm! - pan Steffens odwrócił się.

-Jeszcze kieliszek, panie Garrett?

- Poproszę.

- To nie potrwa długo. Wkrótce zjawią się burzyciele.

- Dzięki Bogu. Rozległ się trzeci krzyk.

- Co teraz? - spytał Garrett niespokojnie.

- Moja kolej - oświadczyła panna Drummond. - Spójrzcie.

Roboty chwyciły jej wrzeszczącego sobowtóra, wepchnęły go do trumny, zabiły gwoździami wieko i zagrzebały w ziemi pod podłogą.

- Chwileczkę, pamiętam to - westchnął kontroler Klimatów Moralnych. - Ze starych zakazanych książek. Przedwczesny pogrzeb. I pozostałe. Studnia, wahadło, małpa i komin. Zabójstwo przy rue Morgue. Wszystko było w książce, którą spaliłem.

- Napij się jeszcze, Garrett. Proszę, przytrzymaj kieliszek.

- Mój Boże, naprawdę ma pan wyobraźnię.

Patrzyli, jak ginie kolejna piątka gości, jeden pożarty przez smoka, pozostali wrzuceni do czarnego stawu. Mroczna toń pochłonięła ich bez śladu.

- Chciałby pan obejrzeć, co zaplanowaliśmy dla pana? - spytał Stendahl.

- Bardzo chętnie - odparł Garrett. - Co za różnica. I tak rozwalimy to koszarne miejsce. Okropny z pana człowiek.

- Chodźmy zatem. Tędy.

I poprowadził Garretta na dół, poprzez liczne korytarze, stromymi schodami w głąb ziemi, do katakumb.

- Co chce mi pan tu pokazać? - spytał Garrett.

- Pańską śmierć.

- Kopię?

- Tak. I coś jeszcze.

- Co takiego?

- Amontillado - odrzekł Stendahl, krocząc naprzód z lampą w dłoni. Z nie domkniętych trumien wychylały się kościotrupy. Garrett zatkał palcami nos, krzywiąc się z niesmakiem.

- Co proszę?

- Nie słyszał pan nigdy o Amontillado?

-Nie.

- Nie poznaje pan tego? - spytał Stendahl, wskazując celę.

- A powiniennem?

- Albo tego? - Stendahl, uśmiechając się, wyjął spod peleryny kielnię.

- Co to takiego?

- Proszę za mną.

Razem weszli do celi. Stendahl skrępował łańcuchem podpitego mężczyznę.

- Na Boga, co pan robi? - wykrzyknął Garrett, pobrzękując kajdanami.

- Lubię ironię. Proszę mi nie przerywać. To niegrzeczne. O tak!

- Zakuł mnie pan w łańcuchy!

- Istotnie.

- I co teraz?

- Zostawię tu pana.

- To jakiś żart!

- I to bardzo dobry.

- Gdzie mój sobowtór? Nie obejrzymy jego śmierci?

- Nie ma żadnego sobowtóra.

- Ale tamci!

- Tamci nie żyją. Ci, których śmierć pan oglądał, to byli prawdziwi ludzie. Ich sobowtóry, roboty, stały obok i patrzyły. Garrett milczał.

- Teraz powinien pan zawołać: „Na miłość boską, Montresorze!” - pouczył go Stendahl. - A ja odpowiem: „A tak, na miłość boską”. No dalej! Proszę to powiedzieć.

- Ty głupcze!

- Muszę pana błagać? Niech pan to powie. Proszę rzec: „Na miłość boską, Montreserze!”

- Nie zrobię tego, idioto. Wypuść mnie stąd. - Garrett natychmiast wytrzeźwiał.

- Chwileczkę. Proszę to założyć. - Stendahl cisnął mu coś, co brzęczało i dzwoniło.

- Co to jest?

- Czapka z dzwoneczkami. Jeśli pan ją włoży, może zgodzę się pana wypuścić.

- Stendahl!

- Zakładaj ją, powiedziałem!

Garrett posłuchał. Dzwoneczki zabrzęczały.

- Nie ma pan wrażenia, że wszystko to już się kiedyś wydarzyło? - spytał Stendahl, biorąc się do pracy. Nabrał kielnią zaprawy i umieścił pierwszą cegłę.

- Co pan robi?

- Zamuruję pana. Oto pierwsza warstwa. Teraz druga.

- Pan oszalał!

- Nie będę zaprzeczał.

- Zostanie pan ukarany!

Stendahl opukał cegłę i nucąc pod nosem, umieścił ją na mokrej zaprawie.

Z mrocznej wnęki dobiegły go odgłosy szamotaniny, którym towarzyszyły krzyki. Cegły wznosiły się coraz wyżej.

- Powalcz jeszcze trochę - zachęcał go Stendahl. - Niech wszystko będzie, jak należy.

- Wypuść mnie, wypuść mnie stąd!

Pozostała jeszcze tylko jedna cegła. Krzyki nie ustawały.

- Garrett? - zawołał cicho Stendahl. Garrett umilkł. - Gar-rett, wiesz, dlaczego to zrobiłem? Ponieważ spaliłeś książki pana Poego, w ogóle ich nie czytając. Zadowoliliś się opinią innych, że zasługują na stos. W przeciwnym razie wiedziałbyś, co planuję, kiedy tylko zesłiśmy tutaj. Ignorancja bywa niebezpieczna, panie Garrett.

Garrett milczał.

- Chcę, żeby wszystko odbyło się, jak należy. - Stendahl uniósł lampę tak, że przenikające przez otwór światło padło na skuloną w mroku postać. - Niechaj zadźwięczą brzękadła. -Dzwoneczki poruszyły się lekko. - A teraz, jeśli zechce pan rzec: „Na miłość boską, Montresorze!", to może pana uwolnię.

Twarz mężczyzny uniosła się ku światłu. W jego oczach odbiło się wahanie. Po chwili więzień rzekł groteskowo:

- Na miłość boską, Montresorze!

- Ach! - westchnął Stendahl przymykając oczy. Wsunął na miejsce ostatnią cegłę i zamurował ją spokojnie. - Requiescat in pace, drogi druhu.

Po chwili wyszedł z katakumb.

* * *

Na dźwięk zegara, który wybił północ, ruch w siedmiu komnatach zamarł.

Pojawiła się Śmierć Szkarłatna.

Stendahl na moment przystanął w drzwiach, obserwując całą scenę, po czym wypadł z wielkiego domu i pobiegł na drugą stronę fosy, do miejsca, w którym czekał helikopter.

- Gotów, Pikes?

- Gotów.

- Teraz!

Z uśmiechem spojrzeli na wielki dom, który zaczął zapadać się pośrodku, jakby ziemia pod nim zatrzęsała się nagle. Stendahl, obserwując wspaniałą scenę, usłyszał Píkesa recytującego cicho:

- „Dostałem zawrotu głowy, gdym ujrzał, jak potężne mury rozpadły się na dwoje. Zahuczało coś przeciągle, zabrzmiało głucho jak odgłos tysiąca wodospadów - i głęboki spleśniały staw, u stóp mych tkwiący, posępny w milczeniu zawarł swe fale nad szczątkami Domu Usherów”.

Helikopter uniósł się nad kipiącą topielą i odleciał na zachód.

Sierpień 2005: Starcy

Cóż bardziej naturalnego, że wreszcie i na Marsie pojawili się też starzy ludzie, podążający szlakiem wyznaczonym przez szorstkich pionierów, wypachnionych elegantów, zawodowych podróżników i romantyków, poszukujących nowych wrażeń.

I tak wyschnięci, skrzypiący ludzie, którzy cały swój czas spędzali zasłuchani w rytm własnych serc, macając swój puls i wlewając do ust łyżki leków, ludzie, którzy kiedyś zdążyli w listopadzie pociągami do Kalifornii, a w kwietniu wyprawiali się do Włoch trzecią klasą parowców, pomarszczeni jak śliwki i zaszuszeni jak mumie, w końcu także dotarli na Marsa...

Wrzesień 2005: Marsjanin

Błękitne góry celowały w zapłakane niebo, krople deszczu padały do długich kanałów. Stary LaFarge i jego żona wyszli z domu, aby zobaczyć, co się dzieje.

- Pierwszy deszcz tego roku - zauważył LaFarge.
- To dobrze - odparła żona
- Najwyższy czas.

Zamknęli drzwi. Bezpieczni w środku, ogrzali dłonie nad ogniem. Oboje drżeli z zimna. Spoglądając przez okno, ujrzeli połyskującą od deszczu rakietę, która przywiozła ich z Ziemi.

- Brak mi tylko jednego - stwierdził LaFarge, spuszczać wzrok.
- Czego? - spytała żona.
- Żałuję, że nie mogliśmy przywieźć ze sobą Toma.
- Przestań, Lafe!
- Przepraszam. Nie będę znów zaczynał.

- Przyjechaliśmy tu, aby w spokoju dożyć swoich dni, nie myśląc o Tomie. Nie żyje od tak dawna, że powinniśmy o nim zapomnieć, zapomnieć o wszystkim na Ziemi.

- Masz rację - odparł i ponownie wystawił ręce do ognia. Niewidzącym wzrokiem zapatrzył się w płomienie. - Nie będę już poruszał tego tematu. Tyle, że brakuje mi coniedzielnych wypraw na cmentarz Green Lawn, aby złożyć kwiaty na jego grobie. To były nasze jedyne wycieczki.

Błękitny deszcz zabębnił miękko o dach ich domu. O dziewiątej położyli się do łóżka i leżeli w ciszy, trzymając się za ręce. On miał pięćdziesiąt pięć lat, ona sześćdziesiąt. Otaczała ich deszczowa ciemność.

- Anno? - powiedział cicho.
- Tak? - spytała.
- Słyszałaś coś?

Oboje zaczęli nasłuchiwać. Z zewnątrz dobiegał jednak tylko szum deszczu i wiatru.

- Nie - odparła.

- Ktoś tam gwizdże - oznajmił.

- Niczego nie słyszałam.

- Wstanę i sprawdzę.

Narzucił na plecy szlafrok i przeszedł na drugą stronę domu do frontowych drzwi. Zawahał się, po czym rozwarł je szeroko. Zimne krople deszczu natychmiast zmoczyły mu twarz. Wiał wiatr.

Na środku podwórza stała drobna postać.

Błyskawica przeszła niebo i biały rozbłysk oświetlił twarz, spoglądającą na stojącego w drzwiach starego LaFarge'a.

- Kto tam? - krzyknął starzec dygocząc. Cisza.

- Kim jesteś? Czego chcesz? Przybysz nie odezwał się ani słowem. LaFarge poczuł nagłą słabość i znużenie.

- Kim jesteś?! - wykrzyknął.

Żona stanęła za nim i ujęła go za łokieć.

- Czemu krzyczysz?

- Na podwórku stoi chłopczyk i nie chce się odezwać - odparł stary człowiek. Wstrząsały nim dreszcze. - Wygląda zupełnie jak Tom!

- Coś ci się przyśniło. Wracaj do łóżka.

- Ale on tu jest. Sama zobacz.

Otworzył szerzej drzwi. Do środka wdarł się zimny podmuch. Rzadki deszcz siąpił na ziemię i postać, obserwującą ich odległymi oczyma. Stara kobieta przytrzymała się framugi.

- Odejdź! - krzyknęła, machając ręką. - Odejdź!

- Czy on nie wygląda jak Tom? - spytał stary. Postać nie drgnęła.

- Boję się - rzekła kobieta. - Zamknij drzwi i chodź do łóżka. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Zniknęła w sypialni, jęcząc pod nosem.

Stary mężczyzna nadal stał w drzwiach, czując chłód deszczu na rękach.

- Tom! - zawołał cicho. - Tom, jeśli to ty, jeśli jakimś cudem to naprawdę ty, zostawię drzwi otwarte. Gdyby było ci zimno, gdybyś chciał wejść i ogrzać się, przyjdź tu później i połóż się przy

kominku. Leży tam ciepły futrzak.

Zamknął drzwi, nie ruszając zasuw.

Żona poczuła, że wrócił do łóżka, i zadrżała.

- Co za paskudna noc. Tak mi zimno - zapłakała.

- Cicho, cicho - uspokajał ją, tuląc w ramionach.

Po długim czasie zasnęła.

A potem uszu mężczyzny dobiegł bardzo cichy dźwięk. Drzwi frontowe otwarły się na moment, wpuszczając do środka wiatr i deszcz. Usłyszał miękkie kroki obok kominka i cichutki oddech.

- Tom - powiedział do siebie.

Błyskawica zapaliła niebo i na chwilę rozdarła ciemności.

* * *

Ranek był bardzo gorący.

Pan LaFarge otworzył drzwi salonu i rozejrzał się pośpiesznie.

Skóry przed kominkiem były puste.

LaFarge aż westchnął.

- Starzeję się - rzekł.

Ruszył na dwór, aby przynieść z kanału wiaderko świeżej wody do mycia. Przy drzwiach niemal zderzył się z młodym Tomem, dźwigającym wiadro pełne aż po brzegi.

- Dzień dobry, tato.

- Dzień dobry, Tom. - Stary człowiek odsunął się; bosonogi chłopiec pośpieszył przez pokój, postawił wiaderko pod ścianą i odwrócił się z uśmiechem.

- Piękny mamy dziś dzień.

- Owszem - odparł starzec z niedowierzaniem. Chłopiec zachowywał się jak gdyby nigdy nic. Zaczął obmywać twarz w wodzie.

Stary człowiek ruszył naprzód.

- Tom, jak się tu dostałeś? Ty żyjesz?

- A nie powinienem? - Chłopiec uniósł wzrok.

- Ależ, Tom, cmentarz Green Lawn co niedziela, kwiaty i... -LaFarge poczuł, że musi usiąść. Chłopiec stanął przed nim i ujął jego dłoń. Stary człowiek czuł jego palce, ciepłe, namacalne. - Naprawdę tu jesteś? To nie sen?

- Chcesz przecież, żebym tu był, prawda? - Twarz chłopca zdradzała niepokój.

- O tak, Tom!

- Czemu zatem zadajesz pytania? Przyjmij mnie.

- Ale twoja matka; wstrząs...

- Nie bój się o nią. W nocy zaśpiewałem wam obojgu, dzięki temu chętniej mnie przyjmiecie, zwłaszcza ona. Nie będzie żadnego wstrząsu. Zaczekaj, aż się zjawi, a sam się przekonasz. - Wybuchnął śmiechem, potrząsając miedzianą, kręconą czupryną. Jego oczy były czyste i bardzo niebieskie.

- Dzień dobry, Lafe, Tom. - Matka wynurzyła się z sypialni, upinając włosy w kok. -Jaki piękny dzień, prawda?

Tom odwrócił się ze śmiechem, spoglądając w twarz ojca.

- Widzisz?

Cała trójka zjadła pyszne drugie śniadanie w cieniu za domem. Pani LaFarge wyjęła nawet starą butelkę słonecznikowego wina, którą przechowywała na specjalną okazję, i wszyscy wzniesli toast. Pan LaFarge nigdy nie widział żony tak szczęśliwej. Jeśli nawet gdzieś w jej umyśle krył się cień wątpliwości, nie wspominała o nim. Obecność Toma była dla niej czymś zupełnie naturalnym i powoli też stawała się taka dla samego LaFarge'a.

Podczas gdy matka sprzątała talerze, LaFarge nachylił się i spytał cicho:

- Ile masz lat, synu?

- Nie wiesz, tato? Oczywiście czternaście.

- Kim ty naprawdę jesteś? Nie możesz być Tomem, ale kimś przecież jesteś.

- Nie rób tego. - Spłoszony chłopak ukrył twarz w dłoniach.

- Możesz mi powiedzieć - naciskał stary człowiek. - Rozumiem. Jesteś Marsjaninem, prawda? Słyszałem historie o Marsjanach. Nic pewnego, jedynie opowieści o tym, jak rzadcy się stali, i że kiedy pojawiają się wśród nas, przybywają pod postacią Ziemiaków. Jest w tobie coś dziwnego, jakbyś był Tomem, a jednocześnie nim nie był.

- Czemu nie możesz po prostu mnie przyjąć i przestać tyle gadać? - wykrzyknął chłopiec. Jego dłonie całkowicie skrywały twarz. - Nie wątp, błagam, nie wątp we mnie. - Odwrócił się i uciekł od stołu.

- Tom, wracaj!

Jednakże chłopak odbiegł wzdłuż kanału w stronę odległego miasta.

- Dokąd poszedł Tom? - spytała Anna, wracając po kolejne naczynia. Spojrzała prosto w oczy mężowi. - Czy powiedziałaś coś, co go zdenerwowało?

- Anno - odparł, ujmując jej dłoń. - Anno, pamiętasz cokolwiek? Cmentarz Green Lawn, targowisko, zapalenie płuc Toma?

- O czym ty mówisz? - Roześmiała się.

- Nieważne - odparł cicho.

W dali kurz, który biegnący Tom wzbił z ziemi, osiadał powoli na brzegu kanału.

* * *

Chłopiec wrócił o piątej po południu, wraz z zachodem słońca. Spojrzał z powątpiewaniem na ojca. - Chcesz mnie jeszcze o coś zapytać?

- Żadnych więcej pytań - odparł LaFarge. Tom uśmiechnął się, odsłaniając białe zęby.

- Świetnie.

- Gdzie byłeś?

- Niedaleko miasta. O mały włos byłbym nie wrócił. Niemal... - chłopiec szukał stosownego słowa - wpadłem w pułapkę.

- Co to znaczy „w pułapkę”?

- Minąłem niewielki blaszany domek nad kanałem i prawie się stałem. A wówczas już nigdy nie mógłbym do was wrócić. Nie potrafię tego wyjaśnić; nie wiem jak. Sam tego nie rozumiem. To dziwne. Nie chcę już o tym rozmawiać.

- Zatem zmieńmy temat. Lepiej się umyj, chłopcze. Czas na kolację.

Chłopak odbiegł.

Jakieś dziesięć minut później na spokojnych wodach kanału pojawiła się łódź. Siedzący w niej wysoki mężczyzna o czarnych włosach popychał ją naprzód leniwymi ruchami rąk.

- Dobry wieczór, bracie LaFarge - rzucił, przerywając swą pracę.

- Dobry wieczór, Saul. Przynosisz jakieś nowiny?

- I to najróżniejsze. Znasz gościa nazwiskiem Nomland, który mieszka nad kanałem w blaszanym domku? LaFarge napiął się cały.

-Tak?

- Wiesz, co to za łajdak?

- Podobno uciekł z Ziemi, ponieważ zabił człowieka.

Saul oparł się na swym mokrym drągu, patrząc wprost na La-

- A pamiętasz, jak nazywał się ten, którego zabił?

- Gillings, prawda?

- Zgadza się. Gillings. Jakies dwie godziny temu pan Nomland przybiegł do miasta krzycząc, że widział Gillingsa żywego, tu, na Marsie, dziś, tego popołudnia! Próbował przekonać strażników więziennych, żeby zamknęli go bezpiecznie w celi. Nie zgodzili się, więc Nomland wrócił do domu i podobno dwadzieścia minut temu palnął sobie prosto w łeb. Właśnie stamtąd płynę.

- No, no - mruknął LaFarge.

- Dzieją się tu naprawdę dziwne rzeczy - mruknął Saul. -Cóż, dobranoc, LaFarge.

- Dobranoc.

Łódź popłynęła dalej, przecinając spokojną toń.

- Kolacja na stole! - krzyknęła stara kobieta. Pan LaFarge zajął swe miejsce i z nożem w dłoni spojrzał na Toma.

- Tom - spytał - co robiłeś dziś po południu?

- Nic - odparł chłopiec z pełnymi ustami. - A dlaczego?

- Po prostu chciałem wiedzieć. Stary człowiek okrył koszulę serwetką.

* * *

O siódmej wieczorem kobieta zapragnęła popłynąć do miasta.

- Nie byłam tam od miesiąca. Jednakże Tom się sprzeciwił.

- Boję się miasta - rzekł. - Ludzi. Nie chcę tam jechać.

- Dorosły chłopak, a gada takie głupstwa - odparła Anna. - Nie zamierzam tego słuchać. Jedziesz z nami. Ja ci mówię.

- Anno, jeśli chłopak nie ma ochoty... - zaczął starzec.

Jednakże Anna ucięła dalszą dyskusję. Zapędziła obu do łodzi i popłynęli kanałem pod wieczornymi gwiazdami. Tom leżał na plecach z zamkniętymi oczami, trudno stwierdzić - spał czy nie. Stary człowiek nie spuszczał z niego wzroku, rozmyślając. Kto to taki, zastanawiał się, tak samo spragniony miłości jak my? Kim i czym jest, tak bardzo samotny, że przybywa do obozu wroga, przybiera twarz i głos z naszej pamięci i zostaje pośród nas, wreszcie zaakceptowany i szczęśliwy? Z jakiej przychodzi góry, z której grotty? Z jakiej rasy, której niedobitki wciąż pozostają na tej planecie, po przybyciu rakiet z Ziemi? Stary człowiek potrząsnął głową. W żaden sposób nie zdoła się dowiedzieć. Po co wątpić? To jest Tom.

Podniósł wzrok na rozciągające się przed nimi miasto i nie spodobał mu się ten widok. Potem jednak wrócił myślami do To-ma i Anny, mówiąc do siebie: może nie powinniśmy trzymać tu Toma, nawet na krótko. Nie wyjdzie z tego nic dobrego, tylko kłopoty i smutek. Ale jak mielibyśmy zrezygnować z tego, czego najbardziej pragniemy, nieważne, czy potrwa to tylko jeden dzień i zniknie, sprawiając, że pustka stanie się jeszcze większa, ciemne noce ciemniejsze, deszczowe bardziej mokre? Nie można go nam odebrać; równie dobrze moglibyśmy odjąć sobie od ust jedzenie.

Spojrzał na chłopca, drzemiącego błogo na dnie łodzi. Nagle Tom zaczął jęczeć przez sen.

- Ludzie - mamrotał. - Zmiany, ciągłe zmiany. Pułapka.

- No już, chłopcze, cicho. - LaFarge pogładził miękkie loki Toma, który uspokoił się natychmiast.

* * *

LaFarge pomógł żonie i synowi wysiąść z łodzi.

- No, już jesteśmy! - Anna uśmiechnęła się na widok świateł i na dźwięk muzyki, dobiegającej z barów, pianin, fonografów; wokół po zatłoczonych ulicach spacerowali ludzie, trzymając się pod rękę.

- Chciałbym wrócić do domu - westchnął Tom.

- Nigdy wcześniej tak nie mówiłeś - odparła matka. - Zawsze lubiłeś sobotnie wieczory w mieście.

- Zostań blisko mnie - szepnął Tom. - Nie chcę wpaść w pułapkę.

Anna usłyszała.

- Przestań mówić takie rzeczy. Chodźcie. LaFarge dostrzegł, że chłopiec chwycił go za rękę. Stary człowiek uścisnął jego dłoń.

- Będę tuż obok, Tommy, mój chłopcze. - Widok przelewającej się wokół ciżby zaniepokoił także i jego. - Nie zostaniemy tu długo.

- Bzdura, mamy przed sobą cały wieczór - nie zgodziła się Anna.

Przeszli na drugą stronę ulicy i w tym momencie wpadło na nich trzech pijaków. Wywołało to spore zamieszanie, na chwilę rozdzielili się, a kiedy tamci odeszli, LaFarge stanął zdumiony.

Tom zniknął.

- Gdzie on jest? - spytała Anna z rozdrażnieniem. - Zawsze odbiega gdzieś sam, kiedy tylko nadarzy się okazja. Tom! - zawołała.

Pan LaFarge zaczął przedzierać się przez tłum, ale Toma nie było.

- Wróci. Spotkamy go później przy łodzi - stwierdziła Anna pewnym siebie tonem, prowadząc męża w stronę kina. Nagle wśród tłumu wybuchło poruszenie. Obok LaFarge'a przepchnęła się jakaś para. Rozpoznał ich. Joe Spaulding i jego żona. Odeszli, zanim zdążył się do nich odezwać. Oglądając się niespokojnie, kupił bilety na najbliższy seans i pozwolił żonie wciągnąć się w niegościnną ciemność.

* * *

Kiedy o jedenastej znaleźli się na przystani, Toma nadal nie było. Pani LaFarge śmiertelnie zbladła.

- Spokojnie, mateczko - pocieszał ją LaFarge. - Nie martw się, znajdę go. Zaczekaj tutaj.

- Tylko się pospiesz. - Szum wody zagłuszył jej słowa.

Stary mężczyzna wędrował nocnymi ulicami, trzymając ręce w kieszeniach. Wszędzie wokół kolejno gasły światła. Nieliczni ludzie nadal wychylali się przez okna, bowiem noc była ciepła, choć pośród gwiazd wciąż przepływały burzowe chmury. Po drodze przypomniał sobie ciągle aluzje do pułapek, strach chłopca przed tłumami i miastem. Nie ma w tym żadnego sensu, pomyślał ze znużeniem. Może chłopak odszedł na zawsze, może w ogóle nigdy go nie było? LaFarge skręcił w kolejną uliczkę, sprawdzając wzrokiem numery.

- Witaj, LaFarge. - W drzwiach domu siedział palący fajkę mężczyzna.

- Cześć, Mike.

- Pokłóciłeś się z swoją kobietą? Wyszedłeś ochłonać?

- Nie. Po prostu spaceruję.

- Wyglądasz, jakbyś coś zgubił. A skoro już mowa o zgubach - dodał Mike - dziś wieczór jedna się znalazła. Znasz Joego Spauldinga? Pamiętasz jego córkę Layinię?

- Tak. - LaFarge poczuł nagły chłód. Zupełnie jakby sen powtarzał się od nowa. Wiedział, co zaraz usłyszy.

- Dziś wieczór Lavinia wróciła do domu - oznajmił Mike, wypuszczając z ust chmurę dymu. - Przypominasz sobie zapewne, że jakiś miesiąc temu zaginęła na dnie martwego morza? Później znaleźli rozkładające się ciało. Myśleli, że to ona. Od tego czasu rodzinie Spauldingów nie wiodło się najlepiej. Joe wałęsał się po mieście, powtarzając, że to nie jej zwłoki. Okazało się, że miał rację. Dziś wieczór spotkali Lavinie.

- Gdzie? - LaFarge oddychał z trudem, serce mu waliło.

- Na Main Street. Spauldingowie kupowali bilety do kina i nagle w samym środku tłumu ujrzeli Lavinie. To musiała być niezła scena. Z początku ich nie poznała. Poszli za nią kawałek i wreszcie zawołali. Wtedy sobie przypomniła.

- Widziałeś ją?

- Nie. Ale słyszałem jej głos. Pamiętasz, jak śpiewała „Zielone brzegi Loch Lommond”? Dawniej często słyszałem, jak nuciła to ojcu w ich domu. Przyjemna piosenka; zresztą była śliczną dziewczynką. Wielka szkoda, że umarła, myślałem często, ale teraz, kiedy wróciła, wszystko będzie dobrze. Prawdę mówiąc ty też nie najlepiej wyglądasz. Wpadnij może na kropelkę whisky...

- Dzięki Mike, ale nie. - Stary człowiek odszedł. Słyszał, jak Mike mówi mu dobranoc, nie odpowiedział jednak, wpatrując się w piętrowy budynek, którego wysoki kryształowy dach pokrywał dywan szkarłatnych marsjańskich kwiatów. Na tyłach, nad ogrodem, wznosił się balkon z żelazną balustradą. W oknach nad nim paliło się światło. Było już bardzo późno, lecz stary człowiek nadal rozmyślał. Co się stanie z Anną, jeśli nie przyprowadzę Toma? Ten drugi wstrząs, ponowna śmierć - jak to na nią wpłynie? Czy przypomni jej się jego pierwsze odejście? A potem ten sen i nagłe zniknięcie? O Boże, muszę znaleźć Toma. W przeciwnym razie, co będzie z Anną? Biedna Anna, czeka tam teraz na przystani. Zatrzymał się, unosząc głowę. Gdzieś w górze ciche głosy żegnały się ze sobą, trzaskały drzwi, przygasały światła. Ktoś nucił piosenkę. Chwilę później na balkon wyszła śliczna dziewczyna, licząca sobie najwyżej osiemnaście lat.

LaFarge zawołał ją poprzez wiatr.

Dziewczyna odwróciła się i spojrzała w dół.

- Kto tam? - krzyknęła.

- To ja - odparł starzec, po czym uświadamiając sobie nagle, jak niemądrze zabrzmiała ta odpowiedź, umilkł. Jedynie jego wargi poruszyły się. Czy powinien krzyknąć: „Tom, synu, to twój ojciec! "Jak ma z nią rozmawiać? Pomyśli, że oszalał, i wezwie rodziców.

Dziewczyna nachyliła się naprzód w półmroku.

- Znam cię - odparła cicho. - Proszę, odejdz. Nic już tu nie poradzisz.

- Musisz ze mną wrócić! -wymknęło się LaFarge'owi, zanim zdołał się powstrzymać.

Skąpana w blasku księżyców postać cofnęła się w cień tak, że pozostał po niej tylko głos.

- Nie jestem już waszym synem - rzekła. - Nigdy nie powinniśmy byli przyjeżdżać do miasta.

- Anna czeka na przystani.

- Przykro mi - odparł cichy głos. - Ale co mogę począć? Jestem tu szczęśliwa, kochają mnie tak, jak wyście mnie kochali. Jestem tym, kim jestem, i biorę to, co mogę wziąć. Już za późno. Złapali mnie.

- Ale Anna, to będzie dla niej szok! Zastanów się nad tym.

- Myśli w tym domu są zbyt silne; zupełnie jak kraty w więzieniu. Nie mogę zmienić się z powrotem.

- Ale jesteś Tomem, byłaś Tomem, prawda? Nie żartujesz sobie z biednego starca; nie jesteś tak naprawdę Lavinia Spaulding.

- Nie jestem nikim, tylko sobą. Gdziekolwiek trafiam, staję się kimś innym i nic nie możesz na to poradzić.

- W tym mieście stale grozi ci niebezpieczeństwo. Lepiej byłoby ci nad kanałem, gdzie nikt nie mógłby cię skrzywdzić - błagał starzec.

- To prawda. - W głosie zabrzmiało wahanie. - Ale muszę też wziąć pod uwagę tych ludzi. Jak by się poczuli, gdybym rano znów odeszła, tym razem na dobre? Zresztą matka wie, kim jestem. Odgadła, podobnie jak ty. Podejrzewam, że wszyscy się domyślili, ale nie zadawali pytań. Nie kwestionuje się Opatrzności. Jeśli nie można mieć rzeczywistości, marzenie świetnie ją zastąpi. Może nie jestem tą, którą stracili, ale dla nich stanowią niemal coś więcej: ideał zrodzony w ich umysłach. Mam zatem wybór: zranić ich albo twoją żonę.

- Ich jest pięcioro. Łatwiej zniosą stratę.

- Proszę - rzekł cień. -Jestem zmęczona. Głos starca stwardniał:

- Musisz pójść ze mną. Nie pozwolę, by Anna znowu cierpiała. Jesteś naszym synem, moim synem. Należysz do nas.

- Nie, błagam - cień zadrżał.

- Nie masz nic wspólnego z tym domem i z tymi ludźmi!

- Nie rób mi tego!

- Tom, Tom, synu, posłuchaj mnie. Wracaj, chłopcze. Zejdź po tych pnączach. Chodź ze mną,

Anna czeka. Zapewnimy ci dom i wszystko, czego zapragniesz. - Z napięciem patrzył w górę, wyężając myśli, pragnąc, by tak się stało.

Cienie poruszyły się, pnącza zaszeleściły.

Aż wreszcie cichy głos szepnął:

- W porządku, ojczu.

-Tom!

W blasku księżyców zręczna chłopięca postać zsunęła się na dół. LaFarge wyciągnął rękę, aby go schwycić.

Światła na górze rozbłysły nagle. Z zakratowanego okna rozległ się głos:

- Kto tam jest?

- Pospiesz się, chłopcze! Kolejne światła. Kolejne głosy.

- Stójcie, mam broń! Vinny, nic ci nie jest? Tupot stóp.

Starzec i chłopiec pobiegli przez ogród. Rozległ się wystrzał. Pocisk uderzył w mur, w chwili gdy wspólnie wyważyli furtkę.

- Tom, biegnij tędy. Ja pójdę w przeciwną stronę i odciągnę ich. Uciekaj w stronę kanału. Spotkamy się tam za dziesięć minut.

Rozstali się.

Ciemna chmura skryła księżyc. Stary człowiek biegł w ciemności.

- Anno, tu jestem!

Stara kobieta pomogła mu wsiąść do łodzi. Dygotała.

- Gdzie jest Tom?

- Zaraz powinien tu być - wydyszał LaFarge. Odwrócili się, patrząc na uliczki i uśpione miasto. Wokół nadal kręcili się spóźnieni przechodnie: policjant, nocny strażnik, pilot rakiety, kilkunastu samotnych mężczyzn wracających do domów z nocnych spotkań, czwórka mężczyzn i kobiet ze śmiechem wychodzących z baru. Gdzieś w dali grała muzyka.

- Czemu jeszcze go nie ma? - spytała kobieta.

- Przyjdzie, przyjdzie. - Ale LaFarge nie był pewny. A jeśli chłopak po drodze znów wpadł w tarapaty, biegnąc ku przystani przez pogrążone w mroku ulice między ciemnymi domami? To długa

droga, nawet dla młodego chłopaka, ale powinien dotrzeć tu pierwszy.

I nagle, w oddali, na skąpanej w księżycowym blasku ulicy pojawiła się biegnąca postać. LaFarge krzyknął w głos, po czym umilkł, bowiem jego uszu dobiegł daleki odgłos krzyków i biegnących stóp. W kolejnych oknach zapalały się światła. Pierwszy biegacz pędził przez otwarty plac przylegający do przystani. Nie był to Tom, a jedynie biegnąca postać o twarzy niczym srebrna tafla, połyskująca w świetle okalających plac latarni. W miarę jak się zbliżała, stawała się coraz bardziej znajoma, aż wreszcie, gdy dotarła nad wodę, należała do Toma. Anna uniosła rękę, LaFarge pospieszył, aby odbić od brzegu. Było już jednak za późno.

Bowiem z uliczek na milczący plac wysypywali się ludzie. Jeden mężczyzna, drugi, kobieta, jeszcze dwóch mężczyzn, pan Spaulding, wszyscy pędzili naprzód. Nagle zatrzymali się oszołomieni, wodząc wokół wzrokiem, marząc o tym, by wrócić do domu, ponieważ widzieli przed sobą prawdziwy koszmar, szaleństwo. Jednak po chwili znów ruszyli naprzód, z wahaniem, zatrzymując się po każdym kroku.

Za późno. Ta noc, wydarzenia, wszystko się skończyło. LaFarge skręcał w palcach cumę. Było mu zimno, czuł się taki samotny. W blasku księżyców ludzie podnosili stopy i opuszczali je na kamienie, śmigając naprzód, oszołomieni, aż wreszcie cała grupa - dziesięć osób - zatrzymała się na przystani. Ogarnięci szaleństwem zajrzeli do łodzi. Zaczęli krzyczeć.

- LaFarge, nie ruszaj się! - Spaulding trzymał w dłoni strzelbę.

I nagle LaFarge zrozumiał, co się stało. Tom, biegnąc przez księżycowe ulice, mijał ludzi. Policjant ujrzał uciekającą postać, odwrócił się i patrząc jej w twarz, wykrzyknął nazwisko, ruszając w pościg.

- Ty tam, stój! - bowiem twarz, którą ujrzał, należała do przestępcy. Przez całą drogę działa się to samo. Mężczyźni, kobiety, nocni stróże, piloci rakiet. Ta zręczna postać znaczyła dla nich tak wiele, przybierając znajome twarze, przywołując utracone osoby, nazwiska. Ile różnych imion wymieniono w ciągu ostatnich pięciu minut? Jak wiele twarzy pojawiło się na obliczu Toma? A wszystkie niewłaściwe.

Przez całą drogę ścigający i ścigany, śniący i sen, ogary i zwierzyzna i ciągle nowe objawienia, błysk znajomych oczu, okrzyk powtarzający imię z dawnych czasów, wspomnienia lepszych dni. Tłum rósł, wszyscy rzucali się naprzód, podczas gdy postać rodem ze snu, niczym obraz odbity w dziesięciu tysiącach luster, dziesięciu tysiącach oczu, pędziła naprzód, ukazując różne oblicza tym przed nią, za nią, niewidocznym i tym, których miała dopiero spotkać.

A teraz wszyscy zgromadzili się wokół łodzi, pragnąc osiąść ów sen na własność. LaFarge nie był wyjątkiem. On także chciał, aby postać była Tomem, nie Lavinia, Williamem czy Rogerem. Ale to już skończone. Sprawy zaszły za daleko.

- Wyłażcie wszyscy! - rozkazał im Spaulding.

Tom wdrapał się na brzeg. Spaulding chwycił go za rękę.

- Ty pójdziesz ze mną. Ja wiem.

- Chwileczkę! - wtrącił policjant. - To mój więzień. Nazywa się Dexter, jest poszukiwany za morderstwo.

- Nie! - wyszlochała jakaś kobieta. - To mój mąż! Chyba znam mojego męża!

Inne głosy zaczęły protestować. Tłum ruszył naprzód. Pani LaFarge osłoniła Toma.

- To mój syn. Nie macie prawa go oskarżać. Wracamy do domu.

Sam Tom dygotał gwałtownie; sprawiał wrażenie chorego. Pierścień ludzi zaciskał się wokół niego, wyciągając oszalałe dłonie.

Tom krzyknął.

Przed ich oczami zaczął się zmieniać. Był jednocześnie Tomem i Jamesem, i mężczyzną nazwiskiem Switchman, kolejnym zwanym Butterfield; był burmistrzem miasteczka i młodą dziewczyną Judith, a także mężem Williamem i żoną Clarisse. Ich umysły kształtowały go niczym stopiony wosk. Ludzie wrzeszczeli błagalnie, napierając naprzód, on zaś krzyknął, wyciągając ręce. Jego twarz przekształcała się na każde żądanie.

- Tom! - ryknął LaFarge.

- Alice! - dodał ktoś inny.

- William!

Chwyтали go za ręce, obracali do siebie, póki z ostatnim wrzaskiem grozy nie runął na ziemię.

Leżał tam na kamieniach, stygnąca bryła rozgrzanego wosku. Wszystkie oblicza stopiły się w całość. Jedno oko miał niebieskie, drugie złote; włosy miejscami brązowe, rude, żółte, czarne; jedna brew była gęsta, druga cienka, jedna dłoń duża, druga wąska, drobna.

Stali nad nim, wsuwając palce do ust. Po chwili nachylili się.

- Nie żyje - stwierdził ktoś w końcu.

Zaczął padać deszcz. Krople leciały na ludzi, którzy unieśli wzrok ku niebu. Z początku powoli, potem coraz szybciej odwracali się i odchodzili prawie biegiem, uciekając jak najdalej. W ciągu minuty nie został nikt, oprócz pana i pani LaFarge, ściskających się za ręce.

Deszcz padał na zwróconą ku niebu twarz, zmienioną nie do poznania.

Anna milczała. Zaczęła płakać.

- Chodź do domu, Anno. Już nic nie możemy zrobić - stwierdził stary mężczyzna.

Z powrotem zeszli do łodzi i popłynęli pogrążonym w mroku kanałem. Po wejściu do domu rozpalili niewielki ogień i rozgrzali ręce. Następnie przeszli do łóżka i położyli się razem, szczupli i zmarznięci, słuchając deszczu bębniącego o dach domu.

- Zbudź się! - zagadnął LaFarge o północy. - Słyszałaś?

- Nie, nic.

- Pójdę i sprawdzę.

Przez chwilę kręcił się po ciemnej sypialni i zanim otworzył frontowe drzwi, odczekał długą chwilę.

Rozwarł je na oścież i wyjrzał na dwór.

Deszcz, siąpiący z czarnego nieba, obmywał podwórze, wpadając do kanału i ściekając po zboczach błękitnych gór.

LaFarge zaczekał pięć minut, po czym mokrymi rękami zamknął cicho drzwi i starannie zasunął rygiel.

Listopad 2005: Sklep z walizkami

Właściciel sklepu z walizkami usłyszał w nocnym programie radiowym wiadomość, przekazaną z Ziemi promieniem światło-dźwięku. Nie przejął się zbytnio, pojął jedynie, jak bardzo odległe są to wieści:

Na Ziemi zanosilo się na wojnę. Wyszedł na dwór, aby spojrzeć w niebo. I była tam - Ziemia, na tle wieczornego nieba, podążająca w ślad za słońcem między wzgórzami. Słowa wyłowione przez radio i ta zielona gwiazda stanowiły jedność.

- Nie wierzę - westchnął właściciel sklepu.

- To dlatego, że cię tam nie ma - odparł ojciec Peregrine, który wpadł z wieczorną wizytą, aby zabić trochę czasu.

- Czemu tak mówisz, ojczu?

- Przypomina mi się moje dzieciństwo - odparł ojciec Peregrine. - Słyszeliśmy o wojnach w Chinach, ale nigdy w to nie wierzyliśmy. Wszystko działo się daleko, zbyt wielu ludzi ginęło. To było po prostu niemożliwe. Nawet gdy zobaczyliśmy film, nie uwierzyliśmy. Tak samo i dzisiaj. Ziemia to nasze Chiny. Krąży tak daleko, że trudno uwierzyć w jej istnienie. Tu jej nie ma. Nie da się jej dotknąć ani zobaczyć. Widać jedynie zielone światło. Dwa miliardy ludzi, żyjących na tym światelku? Niewiarygodne. Wojna? Nie słyszymy przecież żadnych wybuchów.

- Ale usłyszemy - odparł właściciel. - Cały czas myślę o ludziach, którzy mieli dotrzeć na Marsa w tym tygodniu. Ilu ich będzie? Jakies sto tysięcy, które zjawia się tu za miesiąc. Co zrobią, jeśli wybuchnie wojna?

- Przypuszczam, że wrócą. Będą potrzebni na Ziemi.

- Cóż - westchnął właściciel. - Lepiej odkurzę swoje walizki. Mam przeczucie, że wkrótce czeka nas wyprzedaż.

- Sądzisz, że jeśli rzeczywiście oznacza to początek wielkiej wojny, której spodziewaliśmy się od lat, wszyscy mieszkańcy Marsa wrócą teraz na Ziemię?

- To zabawne, ojczu, ale owszem. Przypuszczam, że wszyscy wrócimy. Wiem, przybyliśmy tu, aby oderwać się od różnych rzeczy - polityki, bomby atomowej, wojny, grup nacisku, przesądów, praw... Nadal jednak tam jest nasz dom. Proszę tylko zaczekać, a sam się pan przekona. Kiedy pierwsza bomba spadnie na Amerykę, tutejsi ludzie zaczną myśleć o powrocie. Nie spędzili tu znów tak wiele czasu. Najwyżej parę lat. Gdyby przebywali na Marsie przez czterdzieści lat, wszystko byłoby inaczej, ale przecież tam mają rodziny i ojczyste miasta. Ja sam nie wierzę już w Ziemię; nie mogę jej sobie wyobrazić, ale też się starzeję. Ja się nie liczę. Może nawet tu zostanę.

- Wątpię.

- Owszem, chyba ma pan rację.

Stali razem na werandzie, patrząc w gwiazdy. Wreszcie ojciec Peregrine wyjął z kieszeni plik pieniędzy i podał go właścicielowi.

- A skoro już przy tym jesteśmy, proszę dać mi nową walizkę. Stara jest w bardzo kiepskim stanie...

Listopad 2005: Martwy sezon

Sam Parkhill machnął miotłą, zmiatając błękitny marsjański piasek.

- I oto jesteśmy - rzekł. - Bez dwóch zdań! Patrzcie tylko! - wskazał ręką szyld. - Spójrz na ten napis: „HOT DOGI U SAMA"! Czyż to nie piękne, Elmo?

-Jasne, Sam - odparła żona.

- Rany, co za odmiana. Gdyby tylko chłopcy z Czwartej Wyprawy mogli mnie teraz zobaczyć. Wzięłem się za interesy, podczas gdy cała reszta ciągle bawi się w żołnierzyków. Zarobimy tysiące, Elmo, tysiące!

Przez długą chwilę żona przyglądała mu się bez słowa.

- Co się stało z kapitanem Wilderem? - spytała wreszcie. -Tym, który zabił tego gościa przekonanego, że musi wystrzelać wszystkich pozostałych Ziemiaków. Jak on się nazywał?

- Spender. Co za świr. Był zupełnie zwariowany. A, chodzi ci o kapitana Wildera? Słyszałem, że poleciał rakieta na Jowisza. Dali mu kopa w górę. Był chyba nieco przeczulony na punkcie Marsa. No wiesz, drażliwy. Jeśli mu się poszczęści, za jakieś dwadzieścia lat wróci z Jowisza i Plutona. Tak to bywa, kiedy ktoś gada bez namysłu. A tymczasem, kiedy on zamierza na śmierć w kosmosie, spójrz na to miejsce!

Przed nimi rozciągało się skrzyżowanie. Dwa martwe trakty spotykały się i umykały w mrok. I dokładnie w tym punkcie Sam Parkhill wzniósł swą nitowaną konstrukcję z aluminium, lśniąca białymi światłkami, dygoczącą od głośniejszej muzyki z szafy grającej. Schylił się, poprawiając kawałek szkła obramowującego ścieżkę. Osobiście wytłukł to szkło ze starych marsjańskich budowli na wzgórzach.

- Najlepsze hot dogi na dwóch planetach! Pierwszy człowiek na Marsie mający własną budkę z hot dogami! Najsmaczniejsza cebula, chili i musztarda! Nie możesz powiedzieć, że nie jestem przezorny. Oto dwa główne szlaki. Po tamtej stronie leży martwe miasto i złoża minerałów. Ciężarówki z Osady 101 będą musiały przejeżdżać tędy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę! No co, potrafisz wybrać odpowiednie miejsce?

Żona uporczywie wpatrywała się w czubki własnych paznokci.

- Myślisz, że te dziesięć tysięcy rakiet nowego typu naprawdę przyleci na Marsa? - spytała w końcu.

- Za miesiąc - odparł głośno. - Czemu tak dziwnie wyglądasz?

- Nie ufam Ziemiakom - odparła. - Uwierzę, kiedy zobaczę dziesięć tysięcy statków wiozących sto tysięcy Meksykanów i Chińczyków.

- Klienci. - Napawał się brzmieniem tego słowa. - Sto tysięcy głodnych ludzi.

-Jeśli - dodała powoli jego żona, patrząc w niebo - nie wybuchnie wojna jądrowa. Nie ufam bombom atomowym. Jest ich na Ziemi tak wiele, że wszystko może się zdarzyć.

- Ach! - westchnął Sam i wrócił do przerwanej pracy. Kącikiem oka dostrzegł błękitny ruch. Za jego plecami coś płynęło łagodnie w powietrzu. Usłyszał głos żony:

- Sam. Jakiś przyjaciel do ciebie.

Sam odwrócił się na pięcie i ujrzał maskę, pozornie unoszącą się w powietrzu.

- A zatem wróciłeś! - Uniósł miotłę jak broń. Maską przytaknęła. Wyrzeźbiono ją z bladobłękitnego szkła; zza jej krawędzi wystawała szczupła szyja, z której opadały luźne szaty ze zwiewnego żółtego jedwabiu. Spomiędzy fałd materiału wyłoniły się dwie dłonie ze srebrnej siatki. Ze szczeliny tworzącej usta maski dobywały się melodyjne dźwięki, podczas gdy szaty, sama maska i dłonie to unosiły się, to opadały.

- Panie Parkhill, wróciłem, aby znów z panem pomówić -oznajmił głos zza szklanej zasłony.

- Chyba powiedziałem już, że nie chcę tu ciebie widzieć! - wykrzyknął Sam. - Odejdź albo złapiesz ode mnie Zarazę!

- Miałem już Zarazę - odparł głos. - Należę do tych nielicznych, którzy przetrwali. Bardzo długo chorowałem.

- Idź, schowaj się na swoich wzgórzach. Tam jest twoje miejsce i tam powinieneś zostać. Czemu zawracasz mi głowę i to dwa razy w ciągu jednego dnia?

- Nie mamy złych zamiarów.

- Ale ja mam! - Sam cofnął się o krok. - Nie lubię obcych. A zwłaszcza Marsjan. Nigdy dotąd żadnego z was nie widziałem. To nienaturalne. Przez wszystkie te lata ukrywacie się i nagle zaczynacie mnie nachodzić. Odejdźcie.

- Przybywamy w ważnej sprawie - oznajmiła błękitna maska.

-Jeśli to dotyczy ziemi, to należy ona do mnie. Własnymi rękami zbudowałem ten bar.

- W pewnym sensie owszem, to dotyczy ziemi.

- Posłuchaj - rzucił Sam. - Pochodzę z Nowego Jorku. Mieszka tam dziesięć milionów ludzi takich jak ja. Was, Marsjan, zostało parę tuzinów. Nie macie żadnych miast, wędrujecie tylko po wzgórzach, pozbawieni przywódców i praw, a teraz przychodzicie i nękacie mnie o moją ziemię. Cóż, stare musi ustępować miejsca nowemu. Tak to już jest. Mam ze sobą broń. Kiedy odszedłeś dziś rano, wyjąłem ją i załadowałem.

- My, Marsjanie, mamy zdolności telepatyczne - oznajmiła zimna błękitna maska. - Nawiązaliśmy kontakt z jednym z waszych miast po drugiej stronie martwego morza. Słuchał pan może radia?

-Jest zepsute.

- Zatem nic pan nie wie. Zdarzyło się coś istotnego. To dotyczy Ziemi...

Srebrna ręka skinęła na niego, w jej palcach pojawiła się brązowa tulejka.

- Proszę pozwolić, że coś panu pokażę.

- Pistolet! - krzyknął Sam Parkhill.

W sekundę później wyrwał z kabury swą własną broń i wypalił w sam środek mgiełki, szaty, maski.

Przez chwilę maska wisiała jeszcze w powietrzu; potem jedwabie opadły miękko, niczym maleńki cyrkowy namiot, z którego wyjęto podpory, maska runęła w dół, srebrne paznokcie zadzwoniły o kamienną ścieżkę. Przed Samem leżał niewielki stosik milczących białych kości i materiału, na środku którego spoczęła maska.

Sam stał nad nią, gapiąc się bez słowa.

Jego żona pochyliła się nad szczątkami.

- To nie jest broń - stwierdziła, podnosząc brązową tulejkę. - Zamierzał przekazać ci wiadomość. Napisano ją błękitnymi wężykami. Nie potrafisz tego przeczytać, a ty?

- Nie, to marsjańskie pismo obrazkowe. Nic ważnego. Zostaw to. - Sam rozejrzał się pospiesznie. - W pobliżu mogą czaić się inni. Musimy go ukryć. Przynieś łopatę!

- Co zamierzasz zrobić?

- Pogrzebać go, rzecz jasna.

- Nie powinieneś być do niego strzelać.

- Pomyliłem się. Szybko!

W milczeniu podała mu szpadel.

O ósmej wieczorem znów zamiatał podwórze przed barem. Wciąż jeszcze niezupełnie przyszedł do siebie. Jego żona stała w drzwiach, z których wylewało się jaskrawe światło.

- Przykro mi, że tak wyszło - rzekł. Spojrzał na nią, po czym odwrócił wzrok. - To zrzędzenie losu, nic innego.

- Owszem - odparła jego żona.

- Dostałem szau, kiedy wyciągnął tę swoją broń.

-Jaką broń?

- Myślałem, że to broń. Przepraszam, w porządku? Przepraszam! Ile razy mam to powtórzyć?

- Ciii. - Elma uniosła palec do ust. - Ciii.

- Nie dbam o to - rzekł. - Stoi za mną całe Zjednoczenie Ziemijskich Osad - prychnął. - Ci Marsjanie nie odważą się...

- Spójrz - szepnęła Elma.

Obejrzał się na dno martwego morza. Upuścił miotłę i podniósł ją natychmiast. Jego usta otwały się; kropelka śliny błysnęła w powietrzu. Nagle Parkhill zaczął drżeć.

- Elmo, Elmo, Elmo! - powtarzał.

- Oto oni - oznajmiła.

Po dnie martwego morza płynął tuzin smukłych marsjańskich statków piaskowych. Błękitne żagle trzepotały w powietrzu niczym duchy czy może niebieski dym.

- Statki piaskowe! Ale przecież ich już nie ma, Elmo! Ani jednego!

- Wygląda na to, że jednak są - odparła.

- Przecież władze skonfiskowały je wszystkie. Większość zniszczono, część sprzedano na licytacjach. Tylko ja jeden w tej choliernej okolicy mam taki i umiem nim kierować.

-Już nie - skinęła głową w stronę przybyszów.

- Chodź, zabierajmy się stąd!

- Czemu? - spytała wolno, zafascynowana pojazdami Marsjan.

- Zabiją mnie! Wsiadaj do ciężarówki, prędko!

Elma nie zareagowała.

Musiał zaciągnąć ją na tył baru, gdzie czekały dwa pojazdy. Jego ciężarówka, z której jeszcze miesiąc temu korzystał praktycznie bez przerwy, i stary marsjański statek piaskowy, kupiony z uśmiechem na licytacji. W ciągu ostatnich trzech tygodni używał go często, przewożąc zapasy przez szkliste dno morza. Spojrzał na ciężarówkę i przypomniał sobie nagle - wymontowany silnik leżał na ziemi. Sam zmagał się z nim przez ostatnie dwa dni.

- Najwyraźniej ciężarówka nie na wiele nam się przyda - zauważyła Elma.
- Statek piaskowy! Wsiadaj!
- Chcesz mnie stąd zabrać statkiem piaskowym? O nie!
- Wsiadaj! Potrafię nim kierować!

Wepchnął ją do środka, wskoczył za nią, parę razy poruszył rumplem i pozwolił, by kobaltowy żagiel napełnił się wieczornym wiatrem.

Gwiazdy jasno świeciły na niebie. Błękitne marsjańskie łodzie pędziły po szemrzącym piasku. Z początku jego własny statek nawet nie drgnął, nagle jednak Parkhill przypomniał sobie o piaskowej kotwicy i wyszarpnął ją.

- Proszę!

Pchany wiatrem statek piaskowy śmignął po dnie martwego morza, przemykając nad pogrzebanymi od wieków kryształowymi budowlami, mijając strzaskane kolumny, porzucone porty z marmuru i brązu, martwe szachownice białych miast i fioletowe wzgórza. Marsjańskie statki malały im w oczach. Po chwili ruszyły w ślad za nimi.

- No, pokazałem im, na Boga! - wykrzyknął Sam. - Złożę meldunek Kompanii Rakietowej. Zapewnię mi ochronę. Szybki jestem, no nie?

- Gdyby chcieli, mogliby cię powstrzymać - stwierdziła Elma ze znużeniem. - Po prostu im nie zależało. Roześmiał się.

- Daj spokój. Czemu mieliby mnie puszczać? Nie, nie byli dość szybcy i tyle.

- Naprawdę? - Emma spojrzała do tyłu.

On jednak nie obrócił się. Nagle owionął go zimny wiatr. Sam bał się obejrzeć. Na ławeczce za sobą czuł czyjąś obecność. Coś łagodnego jak oddech w chłodzie poranka, błękitnego jak dym z orzecha o zmierzchu, delikatnego jak stara biała koronka, jak płatek śniegu, kryształki szronu na kruchym zimowym sitowiu.

Rozległ się dźwięk przypominający melodyjny brzęk tłuczonego szkła - to był śmiech. Potem zapadła cisza. Odwrócił się.

Na ławeczce przy sterze siedziała młoda kobieta. Przeguby miała smukłe niczym sople lodu, oczy czyste jak blask księżycy, wielkie, białe i spokojne. Z każdym powiewem wiatru falowała niczym obraz odbity w tafli wody; jedwabne strzępki fruwały wokół niej niby błękitny deszcz.

- Zawracaj - powiedziała.

- Nie. - Sam dygotał cały, leciutko niczym szerszeń wiszący w powietrzu, nie wiedząc, czy

powinien czuć lęk, czy też nienawiść. - Wynoś się z mojego statku!

- Ten statek nie należy do ciebie - odparło zjawisko. - Jest stary jak nasz świat. Dziesięć tysięcy lat temu żeglował po morzach piasku, zanim ich śpiew ucichł, porty opustoszały, a ty przybyłeś i ukradłeś go. A teraz zawróć i skieruj się z powrotem. Musimy z tobą pomówić. Zdarzyło się coś ważnego.

- Wynoś się stąd! - powtórzył Sam. Skóra zaskrzypiała, gdy wyciągał rewolwer z kabury. Ostrożnie wycelował w falującą zjawę. - Zeskakuj, zanim policzę do trzech. W przeciwnym razie...

- Nie rób tego! - krzyknęła dziewczyna. - Nie zrobię ci krzywdy. Podobnie pozostali! Przybywamy w pokoju!

- Raz - powiedział Sam.

- Sam! - rzuciła Elma.

- Wysłuchaj mnie - nalegała dziewczyna.

- Dwa - oznajmił stanowczo Sam, poprawiając palec na spuście.

- Sam! - krzyknęła Elma.

- Trzy.

- My tylko... - zaczęła dziewczyna.

Rewolwer wypalił.

W blasku słońca śnieg topnieje, kryształki zamieniają się w parę i znikają, po zetknięciu z płomieniami mgiełka zaczyna tańczyć i rozwiewa się. Delikatne przedmioty wrzucone w głąb krateru wulkanu wybuchają ogniem i znikają. W ogniu wystrzału, uderzona rozpaloną kulą, dziewczyna złożyła się niczym miękkiej szal i stopiła jak kryształowa figurka. Wiatr zdmuchnął to, co z niej zostało - drzazgi lodu, płatki śniegu, dym. Ławeczka przy sterze była pusta.

Parkhill schował pistolet, nie patrząc na żonę.

- Sam - powiedziała Elma po chwili, podczas gdy ich pojazd mknął po księżycowym morzu piasku. - Zatrzymaj statek. Obejrzał się na nią, śmiertelnie blady.

- Nic z tego. Nie nabierzesz mnie. Nie po tym wszystkim. Patrzyła na jego dłoń, spoczywającą na kolbie rewolweru.

- Wierzę, że naprawdę byś to zrobił - powiedziała. - Nie zawahałbyś się.

Rozejrzał się gorączkowo, ściskając w palcach rumpel.

- Elma, to szaleństwo. Za chwilę znajdziemy się w mieście. Wszystko będzie dobrze.
- Tak - odparła obojętnie żona, kładąc się na dnie statku.
- Elma, posłuchaj mnie.
- Tu nie ma już czego słuchać, Sam.
- Elma!

Mijali właśnie niewielkie filigranowe miasteczko. Sam, wściekły i sfrustrowany, posłał sześć pocisków w stronę kryształowych wież. Miasto rozpadło się w deszczu odłamków starożytnego szkła i kwarcu. Runęło na ziemię niczym strzaskana mydlana rzeźba. Zniknęło. Roześmiał się, wystrzelił ponownie i jedyna ocalała wieża, ostatnia szachowa figurka, stanęła w płomieniach, a jej szczątki poszybowały ku gwiazdom.

- Pokażę im! Wszystkim pokażę!
- No dalej, pokaż nam, Sam. -Jego żona leżała wśród cieni.
- Oto następne miasto! - Sam przeładował rewolwer. - Patrz, jak je załatwię!

Błękitne widmowe statki płynęły za nimi, zbliżając się z każdą chwilą. Z początku ich nie dostrzegł. Słyszał jedynie świst i wysoki rozdzierający zgrzyt stali na piasku - kile piaskowych statków, tnące dno morza. Czerwone i niebieskie proporce powiewały na wietrze. Na pokładach jasnych, błękitnych okrętów snuły się ciemnoniebieskie cienie ludzi w maskach, ludzi o srebrzystych twarzach, oczach z błękitnych gwiazd, rzeźbionych złotych uszach, policzkach ze srebrnej folii i wysadzanych rubinami wargach; nieznajomych o splecionych ramionach; ścigających go Marsjan.

Jeden, drugi, trzeci. Sam liczył kolejne statki. Marsjanie zbliżali się coraz bardziej.

- Elmo! Nie zdołam powstrzymać ich wszystkich!

Elma nie odpowiadała. Leżała dalej bez ruchu. Sam wystrzelił osiem razy. Jeden ze statków piaskowych rozpadł się na kawałki - szmaragdowy kadłub, żagiel, okucia z brązu, biały jak księżyc ster, wszystkie tkwiące wewnątrz widma. Ludzie w maskach zapadli się w piasek i zniknęli wśród dymu i pomarańczowych płomieni.

Jednakże pozostałe okręty zbliżały się coraz bardziej.

- Sam nie dam rady, Elmo! - krzyknął. - Zabiją mnie!

Zarzucił kotwicę. To nie miało sensu. Żagiel załopotał i opadł z westchnieniem. Statek zamarł. Wiatr ucichł. Wszelki ruch ustał. Mars trwał wokół w milczeniu, podczas gdy majestatyczne żaglowce jego mieszkańców okrężały z wahaniem statek Parkhilla.

- Ziemianinie! - zawołał czyjś głos z wysoka. Srebrzysta maska poruszyła się. Wysadzane

rubinami wargi zamigotały w rytm słów.

-Ja nic nie zrobiłem! - Sam powiódł wzrokiem po otaczającej go setce twarzy. Na Marsie nie zostało zbyt wielu Marsjan - może stu, może stu pięćdziesięciu, większość zaś z nich była teraz tutaj, na martwym morzu, we wskrzeszonych statkach, niedaleko wymarłych rzeźbionych miast, z których jedno rozsypało się właśnie niczym delikatna waza, uderzona kamieniem. Srebrzyste maski błyszczały.

- To była pomyłka! - mówił błagalnie, wychylając się za burtę. Jego żona leżała jak martwa, skulona w najgłębszej ładowni. -Przybyłem na Marsa prowadzić uczciwy interes. Zabrałem z rozbitej rakiety niezbędne materiały i zbudowałem najpiękniejszy bar z hot dogami, jaki można sobie wyobrazić, na samym skrzyżowaniu dróg - zresztą wiecie, gdzie to jest. Musicie przyznać, że odważyłem kawał dobrej roboty. - Roześmiał się, wodząc naokoło wzrokiem. - A potem zjawił się ten Marsjanin. Wiem, że był waszym przyjacielem. Zapewniam was, że jego śmierć to przypadek. Pragnąłem jedynie prowadzić bar z hot dogami, jedyny na Marsie, pierwszy, najważniejszy. Rozumiecie? Zamierzałem podawać tu najlepsze hot dogi z chili, cebulą i sokiem pomarańczowym.

Srebrne maski trwały w bezruchu, płonąc w promieniach księżyców. Lśniące żółte oczy spoglądały na Sama, który poczuł, że żołądek ściska mu się gwałtownie i zaczyna ciążyć jak kamień. Cisnął rewolwer na piasek.

- Poddaję się.

- Podnieś swą broń - powiedzieli Marsjanie chórem.

- Co takiego?

- Twoją broń. - Pokryta klejnotami dłoń machnęła na niego z dziobu błękitnego statku. - Zabierz ją. Schowaj. Z niedowierzaniem podniósł rewolwer.

- A teraz - polecił głos - zawróć statek i wracaj z powrotem do swego baru.

- Od razu?

- Od razu - odparł głos. - Nie zrobimy ci krzywdy. Uciekłeś, zanim zdążyliśmy ci wyjaśnić. Dalej.

* * *

Wielkie statki zawróciły lekko jak osty w promieniach księżyca. Unoszące je skrzydła zagli zatrzepotały niczym klaszczące dłonie. Maski iskrzyły się, obracały, płonęły w mroku.

- Elmo! - Sam obrócił się gwałtownie i wpadł do ładowni. -Wracamy! - Podekscytowany, niemal bełkotał z ulgą. - Nie zrobią mi krzywdy, nie zabiją mnie, Elmo. Wstań, kochanie, wstań!

- Co? Co takiego? - Elma zamrugnęła i podczas gdy statek ponownie żeglował z wiatrem, powoli, niczym we śnie, dźwignęła się na siedzenie i opadła tam ciężko jak worek kamieni, nie

odzywając się więcej.

Piasek ze zgrzytem umykał w tył. Po pół godzinie znaleźli się z powrotem na rozstajach. Okręty stały na kotwicach, wszyscy wysiedli.

Przywódca Marsjan stanął przed Samem i Elmą. Jego twarz skrywała maska wykuta z błyszczącego brązu, oczy były jedynie pustymi szczelinami nieskończonej czerni i błękitu. Ze szpary w miejscu ust wiatr porywał kolejne słowa.

- Przygotujcie swój bar - powiedział głos. Dłoń w diamentowej rękawicy uczyniła drobny gest. - Szykujcie przysmaki, potrawy, obce wina, bowiem dziś mamy wielką noc.

- To znaczy - spytał Sam - że pozwolicie mi tu zostać?

-Tak.

- Nie jesteście na mnie źli?

Maska patrzyła na niego - sztywna, rzeźbiona, chłodna, ślepa.

- Przygotuj swój kram z jadłem - polecił łagodnie głos. -I weź to.

- Co to jest?

Sam mrużąc oczy spojrzał na podany mu zwój srebrzystej folii, na którym tańczyły hieroglificzne figurki węży.

- To akt nadania ziemi, całego terenu od srebrnych gór do błękitnych wzgórz, od martwego słonego morza do odległych szmaragdowych dolin i kryształowych jarów - odparł przywódca.

- D-dla mnie? - zająknął się Sam z niedowierzaniem.

- Dla ciebie.

- Sto tysięcy mil ziemi?

- Dla ciebie.

- Słyszałaś, Elmo?

Elma siedziała na piasku, oparta o aluminiową ścianę baru. Oczy miała zamknięte.

- Ale czemu, czemu mi to dajecie? - spytał Sam, próbując zajrzeć w metalowe szczeliny oczu.

- To jeszcze nie wszystko. Proszę. - Znikąd pojawiło się sześć kolejnych zwojów. Wymieniono nazwy, opisano tereny.

- Ależ to połowa Marsa! Jestem właścicielem połowy Marsa! - Zwoje zagrzechotały w

dłoniach Sama. Machnął nimi przed twarzą Elmy, zanosząc się szaleńczym śmiechem. - Elmo, słyszałaś?

- Słyszałam - odparła w niebo.

Zdawała się na coś czekać. Najwyraźniej powoli wracała jej świadomość.

- Dziękuję wam. Och, dziękuję! - westchnął Sam, zwracając się do maski z brązu.

- Dziś jest ta noc - odparła maska. - Musisz być gotów.

- Będę. To niespodzianka, tak? Czyżby rakiety z Ziemi przybywały wcześniej, niż przypuszczaliśmy? O cały miesiąc wcześniej? Dziesięć tysięcy raket, przywożących osadników, górników, robotników i ich żony? Sto tysięcy ludzi? Czyż to nie cudowne, Elmo? Zobaczysz, mówiłem ci, mówiłem, że nasze miasto nie zawsze będzie liczyło sobie tylko tysiąc mieszkańców. Wkrótce zjawi się pięćdziesiąt tysięcy nowych ludzi, za miesiąc jeszcze sto tysięcy, a pod koniec roku zamieszka tu pięć milionów Ziemiaków. Ja zaś będę właścicielem jedyne go baru z hot dogami, stojącego na najbardziej ruchliwym skrzyżowaniu w okolicy!

Maska szybowała na wietrze.

- Zostawiamy cię już. Szykuj się. Ziemia należy do ciebie.

Stare statki zawróciły w promieniach księżyców, niczym metalowe płatki pradawnych kwiatów, błękitne pióropusze, ogromne kobaltowe motyle, i odplynęły po morzu ruchomych piasków, unosząc z sobą migoczące maski, aż w końcu ostatni promyk światła, ostatni błękitny cień zniknął pośród wzgórz.

- Elmo, dlaczego to zrobili? Czemu mnie nie zabili? Mają nie po kolei w głowach? Co z nimi? Elmo, rozumiesz coś z tego? - Potrząsnął nią mocno. - Jestem właścicielem połowy Marsa!

Patrzyła w nocne niebo, czekając.

- Chodź - polecił. - Musimy się przygotować. Trzeba nastawić parówki, podgrzać bułeczki, zagotować chili, obrać i pokroić cebulę, dosypać przypraw, rozłożyć serwetki, wyszykować cały bar! Hej! - Zatańczył radośnie wokół, wycinając hołubce. - Taki jestem rad! Tak bardzo rad! - zaśpiewał fałszywie. - To mój szczęśliwy dzień!

Zagotował parówki, rozciął bułki, w szalonym tempie pokroił cebulę.

- Pomyśl tylko, Marsjanie wspominali o niespodziance. To może oznaczać tylko jedno, Elmo. Sto tysięcy ludzi przybędzie tu przed terminem, i to właśnie dziś, jeszcze tej nocy! Przeżyjemy prawdziwy najazd! Przez dłuższy czas będziemy pracować po godzinach, obsługując turystów, którzy zechcą zwiedzić okolicę. Pomyśl tylko, Elmo, pomyśl o pieniądzach!

Wszedł na dwór i spojrzał w niebo. Nic nie zobaczył.

- Może za chwilę - rzekł, z rozkoszą wciągając w nozdrza chłodne powietrze i klepiąc się w pierś. - Ach!

Elma nie odpowiedziała. Obierała spokojnie kartofle na frytki, ani na moment nie odrywając wzroku od nieba.

- Sam - powiedziała pół godziny później. - Już jest. Spójrz. Uniósł wzrok i ujrzał ją. Ziemię.

Właśnie wschodziła nad wzgórzami, krągła i zielona niczym piękny szlifowany klejnot.

- Pocziwa stara Ziemia - szepnął czule. - Pocziwa, cudowna Ziemia. Przyślij mi swoich głodnych i spragnionych. Jak szedł ten stary wiersz? Przyślij mi swoich głodnych, stara Ziemi. Sam Parkhill czeka, hot dogi już się grzeją, chili stoi na ogniu, wszystko przygotowane. No dalej, Ziemi, ześlij mi swoje rakiety!

Wszedł do środka, rozglądając się po barze. Cóż za wspaniałe miejsce, doskonale niczym świeżo złożone jajo na dnie martwego morza. Jedyne jądro światła i ciepła pośród setek mil samotnych pustkowi. Bar był niczym serce, bijące cicho w wielkim mrocznym ciele. Poczłł niemal smutek, jednocześnie jednak przyglądał mu się z dumą wilgotnymi oczami.

- Coś takiego uczy człowieka pokory - powiedział, wdychając zapach gotujących się parówek, rozgrzanych bułeczek, świeżutkiego masła. - Zapraszamy! - rzucił pod adresem licznych gwiazd na niebie. - Kto kupuje pierwszy?

- Sam - powiedziała Elma.

Ziemia na czarnym niebie zmieniła się nagle.

Zapłonęła.

Jej część zdawała się rozpadać na miliony kawałków, jakby wybuch rozrucił gigantyczną układankę. Przez minutę wielka kula jarzyła się, ociekając ohydny blaskiem, trzykrotnie większa niż zwykle, po czym zaczęła maleć.

- Co to było? - Sam spoglądał na zielony płomień na niebie.

- Ziemia - odparła Elma, składając dłonie.

- To nie może być Ziemia! To nie Ziemia! Nie Ziemia! Niemożliwe!

- Twierdzisz, że to niemożliwe? - Elma spojrzała na niego. - A zatem to nie Ziemia. Nie, to nie Ziemia; czy to chciałeś powiedzieć?

- Nie Ziemia, och nie, tylko nie to! - zawodził. Stał bez ruchu, z rękami spuszczone po bokach; jego usta otwarły się, oczy patrzyły ślepo naprzód.

- Sam! - Elma zawołała jego imię. Po raz pierwszy od wielu dni jej oczy zabłyśły. - Sam?

Nadal spoglądał w niebo.

- No cóż - westchnęła. Przez chwilę bez słowa wodziła wokół wzrokiem, po czym rezolutnie przewiesiła sobie przez ramię wilgotną ściereczkę. - Zapal więcej świateł, włącz muzykę, otwórz drzwi. Za jakiś milion lat zjawi się tu prawdziwy tłum gości. Musimy być gotowi, o tak.

Sam nawet nie drgnął.

- Co za wspaniałe miejsce na bar z hot dogami - dodała. Sięgnęła do pojemnika, wydobyła z niego wykałaczkę i wsunęła ją między przednie zęby. - Powiem ci coś w sekrecie, Sam - szepnęła, nachylając się do męża. - Wygląda na to, że zapowiada się martwy sezon.

Listopad 2005: Obserwatorzy

Tej nocy wszyscy wyszli na dwór i spojrzeli w niebo. Porzucili swe kolacje, pranie, przebieranie się na wieczorny seans i wybiegli na nie takie już nowe werandy, aby oglądać zieloną gwiazdę Ziemi. Uczynili to zupełnie bezwiednie; tylko po to, by lepiej pojąć nowiny, które usłyszeli przez radio. Oto Ziemia, zagrożona nadchodzącą wojną, a wraz z nią setki tysięcy matek i babek, ojców i braci, ciotek, wujów i kuzynów. Stali zatem na werandach, próbując uwierzyć w istnienie Ziemi, tak jak kiedyś usiłowali uwierzyć w istnienie Marsa. Tym razem stanęli przed podobnym problemem. Praktycznie rzecz biorąc, Ziemia była dla nich martwa. Opuścili ją trzy, cztery lata wcześniej. Przestrzeń kosmiczna działała niczym środek znieczulający. Siedemdziesiąt milionów mil próżni otępiało człowieka, usypiało pamięć, wyludniało Ziemię, zmazywało przeszłość i pozwalało tutejszym ludziom spokojnie pracować dalej. Teraz jednak, właśnie tego wieczoru, martwi powstałi z grobów, na Ziemi zaroilo się od ludzi, wspomnienia powróciły, wymieniono milion imion: jak się dziś miewa taki-a-taki na Ziemi? A ten czy tamten? Ludzie na werandach zerkali na twarze swych towarzyszy.

O dziewiątej Ziemia eksplodowała, stanęła w ogniu i zaczęła płonąć.

Ludzie na werandach unieśli ręce, jakby pragnęli zdusić płomienie.

Czekali.

Do północy ogień zgasł. Ziemia nadal tam była. Z werand dobiegło chóralne westchnienie niczym jesienny wiatr.

- Od dawna nie mieliśmy wiadomości od Harry'ego.

- Na pewno dobrze mu się wiedzie.

- Powinniśmy wysłać list do mamy.

- Nic jej nie jest.

- Naprawdę?

- Nie martw się.

- Jak sądzisz, czy nic jej nie grozi?

- Oczywiście, oczywiście; a teraz chodź do łóżka.

Jednakże nikt się nie poruszył. Gospodynie wyniosły spóźnione kolacje na nocne trawniki, ustawiły je na składanych stolikach i ludzie zabrali się powoli za skubanie jedzenia aż do drugiej nad ranem, kiedy z Ziemi poczęły dochodzić wiadomości świetlne i radiowe. Z łatwością odczytywali

wielkie rozbłyski alfabetu Morse^ odległe niczym światliki:

KONTYNENT AUSTRALIJSKI ZNISZCZONY W PRZEDWCZESNYM WYBUCHU ARSENAŁÓW JĄDROWYCH. LOS ANGELES I LONDYN ZBOMBARDOWANE. WOJNA. WRACAJCIE DO DOMU. WRACAJCIE DO DOMU. WRACAJCIE DO DOMU.

Podnieśli się od stołów.

WRACAJCIE DO DOMU. DO DOMU. DO DOMU.

- Czy miałeś w tym roku wiadomości od twego brata, Teda?

- No wiesz, znaczek na Ziemię kosztuje pięć dolarów, więc nie pisuję zbyt często. WRACAJCIE.

- Zastanawiałem się, co słyhać u Jane; pamiętasz Jane, moją młodszą siostrę?

WRACAJCIE.

O trzeciej nad ranem właściciel sklepu z walizkami uniósł wzrok. Ulicą zbliżała się gromada ludzi.

- Specjalnie zostałem dziś dłużej. Czym mogę panu służyć? O świcie z półek zniknęły ostatnie walizki.

Grudzień 2005: Milczące miasta

Na brzegu martwego marsjańskiego morza wznosiło się białe milczące miasteczko. Było puste. Nic się w nim nie poruszało. Samotne światła całymi dniami płonęły w oknach. Drzwi sklepów stały otworem, jakby ludzie wybiegli, nie używając kluczy. Pisma, miesiąc wcześniej sprowadzone z Ziemi srebrnymi raketami, łopotały nietknięte na milczących stojakach przed drogeriami, zbrązowiały od słońca.

Miasto było martwe. Jego puste łóżka już dawno ostygły. Jedynym dźwiękiem pozostawał pomruk linii elektrycznych i dynam, które nadal jeszcze działały. Woda spływała do zapomnianych wanien, przelewała się do salonów, na werandy i ściekała po grządkach, zasilając zapomniane kwiaty. W ciemnych kinach guma do zucia przyklepiona pod krzesłami zaczęła twardnieć, na zawsze utrwalała odciski zębów.

Niedaleko miasta znajdował się port kosmiczny. W miejscu gdzie ostatnia rakietka wystrzeliła w niebo, w powietrzu nadal unosił się swąd spalenizny. Gdyby wrzucić monetę do teleskopu i wycelować go w Ziemię, być może dałoby się zobaczyć toczącą się tam wielką wojnę, dojrzeć wybuch, niszczący Nowy Jork, i Londyn okryty nowym całunem mgły. Może wówczas dałoby się pojąć, czemu to małe marsjańskie miasteczko zostało porzucone. Jak szybko odbyła się ewakuacja? Wystarczy wejść do któregoś sklepu i nacisnąć przycisk „Zwrot gotówki”. Szufladki kasy otworzą się ze szczękiem, pełne jasnych, brzęczących monet. Wojna na Ziemi musiała być bardzo ciężka...

Pustymi ulicami miasteczka, pogwizdując pod nosem, całkowicie skupiony na kopaniu przed sobą pustej puszką, wędrował wysoki, szczupły mężczyzna. W jego oczach zalegał mrok samotności. Co chwila wsuwał kościste ręce do kieszeni, pobrzękując nowymi dziesiątkami. Od czasu do czasu rzucał monetę na ziemię, śmiał się do siebie powściągliwie i szedł dalej, rozsypując wokół błyszczące miedziaki.

Nazywał się Walter Gripp. Mieszkał daleko na błękitnych marsjańskich wzgórzach, w chacie wzniesionej obok bogatego złoża. Co dwa tygodnie przychodził do miasteczka w nadziei, że spotka w końcu spokojną i mądrą kobietę, którą mógłby poślubić. Przez lata wracał do swej chaty samotny i zawiedziony. Tydzień temu, przybywszy do miasta, odkrył, że jest puste.

Tego dnia zdumiał się tak bardzo, że pobiegł do baru, otworzył szeroko zaplecze i zamówił potrójną kanapkę z wołowiną.

-Jedną chwilkę! - wykrzyknął ze ściereczką na ramieniu.

Zgrabnie pokroił zimne mięso i wczorajszy chleb, odkurzył stolik, zaprosił sam siebie na miejsce i zaczął jeść, póki nie poczuł takiego pragnienia, że musiał poszukać sklepiku z napojami, gdzie zamówił wodę sodową. Sklepikarz, niejaki Walter Gripp, był zdumiewająco uprzejmy. Przygotował nawet syfon specjalnie dla niego!

Napchał kieszenie pieniędzmi, wszystkimi, które tylko mógł znaleźć. Załadował dziecięcy wózek dziesięciodolarówkami i popędził naprzód. Dotarłszy do przedmieść uświadomił sobie nagle, jak okropnie niemądrze się zachowuje. Przecież nie potrzebował pieniędzy. Odniósł banknoty tam, skąd je zabrał, z własnego portfela odliczył dolara, by zapłacić za kanapki, wrzucił go do kasy baru i dodał ćwiartkę napiwku.

Tego wieczoru uraczył się gorącą kąpielą w tureckiej łaźni, soczystym filetem z pachnącymi grzybami, importowaną wytrawną sherry i truskawkami w winnej zalewie. Dobrał też sobie nowy garnitur z błękitnej flaneli i szary kapelusz, który siedział na jego wąskiej głowie pod osobliwym kątem. Wsunął pieniądze do szafy grającej i wybrał „Naszą starą paczkę”. Powrzucał miedziaki do dwudziestu szaf w całym mieście. Samotne nocne ulice rozbrzmiewały smutną melodią „Naszej starej paczki”, podczas gdy on, wysoki, szczupły i samotny, wędrował wokół bez celu. Jego nowe buty uderzały lekko o ziemię, zmarznięte ręce tkwiły w kieszeniach.

Od tego dnia minął tydzień. Walter sypiał w przytulnym domu na Mars Avenue, wstawał co rano o dziewiątej, brał kąpiel i wędrował do miasta na porcję jajek na szynce. Każdego ranka zamrażał tonę mięsa, warzyw i cytrynowych kremówek - dostatecznie dużo, by starczyło na dziesięć lat, póki z Ziemi nie wrócą rakiety. Jeśli w ogóle przylecą.

Tego wieczoru wałęsał się bez celu, oglądając stojące na barwnych wystawach woskowe kobiety, piękne i różowe. Po raz pierwszy zrozumiał, jak martwe jest miasto. Nalał sobie kufel piwa i zapłakał.

- Boże - westchnął. - Jestem zupełnie sam.

Wszedł do kina „Elitę”, aby puścić sobie film, oderwać myśli od własnej izolacji. Kino było puste i głucho niczym grób. Po wielkim ekranie pełzały szaroczarne widma. Drżąc cały, umknął pospiesznie z nawiedzonego miejsca.

Uznawszy, że czas wracać do domu, maszerował dziarsko środkiem bocznej uliczki, gdy nagle usłyszał dzwonek telefonu.

Zaczął nasłuchiwać.

- Telefon.

Ruszył naprzód, energicznie stawiając kroki.

- Ktoś powinien odebrać - zastanawiał się. Z roztargnieniem usiadł na krawężniku, aby wytrząsnąć z buta kamyk.

- Ktoś! - krzyknął, zrywając się na równe nogi. - Ja! Mój Boże, co się ze mną dzieje? - wrzasnął, zawracając na pięcie. - Który to dom? Ten!

Popędził przez trawnik, po schodkach do domu, w głąb mrocznego przedsionka.

Szarpnął słuchawkę. ,

- Halo! - krzyknął. Buuuuuu.

- Halo! Słucham! Rozmówca już się rozłączył.

- Halo! - ryknął, odrzucając telefon.

- Ty idioto! - krzyknął do siebie. - Siedziałeś jak kretyn na krawężniku! Ty przeklęty durniu! - Ścisnął rękami telefon. - No dalej, zadzwoń jeszcze! Dalej!

Nigdy nie sądził, że na Marsie mógł zostać ktoś jeszcze. Przez cały tydzień nie widział nikogo. Uznał, że wszystkie inne miasta były równie puste jak to.

Teraz, wpatrując się w straszliwy czarny telefon, zadrżał. Wszystkie osady na Marsie miały wspólny system łączności, ale z którego z trzydziestu miast dzwoniono?

Nie wiedział.

Czekał. Przeszedł do obcej kuchni, rozmroził porcję czarnych jagód i zjadł je, niepokieszony.

- Po drugiej stronie nie było nikogo - mruknął. - Może gdzieś po drodze złamał się słup i telefon zadzwonił sam z siebie?

Ale czyż nie usłyszał szczęku, co oznaczało, że ktoś w dali odłożył słuchawkę?

Resztę nocy spędził w przedsionku.

- Nie z powodu telefonu - upierał się. - Po prostu nie mam nic lepszego do roboty.

Słuchał cichego tykania zegarka.

- Ona już nie zadzwoni - rzekł. - Nie wykręci ponownie numeru, który nie odpowiedział. Zapewne w tej chwili sprawdza inne domy w miasteczku, a ja siedzę tutaj. Chwileczkę! Czemu właściwie mówię „ona”?

Zamrugął.

- Równie dobrze to mógłby być on.

Jego serce zaczęło bić coraz wolniej. Ogarnął go chłód; czuł w sobie przejmującą pustkę.

Bardzo pragnął, aby to była ona.

Wyszedł z domu i stanął pośrodku ulicy, skąpanej w mętnym blasku przedświtu.

Nasłuchiwał. Nic. Żadnych ptaków ani samochodów, jedynie bicie jego serca. Uderzenie, przerwa i znów. Twarz miał tak napiętą, że aż bolała. Wiatr dmuchał łagodnie, tak bardzo łagodnie, poruszając jego płaszczem.

- Ciiii - szepnął. - Słuchaj.

Obracał się powoli, przenosząc wzrok z jednego milczącego domu na następny.

Będzie dzwoniła pod kolejne numery, pomyślał. To musi być kobieta. Dlaczego? Tylko kobieta mogłaby wpaść na taki pomysł z telefonem. Nie mężczyzna. Mężczyźni są niezależni. Czyja do kogokolwiek dzwoniłem? Nie! Nawet o tym nie pomyślałem. To musi być kobieta. Musi, na Boga!

Słuchaj.

W oddali, pod gwiazdami, zadzwonił telefon.

Walter pobiegł. Zatrzymał się, nasłuchując. Dzwonek zaterkotał cicho. Mężczyzna znów przebiegł parę kroków. Głośniej! Popędził alejką. Jeszcze głośniej! Minał sześć domów, kolejnych sześć. Znacznie głośniej! Wybrał kamienicę - i odkrył, że drzwi są zamknięte.

Telefon w środku dzwonił.

- Niech cię diabli! - szarpnął gałkę.

Aparat krzyczał.

Cisnął stojącym na werandzie krzesłem w okno salonu i wskoczył do środka.

Zanim dotarł do stolika, telefon umilkł.

Wówczas Walter wpadł w szal. Zaczął rozbijać zwierciadła, zdzierać zasłony, kopać zimną kuchenkę.

Wreszcie wyczerpany podniósł cienki spis wszystkich telefonów na Marsie. Pięćdziesiąt tysięcy numerów.

Zaczął od pierwszego.

Amelia Ames. Wybrał numer w Nowym Chicago, sto mil dalej, po drugiej stronie martwego morza.

Nikt nie odpowiedział.

Numer dwa mieszkał w Nowym Nowym Jorku, pięć tysięcy mil za błękitnymi górami.

Brak odpowiedzi.

Wykręcił trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem numerów. Jego palce drżały tak mocno, że nie mógł utrzymać słuchawki.

- Halo? - odezwał się kobiecy głos. Walter krzyknął gwałtownie:

- Halo? O Boże, halo!

- Tu automatyczna sekretarka - recytował głos w słuchawce. - Panny Helen Arasumian nie ma w domu. Proszę nagrać wiadomość na taśmę, by mogła odpowiedzieć, gdy wróci. Halo? Tu automatyczna sekretarka. Panny Helen Arasumian nie ma w domu. Proszę nagrać wiadomość...

Odłożył słuchawkę.

Przez chwilę siedział bez ruchu, jego wargi drżały.

Po namyśle raz jeszcze wybrał ten sam numer.

- Kiedy panna Helen Arasumian wróci - rzekł - powiedz jej, żeby poszła do diabła.

* * *

Dzwonił do central w Mars Junction, Nowej Arkadii i Roosevelt City, uznawszy, że logicznie rzecz biorąc, ktoś, kto chciałby dzwonić, powinien pójść właśnie tam. Potem zaczął wybierać numery ratuszy i innych instytucji publicznych. Wydzwaniał do najlepszych hoteli. Kobieta na pewno zechce zamieszkać w luksusie.

Nagle zamarł, klasnął głośno i roześmiał się. Oczywiście! Zajrzał do spisu i wykreślił numer największego salonu kosmetycznego w Nowym Texas City. Jeśli istniało miejsce, gdzie kobieta zatrzyma się na dłużej, nakładając na twarz maseczki z błota i siedząc pod suszarką, z pewnością był to lśniący jak klejnot, aksamitnie miękki salon piękności.

Telefon zadzwonił. Ktoś.-z drugiej strony podniósł słuchawkę.

Kobięcy głos rzekł:

- Halo?

-Jeśli to nagranie - oznajmił Walter Gripp - przyjadę tam i rozwalę ten lokal.

- To nie jest nagranie - oznajmił głos kobiety. - Halo? Och, halo, więc jednak ktoś żyje! Gdzie jesteś? - krzyknęła radośnie. Walter o mało nie zemdlał.

- To ty! - zerwał się z miejsca, wodząc wokół oszalałym wzrokiem. - Dobry Boże, co za szczęście! Jak się nazywasz?

- Genevieve Selsor - wyszłochwała do słuchawki. - Och, tak się cieszę, że cię słyszę, kimkolwiek jesteś!

- Nazywam się Walter Gripp.

- Cześć, Walterze!

- Cześć, Genevieve!

- Walter, jakie ładne imię. Walter, Walter!

- Dziękuję.

- Walterze, gdzie jesteś? - Jej głos był taki miły, słodki i łagodny. Walter przyciskał słuchawkę do ucha, tak by mogła szeptać do niego czule. Miał wrażenie, że wlatuje nad posadzkę. Jego policzki płonęły.

-Jestem w Marlin Yillage - rzekł. -Ja... Buuuuuu.

- Halo? - rzucił. Buuuuuu.

Nacisnął widełki. Nic.

Gdzieś wiatr musiał wywrócić słup. Genevieve Selsor zniknęła równie szybko, jak się pojawiła.

Ponownie wykręcił numer, ale nie usłyszał żadnego sygnału.

- Przynajmniej wiem, gdzie jest. - Wybiegł z domu. Dniało już, gdy wycofywał samochód z obcego garażu, wypełniał jego tylne siedzenie prowiantem z domu i ruszał w drogę, pędząc osiemdziesiąt mil na godzinę trasą prowadzącą do Nowego Texas City. Tysiąc mil, pomyślał. Genevieve Selsor, czekaj spokojnie, jeszcze o mnie usłyszysz.

Na każdym zakręcie naciskał klakson.

O zachodzie słońca, po niewiarygodnym dniu szaleńczej jazdy, zjechał na pobocze, zrzucił ciasne buty, rozciągnął się na siedzeniu i zsunął szary kapelusz na znużone oczy. Po chwili jego oddech stał się miarowy, regularny. Na zewnątrz dał wiatr, gwiazdy świeciły łagodnie na ciemniejącym niebie. W dali, na błękitnych wzgórzach połyskiwały iglice maleńkiego marsjańskiego miasteczka, nie większego niż zwykła szachownica.

Walter leżał pogrążony w półśnie, półjawie. Szepnął:

- Genevieve! „O Genevieve, ma Genevieve” - zaśpiewał cicho - „upływa życie, płynie czas, lecz Genevieve, ma Genevie-ve...” - Nagle zrobiło mu się ciepło. Słyszał w głowie jej cichy słodki głos, nucący: „Halo, och, halo, Walterze! To nie jest nagranie. Gdzie jesteś, Walterze, gdzie jesteś?”

Westchnął, wyciągając rękę, aby dotknąć jej w blasku księżyców. Długie ciemne włosy, falujące na wietrze; naprawdę piękne. Usta jak dwie czerwone marmoladki. Policzki aksamitne niczym świeże wilgotne róże. I ciało, zwiewna przejrzysta mgiełka. Słodki głos zawodził, powtarzając raz po raz słowa starej, smutnej piosenki: „O, Genevieve, ma Genevieve, upływa życie, płynie czas...”

Zasnął.

O północy dotarł do Nowego Texas City.

Zahamował z wrzaskiem przed Luksusowym Salonem Piękności.

Spodziewał się, że wybiegnie ku niemu w obłoku perfum, roześmiana.

Nic się nie stało.

- Pewnie śpi. - Podeszedł do drzwi. -Jestem! - zawołał. - Witaj, Genevieve!

Miasteczko drzemało w blasku dwóch księżyców, pogrążone w ciszy. Gdzieś daleko wiatr łopotał płócienną markizą.

Walter otworzył szeroko szklane drzwi i wszedł do środka.

- Hej! - Zaśmiał się niespokojnie. - Nie chowaj się! Wiem, że tu jesteś!

Przeszukał każdą kabinę.

Na podłodze znalazł maleńką chusteczkę do nosa. Pachniała tak pięknie, że o mało nie stracił równowagi.

- Genevieve - westchnął.

Wsiadł do samochodu i zaczął krążyć po pustych ulicach. Nic jednak nie dostrzegł.

-Jeśli to jakiś żart... Zwolnił.

- Chwileczkę. Rozłączyło nas. Może ona pojechała do Mar-lin Yillage, podczas gdy ja zmierzałem tutaj? Pewnie wolała stary morski szlak i minęliśmy się w ciągu dnia. Skąd mogła wiedzieć, że przybędę do niej? Nic takiego nie mówiłem. Kiedy telefon ucichł, przeraziła się tak bardzo, że pospieszyła do Marlin Yillage, aby mnie odszukać! Tymczasem ja przyjechałem tutaj. Na Boga, jakież ze mnie głupiec!

Naciskając klakson, wyprysnął z miasta.

Jechał całą noc. Co będzie, jeśli po przyjeździe nie zastanę jej? - zastanawiał się.

Wolał nawet o tym nie myśleć. Musi tam być! On zaś podbiegnie do niej, obejmie i może nawet pocałuje w usta.

„O Genevieve, ma Genevieve", zagwizdał, przyspieszając do stu mil na godzinę.

* * *

O świcie Marlin Yillage była cicha i spokojna. W kilkunastu sklepach nadał płonęły żółte

światła. Szafa grająca, od stu godzin odtwarzająca tę samą melodię, ucichła wreszcie z trzaskiem, ustępując miejsca ciszy. Słońce rozgrzewało ulice oraz chłodne puste niebo.

Walter skręcił w Main Street, nie gasząc reflektorów. Zatrąbił sześć razy na jednym rogu, kolejne sześć na drugim. Zerkał na szyldy mijanych sklepów. Jego twarz była blada i zmęczona, ręce ślizgały się po mokrej od potu kierownicy.

- Genevieve! - nawoływał na pustych ulicach. Drzwi salonu piękności otwały się gwałtownie.

- Genevieve! - zatrzymał samochód.

Genevieve Selsor stała w otwartym wejściu salonu, podczas gdy on biegł ku niej. W ramionach tuliła pudełko czekoladek. Palce, ściskające bombonierkę, były pulchne i blade. Wbiegając w plamę światła, Walter ujrzał jej twarz, krągłą i otyłą. Jej oczy przypominały dwa wielkie jajka, wetknięte w biały krąg chlebowego ciasta. Nogi miała grube jak pnie drzew; poruszała się, szurając nimi niewdzięcznie. Brązowe włosy o nieokreślonym odcieniu uczesała na kształt ptasiego gniazda. W ogóle nie miała warg; zrekompensowała to sobie, malując wokół nich wielkie, tłuste, czerwone usta, które to otwierały się z zachwytem, to znów zamykały z lękiem. Wyskubane brwi tworzyły cieniutką linię.

Walter zatrzymał się. Jego uśmiech zniknął. Stał bez ruchu, przyglądając się jej.

Nieznajoma upuściła bombonierkę na chodnik.

- Czy ty jesteś Genevieve Selsor? - Dzwoniło mu w uszach.

- A ty Walter Griff?

- Gripp.

- Gripp - poprawiła się.

-Jak się miewasz? - spytał opanowanym tonem.

-Jak się miewasz? - uścisnęła mu dłoń.

Jej palce lepiły się od czekolady.

* * *

- Cóż... - rzucił Walter Gripp.

- Co takiego? - spytała Genevieve Selsor.

- Powiedziałem tylko „cóż” - odparł Walter.

- Ach tak.

Była dziewiąta wieczór. Przez cały dzień spacerowali po mieście. Na kolację przyrządził filet mignon, który jej nie smakował, bowiem był zbyt krwisty, toteż Walter przypiekł go bardziej i teraz okazał się zanadto wysmażony.

- Obejrzyjmy film! - zaproponował ze śmiechem.

Zgodziła się, obejmując poplamionymi czekoladą palcami jego łokieć. Jednakże interesowała ją jedynie film z Clarkiem Gable sprzed pięćdziesięciu lat.

- Czyż nie jest zabójczy? - zachichotała. - No powiedz, nie jest zabójczy?

Film dobiegł końca.

- Puść go jeszcze raz - poleciła.

-Jeszcze? - spytał.

-Jeszcze - odparła.

A kiedy wrócił, przytuliła się do niego, obmacując go lepкими rękami.

- Wyobrażałam sobie ciebie nieco inaczej, ale jesteś całkiem miły - przyznała.

- Dzięki - odparł, przełykając ślinę.

- Och, ten Gable! - westchnęła i uszczypnęła go w nogę.

- Au! - krzyknął.

Po filmie ruszyli milczącymi ulicami po zakupy. Stłukła szybę wystawową i wyciągnęła z niej najjaskrawszą sukienkę, jaką tylko zdołała znaleźć. Wylała też sobie na głowę całą butelkę perfum, tak że wyglądała jak zmokły owczarek.

- Ile masz lat? - spytał.

- Zgadnij. - Ociekając perfumami, poprowadziła go naprzód.

- Trzydzieści - rzucił.

- Też mi! - odparła zimno. - Tylko dwadzieścia siedem. Wypraszam sobie!

- O, kolejna cukiernia! - zawołała po chwili. - Szczerze mówiąc, od czasu kiedy to wszystko wybuchło, miałam rajskie życie. Nigdy nie lubiłam rodziny. Byli głupi. Odlecieli na Ziemię dwa miesiące temu. Miałam lecieć za nimi ostatnią rakieta, ale zostałam. A wiesz, dlaczego?

- Dlaczego?

- Bo wszyscy mieli do mnie pretensje. Teraz przynajmniej mogę przez cały dzień zlewać się perfumami, popijać piwo słodowe i zajadać cukierki. I nikt mi nie powie: „Uważaj, to ma zbyt wiele kalorii”. I oto jestem.

- Oto jesteś. - Walter przymknął oczy.

- Robi się późno - zagadnęła, patrząc na niego.

- Owszem.

- Jestem zmęczona - rzekła.

- To dziwne. Ja czuję się świetnie.

- Och! - westchnęła.

- Mam ochotę nie kłaść się przez całą noc - ciągnął dalej. - U Mike'a znalazłem naprawdę świetną płytę. Chodź, puszczone ci ją.

- Jestem zmęczona. - Zerknęła na niego jasnymi przebiegłymi oczami.

- A ja nie - odparł. - Dziwne.

- Chodź ze mną do salonu - poprosiła. - Chcę ci coś pokazać.

Poprowadziła go przez szklane drzwi do leżącego na środku wielkiego białego pudełka.

- Kiedy wyjechałam z Texas City, zabrałam to ze sobą. - Rozwiązała różową kokardkę. - No cóż, skoro jestem jedyną kobietą na Marsie, a tam czekał na mnie jedyny mężczyzna... - Uniosła pokrywkę i rozłożyła szeleszczącą warstwę cienkiej różowej bibułki. Poklepała materiał. - Proszę.

Walter Gripp patrzył bez słowa na zawartość pudełka.

- Co to jest? - spytał w końcu, wstrząsany dreszczem.

- Nie wiesz, głuptasie? Najbielsze koronki, delikatne i w ogóle.

- Nie, nie mam pojęcia co to.

- Niemądry! To suknia ślubna.

- Naprawdę? - wychrypiał.

Zamknął oczy. Jej głos był nadal słodki i melodyjny, tak jak wtedy przez telefon. Kiedy jednak uniósł powieki i spojrzał na nią, cofnął się o krok.

- Bardzo ładna - rzekł.

- Prawda?

- Genevieve... - Obejrzał się na drzwi.

-Tak?

- Genevieve, muszę ci coś powiedzieć.

- Tak? - Popłynęła ku niemu; jej puciołowatą twarz otaczał gęsty obłok perfum.

- Chciałem jedynie rzec... - zaczął.

-Tak?

- Żegnaj!

I zanim zdążyła krzyknąć, wypadł za drzwi i wskoczył do samochodu.

Pobiegła za nim, stając przy krawężniku, podczas gdy on zawracał swój wóz.

- Walterze Griff, wracaj tu! - zawodziła, wymachując rękami.

- Gripp! - poprawił ją.

- Gripp! - wrzasnęła.

Samochód popędził milczącą ulicą, nie zważając na wrzaski i tupanie dziewczyny. Podmuchi spalin zaszeleścił białą sukienką, którą ścisnęła w swych pulchnych rękach. Gwiazdy świeciły jasno, gdy samochód zniknął w głębi pustyni, pogrążając się w ciemności.

* * *

Jechał bez przerwy przez trzy dni i trzy noce. Raz wydało mu się, że ściga go jakiś samochód. Złany potem, dygocząc, skręcił na kolejny szlak, przemierzając samotne pustynie Marsa, mijając niewielkie martwe miasta; jechał tak i jechał przez tydzień i jeden dzień, póki w końcu od Marlin Yillage nie dzieliło go dziesięć tysięcy mil. Wówczas zatrzymał się w małym miasteczku Holtville Springs, gdzie znalazł kilka sklepików, w których mógł nocą zapalać światła, i restauracje, gdzie można siedzieć, zamawiając posiłki. Odtąd zamieszkał tam, zaopatrzonej w dwie zamrażarki pełne jedzenia, które mogło starczyć mu na sto lat, i zapas cygar na dziesięć tysięcy dni oraz solidne łóżko z miękkim materacem. A kiedy od czasu do czasu w ciągu tych długich lat odzywa się telefon, Walter nie podnosi słuchawki.

Kwiecień 2026: Długie lata

Gdy tylko na niebie zrywał się wiatr, mężczyzna zasiadał wraz ze swą rodziną w kamiennym domu, ogrzewając ręce nad ogniem z płonących szczap. Wiatr kołysał wodami kanału i niemal zdmuchiwał gwiazdy z nieba, jednakże pan Hathaway z ukontentowaniem tkwił w fotelu, rozmawiając z żoną; żona mówiła coś cicho, a on opowiadał swym dwóm córkom i synowi o dawnych czasach na Ziemi, ci zaś słuchali uprzejmie.

Od wielkiej wojny minęło dwadzieścia lat. Mars pozostał pusty jak grobowiec. Hathaway i jego rodzina często zastanawiali się podczas długich marsjańskich wieczorów, czy Ziemia także jest martwa.

Tej nocy nad niskimi marsjańskimi cmentarzami przeszła gwałtowna piaskowa burza, atakująca starożytne miasta i rozdzierająca plastikowe ściany nowszych amerykańskich osad, które, porzucone, rozsypywały się w proch.

Kiedy burza odeszła, Hathaway wyszedł na dwór, aby obejrzeć Ziemię, płonąca zielonym blaskiem na wietrznym niebie. Uniósł rękę jak ktoś, kto chce poprawić ledwie żarzącą się żarówkę na suficie mrocznego pokoju. Spojrzał w dal na równinne dna dawno wyschłych mórz. Na całej planecie nie ma ani jednej żywej duszy, pomyślał. Oprócz mnie. I ich. Obejrzał się w stronę kamiennego domku.

Co działo się teraz na Ziemi? Przez trzydziestocalowy teleskop nie dostrzegął jakichkolwiek zmian w jej wyglądzie. No cóż, pomyślał, jeśli zachowam ostrożność, pożyję jeszcze jakieś dwadzieścia lat. Może ktoś przybędzie - z drugiej strony martwego morza albo z przestrzeni, rakieta na cieniutkiej niteczce czerwonego ognia.

- Przejdę się trochę! - zawołał w stronę domu.

- W porządku! - odparła jego żona.

Wędrował bezszelestnie pomiędzy ruinami. Przechodząc obok kawałka metalu, przeczytał napis „Made in New York”. Wszystkie rzeczy z Ziemi wkrótce znikną i pozostaną jedynie stare marsjańskie miasta. Zerknął w stronę przycupniętej wśród błękitnych gór wioski, liczącej sobie pięćdziesiąt stuleci.

W końcu dotarł do samotnego marsjańskiego cmentarza, szeregów sześciokątnych kamiennych płyt na smaganym samotnym wiatrem zboczu.

Przystanął, spoglądając na cztery groby, oznaczone niezgrabnymi drewnianymi krzyżami, na których wyryto imiona. Nie zapłakał; jego łzy wyschły już dawno temu.

- Czy wybaczyście mi to, co zrobiłem? - spytał, zwracając się do krzyży. - Byłem taki samotny. Rozumiecie mnie, prawda?

Wrócił do kamiennego domku i raz jeszcze, tuż przed wejściem do środka, osłaniając oczy przebiegł wzrokiem czarną kopułę nieba.

- Wciąż tylko czekasz, czekasz i szukasz - rzekł - by wreszcie którejś nocy...

Na niebie zapłonęła maleńka czerwona iskra.

Cofnął się, wychodząc z kręgu światła, padającego z wnętrza domu.

- ...a potem znów zaczynasz szukać - szepnęła. Czerwona iskierka nadal tam była.

- Nie zauważyłem jej zeszłej nocy - powiedział szeptem. Potknął się i upadł, natychmiast jednak zerwał się z ziemi, pobiegł za dom, wykręcił teleskop i wycelował go w niebo.

W minutę później stanął w niskich drzwiach domu. Żona, dwie córki i syn zwrócili się ku niemu. Dopiero po chwili odzyskał głos.

- Mam dobrą nowinę - rzeki. - Spojrzałem w niebo. Przybywa rakieta, aby zabrać nas wszystkich do domu. Rankiem już tu będzie.

Opuścił ręce, ukrył twarz w dłoniach i cicho zapłakał.

O trzeciej nad ranem spalił to, co zostało z Nowego Nowego Jorku.

Zabrał pochodnię, od czasu do czasu przytykając ją do murów plastikowego miasta. Ogień rozkwitł wielkimi falami gorąca i światła. Kwadratowa mila iluminacji, dostatecznie wielka, by móc dostrzec ją z przestrzeni kosmicznej... Wezwie tu raketę na spotkanie z panem Hathawayem i rodziną.

Jego serce zatrzepotało nagle z bólu. Pospiesznie wrócił do domu.

- Widzicie? - uniósł do światła zakurzoną butelkę. - Wino! Zachowałem je specjalnie na dzisiejszy wieczór. Wiedziałem, że kiedyś ktoś nas odnajdzie. Napijmy się, aby to uczcić.

Nalał do pełna pięć kieliszków.

- Minęło tak wiele czasu - stwierdził, wpatrując się z powagą w swój trunek. - Pamiętacie ten dzień, kiedy wybuchła wojna? Dwadzieścia lat i siedem miesięcy temu. Wszystkie rakiety z Marsa powróciły na Ziemię, zaś ty, ja i dzieci wałęsaliśmy się wówczas po górach, zajęci wykopaliskami, badaniami dotyczącymi pradawnych technik chirurgicznych Marsjan. Pamiętacie, jak ruszyliśmy do domu? Niemal zajeździliśmy konie na śmierć, a jednak dotarliśmy do miasta o tydzień za późno. Wszyscy już odeszli. Ameryka została zniszczona; rakiety odleciały, nie czekając na spóźnialskich. Pamiętacie to, pamiętacie? A potem okazało się, że zostaliśmy tylko my. Boże, jak szybko płynie czas. Nie zniósłbym tego bez was wszystkich. Gdyby nie wy, zabiłbym się, ale przy was warto było czekać. Wasze zdrowie. - Uniósł kieliszek. - Za nasze długie wspólne oczekiwanie. - Wypił.

Żona, dwie córki i syn także unieśli kielichy do ust.

Po podbródkach całej czwórki pociekło wino.

Rankiem z miasta unosiły się tumany wielkich czarnych płatków. Wiatr pędził je przez dno suchego morza. Ogień już zgasł, jednakże wykonał swe zadanie. Czarny punkcik na niebie powiększył się.

Z kamiennego domku dobiegał korzenny zapach świeżych pierników. Kiedy Hathaway wszedł do środka, jego żona stała przy stole, ustawiając gorące formy z ciastem. Dwie córki cicho zamyślały sztywnymi miotłami nagą kamienną posadzkę. Syn polerował srebra.

- Przygotujemy im wielkie śniadanie - roześmiał się Hathaway. - Załóżcie najlepsze ubrania.

Pospieszył do wielkiego blaszanego magazynu. Wewnątrz znajdowała się chłodnia i generator, który naprawił i przywrócił do życia swymi zręcznymi, nawykłymi do napraw palcami, tak jak przez lata reperował w wolnym czasie zegarki, telefony i magnetofony. Szopa była pełna jego konstrukcji, od prozaicznych urządzeń, po bezsensowne mechanizmy, których przeznaczenia on sam nie potrafił odgadnąć, kiedy teraz spoglądał na nie z góry.

Z zakamarka chłodni wyjął oszronione pudełka fasoli i truskawek, liczące sobie dwadzieścia lat. Wystąpił, Łazarzu, pomyślał, dołączając do nich zamrożone kurczę.

Kiedy rakieta wylądowała, w powietrzu unosiła się cała gama kuchennych zapachów.

Hathawa jak chłopiec popędził w dół wzgórza. Raz jeden zatrzymał się po drodze, czując nagły ból w piersi. Usiadł na kamieniu, aby złapać oddech, po czym przebiegł całą resztę drogi.

Wreszcie stanął, czując na twarzy gorąco rozpalonej rakiety. Otworzył się właz. Wyrzwał z niego mężczyzna.

Hathaway, osłaniając oczy, patrzył na niego przez chwilę. W końcu rzekł:

- Kapitan Wilder!

- Kto to? - spytał kapitan Wilder i zeskakując na piasek, stanął naprzeciw starego człowieka. Wyciągnął do niego rękę.

- Dobry Boże! To przecież Hathaway!

- Zgadza się. Badali się wzrokiem.

- Hathaway z mojej starej załogi, jeszcze z czwartej wyprawy.

- Wiele czasu minęło, kapitanie.

- Zbyt wiele. Dobrze znów cię widzieć.

- Jestem stary - odparł z prostotą Hathaway.

-Ja też nie młodziej. Ostatnich dwadzieścia lat spędziłem w drodze na Jowisza, Saturna i Neptuna.

- Słyszałem, że dali panu kopa w górę, aby nie mieszał się pan w politykę kolonialną tu, na Marsie. - Stary człowiek rozejrzył się. - Nie było pana tak długo, że nie wie pan nawet, co się stało.

- Mogę się domyślić - odparł Wilder. - Dwukrotnie okrążyliśmy Marsa i znaleźliśmy tylko jednego żywego człowieka. Niejakiego Waltera Grippa, jakieś dziesięć tysięcy mil stąd. Zaproponowaliśmy, że zabierzemy go ze sobą, ale odmówił. Kiedy widziałem go po raz ostatni, siedział pośrodku drogi w fotelu na biegunach, paląc fajkę i machając nam na pożegnanie. Praktycznie rzecz biorąc, Mars jest martwy. Nawet Marsjanie odeszli. A co z Ziemią?

- Wie pan tyle co ja. Od czasu do czasu odbieram sygnały radiowe, bardzo słabe, ale zawsze nadają w obcym języku. Wstyd przyznać, lecz znam tylko łacinę. Docierają do mnie jedynie urywki zdań. Mam wrażenie, że większa część Ziemi legła w gruzach, jednakże wojna trwa dalej. Zamierza pan wrócić, kapitanie?

- Tak. Oczywiście jesteśmy ciekawi. Byliśmy zbyt daleko, by utrzymywać łączność. Chcemy zobaczyć Ziemię - nieważne, co się tam dzieje.

- Zabierzecie nas ze sobą?

Kapitan wzdrygnął się lekko zdumiony.

- Ach, tak. Oczywiście. Pańska żona. Pamiętam ją. Dwadzieścia pięć lat temu, prawda? Kiedy otwarto Pierwsze Miasto, a pan zrezygnował ze służby i sprowadził ją tutaj. Zdaje się, że mieliście też dzieci?

- Troje. Syna i dwie córki.

- Tak, przypominam sobie. Są tutaj?

- W naszym domku na wzgórzu. Czeka tam też na was porządne śniadanie. Przyjdziecie?

- Będziemy zaszczyceni, panie Hathaway. - Kapitan Wilder odwrócił się do rakiety. - Wszyscy na ląd!

* * *

Hathaway i kapitan Wilder ruszyli w górę zbocza; dwudziestu członków załogi podążało w ślad za nimi. Oddychali głęboko rzadkim porannym powietrzem. Słońce już wzeszło; zapowiadał się piękny dzień.

- Pamięta pan Spendera, kapitanie?

- Nigdy go nie zapomniałem.

- Mniej więcej raz do roku odwiedzam jego grób. Wygląda na to, że ostatecznie postawił na swoim. Nie chciał, abyśmy tu przybywali, i teraz, kiedy wszyscy odeszli, zapewne jest szczęśliwy.

- Co z... jak on się nazywał? - Parkhillem, Samem Parkhillem?

- Otworzył bar z hot dogami.

- To do niego podobne.

- Wrócił na Ziemię w tydzień później, aby wziąć udział w wojnie. - Hathaway przycisnął dłoń do piersi i usiadł gwałtownie na głazie. - Przykro mi, wszystko przez to podniecenie. Nasze spotkanie bardzo mnie poruszyło. Po tylu latach! Muszę odpocząć. - Czuł szaleńcze bicie serca. Zaczął liczyć uderzenia. Nie było dobrze.

- Mamy ze sobą lekarza - oznajmił Wilder. - Wybacz, Hathaway, wiem, że też jesteś doktorem, ale lepiej, żeby zbadał cię ktoś jeszcze.

Wezwano lekarza.

- Nic mi nie będzie - upierał się Hathaway. - To wszystko przez czekanie i podniecenie. - Ledwo mógł oddychać. Jego wargi posiniały. - Wie pan - rzekł, gdy doktor przyłożył mu stetoskop do piersi - zupełnie jakbym trzymał się życia przez te wszystkie lata tylko dla tego jednego dnia. Teraz, kiedy zjawił się pan, aby zabrać mnie na Ziemię, mogę już położyć się i odejść.

- Proszę. - Lekarz podał mu żółtą pigułkę. - Powinien pan odpocząć.

- Bzdura. Posiedzę tylko przez chwilę. Dobrze jest widzieć was wszystkich, usłyszeć nowe głosy.

- Czy lekarstwo działa?

- Znakomicie. No, idziemy. Podjęli przerwana wędrowkę.

* * *

- Alice, chodź, zobacz kto przyjechał! Hathaway zmarszczył brwi i nachylił się lekko.

- Alice, słyszałaś?

Jego żona stanęła w drzwiach. W chwilę później pojawiły się dwie wysokie córki, a za nimi jeszcze wyższy syn.

- Alice, pamiętasz kapitana Wildera?

Kobieta zawahała się i zerknęła na Hathawaya jakby prosząc o instrukcje, po czym uśmiechnęła się nagle.

- Naturalnie! Kapitan Wilder!

- Przypominam sobie, że jedliśmy razem kolację tuż przed moim odlotem na Jowisza, pani Hathaway. Energicznie uścisnęła jego dłoń.

- Moje córki, Marguerite i Susan. Mój syn, John. Z pewnością pamiętacie kapitana Wildera.

Wymieniono uściski rąk. Wokół rozległy się śmiechy i rozmowy.

Kapitan Wilder zaczął węszyć głośno.

- Czy to piernik?

- Ma pan ochotę?

Wszyscy zakrzętnęli się wokoło. Wkrótce rozstawiono składane stoliki i ułożono na nich talerze, półmiski z gorącym jedzeniem, srebrne sztucce i cienkie batystowe serwetki.

Kapitan Wilder stał bez ruchu, obserwując najpierw panią Hathaway, a potem jej syna i dwie wysokie, milczące córki. Spoglądał w ich twarze, gdy śmigały obok, śledził każdy gest młodzieńczych dłoni, każdy wyraz pozbawionych zmarszczek twarzy. W końcu usiadł na krześle przyniesionym przez syna.

- Ile masz lat, John?

- Dwadzieścia trzy - odpowiedział chłopak. Wilder niezręcznie przesunął widelec. Jego twarz nagle pobladła. Siedzący obok niego mężczyzna szepnął:

- Kapitanie Wilder, to niemożliwe.

Syn odszedł, aby przynieść więcej krzeseł.

- Dlaczego?

- Ja sam mam czterdzieści trzy lata, kapitanie. Skończyłem szkołę dwadzieścia lat temu - razem z młodym Johnem Hathawayem. Twierdzi, że ma dopiero dwadzieścia trzy lata, i na tyle wygląda, ale to przecież niemożliwe. Powinien mieć co najmniej czterdzieści dwa lata. Co to wszystko znaczy, kapitanie?

- Nie wiem.

- Pan też nie wygląda za dobrze.

- Bo i nie czuję się dobrze. To samo dotyczy córek. Poznałem je dwadzieścia lat temu. Zupełnie się nie zmieniły. Nie przybyła im nawet jedna zmarszczka. Zrobisz coś dla mnie, Williamson? Chciałbym, żebyś wyświadczył mi pewną przysługę. Powiem ci, dokąd masz iść i co sprawdzić. Wymknij się podczas śniadania, to nie powinno ci zabrać więcej niż dziesięć minut.

Miejsce, o które mi chodzi, leży niedaleko stąd. Widziałem je z rakiety, kiedy schodziliśmy do lądowania.

- Proszę. O czym rozmawiacie z takimi poważnymi minami? - Pani Hathaway, zręcznie manewrując chochlą, naląła każdemu pełen talerz zupy. - Uśmiechnijcie się! Jesteśmy razem, wyprawa się skończyła. Czujcie się, jak u siebie w domu.

Kapitan Wilder roześmiał się głośno.

- Świetnie pani wygląda, pani Hathaway! Tak młodo!

- Och, wy mężczyźni!

Patrzył, jak odchodzi, odpływa w dal. Jej rumiana twarz była gładka niczym jabłko, zdrowa i świeża; zaśmiewała się z każdego żartu, sprawnie nakładała sałatki, ani razu nie zatrzymując się, aby odpocząć. Zaś kościsty syn i smukłe córki byli niezwykle dowcipni jak ich ojciec - na zmianę snuli opowieści o długich latach spędzonych w samotności, podczas gdy Hathaway z dumą kiwał głową.

Williamson wstał z miejsca i pobiegł w dół zbocza.

- Dokąd on idzie? - spytał Hathaway.

- Sprawdzić coś w rakiecie - odpowiedział Wilder. - Ale jak już mówiłem, Hathaway, na Jowiszu nie ma nic, co by mogło zainteresować ludzi. Podobnie na Saturnie i Plutonie. - Wilder mówił mechanicznie, nie słysząc własnych słów. Myślał jedynie o Williamsonie biegnącym na dół zbocza i wspinającym się z powrotem, aby powiedzieć, co znalazł.

- Dziękuję. - Marguerite Hathaway dopełniła jego szklanek wodą. Wiedziony nagłym impulsem dotknął ramienia dziewczyny. Jej ciało było ciepłe i miękkie.

Hathaway po drugiej stronie stołu kilka razy zastygał bez ruchu, ze zbolaną miną dotykając palcami piersi, po czym znów skupiał całą swą uwagę na cichych rozmowach i nagłych głośnych wybuchach śmiechu, od czasu do czasu zerkając z troską na Wildera, który bez entuzjazmu przeżuwał kawałek piernika.

Williamson wrócił na miejsce i dziubał swoje jedzenie, póki kapitan nie szepnął do niego:

-I co?

- Znalazłem.

-I?

Policzki Williamsona powlekła śmiertelna bladość. Ani na moment nie spuszczał oczu z radosnej grupki ludzi. Córki uśmiechały się z powagą, podczas gdy syn opowiadał kolejny dowcip.

- Poszedłem na cmentarz - rzekł Williamson.

- Były tam cztery krzyże?

- Cztery, kapitanie. Nadal widniały na nich nazwiska. Zapisalem je, żeby mieć pewność. - Odczytał z białej kartki papieru: -Alice, Marguerite, Susan i John Hathaway. Zmarli na nieznaną chorobę. Lipiec 2007.

- Dziękuję, Williamson.

- Dziewiętnaście lat temu, kapitanie. - Dłoń Williamsona zadrżała.

- Owszem.

- Kim zatem są ci tutaj?

- Nie wiem.

- Co pan zamierza zrobić?

- Tego też nie wiem.

- Powiemy pozostałym?

- Później. Bierz się do jedzenia, jak gdyby nic nie zaszło.

-Jakoś straciłem apetyt, kapitanie.

Wino przyniesione z rakiety zakończyło posiłek. Hathaway wstał.

- Wypijmy wasze zdrowie. Dobrze jest znów ujrzeć przyjaciół. A także zdrowie mojej żony i dzieci, bez których nie przetrwałbym tutaj. Tylko dzięki ich trosce i opiece trzymałem się przy życiu, czekając na wasz przylot. - Uniósł kieliszek, pozdrawiając rodzinę, która zawstydzona spuściła wzrok, podczas gdy wszyscy wypili.

Hathaway jednym haustem wychylił własne wino. Nawet nie krzyknął. Padł jedynie na stół, a stamtąd ześliznął się na piasek. Kilku ludzi ułożyło go wygodnie. Lekarz nachylił się, osłuchując serce gospodarza. Wilder dotknął jego ramienia. Doktor uniósł wzrok i potrząsnął głową. Kapitan ukląkł, ujmując dłoń starego człowieka.

- Wilder? - Głos Hathawaya był ledwie słyszalny. - Zepsułem wam śniadanie.

- Bzdura.

- Pożegnaj ode mnie Alice i dzieci.

- Chwileczkę, zaraz ich zawołam.

- Nie, nie rób tego - wykrztusił Hathaway. - Oni nie rozumieją, Nie chciałem, żeby

zrozumieli. Nie wołaj nikogo.

Wilder pozostał na miejscu.

Hathaway nie żył.

Kapitan odczekał długą chwilę, aż wreszcie odłączył się od skupionej wokół gospodarza oszołomionej grupki. Podeszedł do Alice Hathaway, spojrzał jej prosto w oczy i rzekł:

- Wie pani, co się właśnie stało?

- Coś z moim mężem?

- Umarł; jego serce... - oznajmił Wilder, obserwując ją.

- Tak mi przykro - powiedziała.

- Jak się pani czuje? - spytał.

- On nie chciał, abyśmy rozpaczali. Powiedział nam, że któregoś dnia to się stanie, i nie życzył sobie, żebyśmy płakali. Nie nauczył nas, wie pan. Nie chciał, żebyśmy wiedzieli jak. Twierdził, że najgorszą rzeczą, jaka może spotkać człowieka, jest poznać samotność, smutek i płacz, toteż mieliśmy nie wiedzieć, jak się płacze ani co znaczy smutek.

Wilder zerknął na jej dłonie, miękkie, ciepłe dłonie, smukłe przeguby, zadbane paznokcie. Ujrzał jej długą, gładką, białą szyję i mądre oczy. Wreszcie rzekł:

- Pan Hathaway włożył naprawdę wiele pracy w panią i dzieci.

- Ucieszyłby się, słysząc te słowa. Był z nas bardzo dumny. Po pewnym czasie zapomniał nawet, że sam nas stworzył. Pod koniec kochał nas i traktował jak prawdziwą żonę i dzieci. Zresztą w pewnym sensie jesteśmy nimi.

- Byliście mu ogromną pociechą.

- Tak, przez lata toczyliśmy długie rozmowy. On uwielbiał mówić. Lubił też kamienny domek i otwarty ogień. Mogliśmy zamieszkać w prawdziwym domu, w mieście, ale wołał zostać tutaj, gdzie wedle woli mógł żyć prymitywnie albo ze wszelkimi wygodami. Opowiedział mi wszystko o swym laboratorium i rzeczach, które w nim tworzył. Podłączył do głośników całe martwe amerykańskie miasteczko w dole; kiedy naciskał guzik, w mieście zapalały się światła i rozlegały głosy, jakby żyło tam dziesięć tysięcy ludzi. Słysząc było silniki samolotów i samochodów oraz odgłosy rozmów. On zaś siadał, zapalał cygaro i rozmawiał z nami, zaś w tle rozbrzmiewały dźwięki z miasteczka. Od czasu do czasu odzywał się telefon i nagrany głos zwracał się do pana Hathaway z pytaniami natury naukowej bądź lekarskiej, on zaś zawsze udzielał odpowiedzi. I kiedy tak dzwonił telefon, my siedzieliśmy wokół, z dołu dobiegały odgłosy miasta, pan Hathaway był najzupełniej szczęśliwy. Nie potrafił dokonać tylko jednego - dodała. - Sprawić, abyśmy się starzeli. On z każdym dniem stawał się coraz starszy, a my zupełnie się nie zmienialiśmy. Mam wrażenie, że nie przeszkadzało mu to.

Chyba nawet tego pragnął.

- Pochowamy go na cmentarzu obok tamtych czterech krzyży. Myślę, że chciałby tego.

Przez moment jej dłoń spoczęła na przegubie kapitana.

-Jestem tego pewna.

Padły rozkazy. Rodzina podążyła za krótkim orszakiem w dół wzgórza. Dwaj mężczyźni dźwigali Hathawaya na krytych materiałem noszach. Minęli kamienny domek i magazyn, w którym Hathaway wiele lat temu rozpoczął swoją pracę. Wilder przystanął przy drzwiach warsztatu.

Jakie to uczucie, zastanawiał się, mieszkać na planecie z żoną i trójką dzieci, którzy nagle umierają, pozostawiając człowieka samego, w towarzystwie wiatru i ciszy? Co zrobiłby taki człowiek? Pogrzebał ich pod krzyżami na cmentarzu, po czym wrócił do warsztatu i posługując się całą mocą swego umysłu i pamięci, zręcznością palców i geniuszem, kawałek po kawałku stworzył istoty, które były dla niego żoną, synem, córką. Dysponując zasobami całego amerykańskiego miasta, inteligentny człowiek mógł dokonać cudów.

Piasek tłumił odgłosy ich kroków. Kiedy weszli na cmentarz, dwóch mężczyzn kopało już grób.

* * *

Późnym popołudniem wrócili do rakiety. Williamson skinął głową w stronę domku. - Co z nimi poczniemy?

- Nie wiem.

- Zamierza ich pan wyłączyć?

- Wyłączyć? - Kapitan spojrzał na niego z lekkim zdumieniem. - Nawet nie przyszło mi to na myśl.

- Nie zabiera ich pan chyba z nami?

- Nie, to nie miałoby sensu.

- Więc chce pan zostawić ich tutaj? Jak gdyby nigdy nic? Kapitan podał Williamsonowi pistolet.

-Jeśli zamierzasz coś z nimi zrobić, nadajesz się do tego znacznie lepiej niż ja.

W pięć minut później Williamson wrócił z domku zlany potem.

- Proszę, oto pańska broń. Teraz rozumiem, co miał pan na myśli. Wszedłem do środka z pistoletem. Jedna z córek uśmiechnęła się do mnie, podobnie pozostali. Żona zaproponowała mi

filiżankę herbaty. Boże, to by było morderstwo.

Wilder przytaknął.

- Nigdy już nie powstanie coś tak wspaniałego jak ta czwórka. Zbudował ich solidnie. Mogą przetrwać dziesięć, pięćdziesiąt, nawet dwieście lat. Tak, mają takie samo prawo do... do życia jak ja, czy którykolwiek z nas. - Opróżnił fajkę. - No dobra, wsiadaj. Zaraz startujemy. To miasto jest martwe. Nie mamy tu nic więcej do roboty.

Dzień chylił się ku zachodowi. Nad równiną zrywał się zimny wiatr. Pozostali czekali w rakiecie. Kapitan zawahał się. Williamson rzekł:

- Nie powie pan chyba, że chce pan tam wrócić i pożegnać się z nimi?

Kapitan spojrzał chłodno na swego podwładnego.

- Nie twoja sprawa.

W zapadającym mroku ruszył w stronę domku. Ludzie w rakiecie ujrzeli jego cień w drzwiach. Obok niego pojawił się cień kobiety. Widzieli, jak kapitan ściska jej dłoń.

W parę minut później wrócił do nich biegiem.

Wieczorami, gdy z wyschniętego morskiego dna wieje wiatr, przemykając ze świstem między sześciobocznymi płytami cmentarza, czterema starymi krzyżami i jednym nowym, w niskim kamiennym domku zapala się światło. Podczas gdy wicher z rykiem uderza o ściany, wzbijając chmury kurzu, zaś na niebie płoną zimne gwiazdy, cztery postaci - kobieta, dwie córki i syn - siadają wokół kominka, rozmawiając i śmiejąc się do siebie.

Co wieczór każdego roku, bez żadnej widocznej przyczyny, kobieta wstaje i przez długą chwilę patrzy w niebo. Unosząc dłoń, przygląda się zielonemu ognikowi Ziemi, sama nie wiedząc, czemu to robi.

A potem wraca i rzuca szczapę do ognia. Wiatr wyje dalej, a martwe morze trwa w zadumie śmierci.

Sierpień 2026: Łagodne spadną deszcze

Zegar w salonie zaśpiewał: Tik-tak, szast-prast, godzina siódma, wstawać czas! Siódma, wstawać czas!- jakby lękał się, że nikt go nie posłucha. Lecz tego ranka dom był pusty. Zegar tykał dalej, powtarzając w ciszy swe wezwanie. Siódma sześć, śniadanie czas zjeść!

W kuchni piecyk wydał z siebie syczące westchnienie i z jego wnętrza wypadło osiem idealnie brązowych grzanek, tyleż sadzonych jajek, szesnaście płatków wędzonki, dwie kawy i dwie szklanki mleka.

- Dziś mamy czwartego sierpnia 2026 roku - oznajmił drugi głos, dobiegający z sufitu - wedle czasu w Allendale, w stanie Kalifornia. -Dla pamięci powtórzył tę informację trzykrotnie. - Urodziny pana Featherstone'a. Rocznica ślubu Tihty. Czas opłacić ratę ubezpieczenia oraz rachunki za wodę, gaz i prąd.

Gdzieś wewnątrz ścian szcęknięty przekładnie, taśmy pamięci przesunęły się przed elektrycznym okiem.

Ósma pięć, ósma pięć, do szkoły biec macie chęć. Nie trzasnęły jednak żadne drzwi, na wykładzinie nie zadudnił odgłos miękkich kroków. Na dworze padał deszcz. Wisząca na drzwiach pogodynka nuciała cicho: Deszczu, deszczu, odejdz proszę, dzieci, założcie kalosze... Krople deszczu bębniły o szyby, odbijając się echem w pustym domu.

Na zewnątrz zadzwieczał dzwonek. Drzwi garażu uniosły się, ukazując czekający samochód. Po dłuższym czasie opadły ponownie.

O ósmej trzydzieści jajka zupełnie zaschły, a grzanki były twarde jak kamień. Aluminiowa łopatka zsunęła wszystko do zlewu, gdzie gorąca woda spłukała je w głąb stalowego gardła, które przełknęło resztki i po przetrawieniu wypluło do odległego morza. Brudne naczynia po wizycie w zmywarce ukazały się suche i błyszczące.

Kwadrans po dziewiątej! - zaśpiewał zegar. - Sprzątać wszystkie kąty!

Z maleńkich korytarzy w ścianach wypadły stada mechanicznych myszy. W pokojach zaroilo się od miniaturowych zwierzątek-sprzątaczy z gumy i metalu. Obijały się o krzesła, kręcąc wąsikami, ugniały włosie dywanu, wysysając zeń każdy, nawet najmniejszy pyłek. Nagle, niczym tajemniczy i obcy najeźdźcy, zniknęły w swoich norach. Ich różowe elektryczne oczy zgasty. Dom był czysty.

Dziesiąta. Zza chmur wyrzało słońce. Dom stał samotnie pośród gruzów i popiołów. Z całego miasta ocalał on jeden. Nocami ruiny jarzyły się radioaktywnym blaskiem, widocznym na wiele mil.

Kwadrans po dziesiątej. Zraszacze ogrodowe zawirowały niczym złociste fontanny, rozsiewając wokół jasne błyski. Kropelki wody osiadały na oknach, spływały po zwęglonej zachodniej ścianie, niemal całkowicie opalonej z białej farby. Na czarnej fasadzie odcinało się pięć

białych plam. Oto sylwetka mężczyzny, koszącego trawnik. Obok, jak na fotografii, kobieta schyla się, aby zerwać kwiatek. Jeszcze dalej widniały kolejne postaci, na zawsze utrwalone w drewnie w jednej potwornej chwili - mały chłopczyk, unoszący ręce; nad nim - kula ciśniętej piłki, a naprzeciwko dziewczynka, gotowa złapać piłkę, która nigdy nie dotknęła ziemi.

Tych pięć plam farby - mężczyzna, kobieta, dzieci, piłka - to wszystko, co zostało z dawnej białej ściany. Reszta zmieniła się w ciekłą warstwę węgla i żużlu.

Mżawka zraszaczka wypełniła ogród rozbłyskami światła.

Do tego dnia dom świetnie sobie radził z utrzymywaniem spokoju. Czujnie pytał:

- Kto tam ? Proszę podać hasło!- a nie otrzymawszy odpowiedzi od zbłąkanych lisów i miauczących kotów, zatrząskiwiał okna i zaciągał rolety, broniąc się przed intruzami niczym stara panna, w swej czujności graniczący z mechaniczną paranoją.

Każdy dźwięk wprawiał go w stan gotowości. Jeśli wróbel choćby musnął szybę, roleta unosiła się ze szczękiem, płosząc zdumionego gościa. Nikt, nawet ptak, nie śmiał tknąć tego domu!

Sam dom przypominał ołtarz z tysiącami kapłanów, małych i dużych, gotowych na wszelkie skinienie. Lecz bogowie odeszli, choć obrzęd religijny trwał dalej, bezsensowny, absurdalny.

Dwunasta.

Na werandzie zaskowyczał pies.

Drzwi frontowe rozpoznały jego głos i otwały się. Pies, niegdyś wielki i masywny, dziś - wychudzony, pokryty wrzodami, kręcił się po domu, wszędzie roznosząc błoto. Tuż za nim śmigały myszy, wściekłe, że muszą usuwać kolejne ślady z dywanu, zagniewane z powodu dodatkowego kłopotu.

Wystarczył bowiem nawet najdrobniejszy śmieć, by klapy w ścianach otwały się i wypadły z nich miedziane szczury-sprzątacze. Małe stalowe szczęki chwyciły drobinę pyłu, włosek bądź skrawek papieru i unosiły go ze sobą w głąb nory. Tam, pochłonięty przez rury, prowadzące do piwnicy, ginął w rozgrzanym brzuchu pieca, który przycupnął w mrocznym kącie pomieszczenia niczym złowrogi bożek Baal.

Pies pobiegł na górę, szczekając histerycznie pod każdymi drzwiami. W końcu, podobnie jak dom, pojął, że została mu tylko cisza.

Zaczął węszyć w powietrzu, skrobiąc w drzwi kuchenne. Za nimi piecyk szykował właśnie świeże naleśniki; słodka woń ciasta i syropu rozeszła się po domu.

Pies leżał przy drzwiach; z jego pyska ciekła rzadka piana, oczy płonęły niezdrowym ogniem. Po chwili zaczął ganiać w kółko, gryząc własny ogon. Kilka razy targnęły nim konwulsje. Potem zdechł. Przez godzinę leżał w salonie.

Godzina druga - zaśpiewał głos.

Zwabione ulotną wonią rozkładu oddziały myszy ruszyły do ataku, pomrukując nie głośniejsz niż liście na wietrze.

Kwadrans po drugiej.

Pies zniknął.

Piec w piwnicy rozjarzył się nagle; z komina trysnął snop iskier.

Druga trzydzieści pięć.

Ze ścian patio wystrzeliły stoliki do brydża. Karty z trzepotem opadły na sukno w deszczu kolorów i punktów. Na dębowej ławie pojawiły się szklanki martini i kanapki z jajkiem i sałata. Zabrzmiała muzyka.

Lecz nikt nie zasiadł do gry. Karty leżały nietknięte.

O czwartej stoliki złożyły się niczym olbrzymie motyle i zniknęły w głębi ścian.

Czwarta trzydzieści.

Ściany pokoju dzieciennego rozbłysły.

Ukazały się na nich zwierzęta. Żółte żyrafy, błękitne lwy, różowe antylopy, fioletowe pantery baraszkowały w głębi kryształu. Ściany były szklane. Za nimi roztaczała się kraina barw i fantazji. Ukryte filmy wirowały na naoliwionych szpulkach; ściany żyły. Podłogę pokrywała wykładzina, utkana z włókien przypominających soczystą trawę. Biegały po niej aluminiowe chrząszcze i żelazne cykady; w przesyconym ostrą zwierzęcą wonią rozgrzanym powietrzu unosiły się motyle z delikatnej czerwonej bibułki. Pokój wibrował dźwiękami - bzczeniem wielkiego roju żółtych pszczół, ukrytych w mrocznej dziupli, pomrukiem zadowolonego lwa. Wtórował im stukot kopytek okapi i szmer tropikalnej ulewy, która zraszała wyschniętą letnią darń. Po chwili ściany rozplynęły się, ukazując dziesiątki mil zasuszonych krzaków pod ciepłym, nieskończonym niebem. Zwierzęta umknęły pomiędzy cierniste zarośla, zmierzając do wodopojów. Ta godzina należała do dzieci.

* * *

Godzina piąta. Wanna napełniła się czystą gorącą wodą.

Szósta, siódma, ósma. Na stole, niczym w magicznej sztuczce, pojawiły się naczynia. Kolacja podana. W gabinecie coś trzasnęło i z metalowego stojaka naprzeciwko kominka, na którym płonął jasny ogień, wysunęło się cygaro. Zapalone, czekało, stopniowo zmieniając się w szary popiół.

Dziewiąta. Obwody grzewcze, ukryte w głębi łóżek, ożyły, bowiem tutejsze noce bywały dość chłodne.

Dziewiąta pięć. Z sufitu gabinetu przemówił głos:

- Pani McClellan, jakiego wiersza pragnie pani wysłuchać dziś wieczór?

Dom milczał.

Po chwili głos rzekł:

- Skoro nie ma pani specjalnych życzeń, sam dokonam wyboru. - W tle zabrzmiała cicha muzyka. - Sara Teasdale. O ile dobrze pamiętam, to pani ulubiony wiersz...

Łagodne spadną deszcze, a w nieba otchłani

jaskółki wnet podejmą swój radosny taniec;

Żaby w stawie zagrają koncert nocnych pieśni,

w szaleństwie bieli zadrżą śliwy i czereśnie;

Drozdy ogniście strojne w czerwieni i złocie,

kapryśny tryl wysnują na przydrożnym płocie;

I nikt nie wspomni wojny, nie wiedząc, że była,

nie westchnie, czy się aby walka zakończyła.

Zaden ptak, żadne drzewo ani promyk lata

nie zadba, że zniknęli ludzie z tego świata.

I nawet Wiosna sama, zstępując na ziemię

nie pomni, że odeszło całe ludzkie plemię.

Na wyłożonym kamieniami kominku płonął ogień; cygaro na swej podstawce przemieniło się w stosik milczącego popiołu. Puste krzesła stały naprzeciw siebie w objęciach cichych ścian. I wciąż grała muzyka.

O dziesiątej dom zaczął umierać.

Zerwał się wiatr. Padająca gałąź rozbiła kuchenne okno. Butelka z rozpuszczalnikiem runęła na piecyk. Po sekundzie cała kuchnia stanęła w płomieniach.

- Pali się!- krzyknął jakiś głos. Światła domu rozbłysły, z sufitów trysnęła woda. Lecz rozpuszczalnik rozprysnął się po całym linoleum, docierając wszędzie, ściekając na boki, przenikając pod drzwiami. Tymczasem głosy podjęły chóralny krzyk:

- Pożar! Pożar! Pożar!

Dom jeszcze próbował się ocalić. Drzwi zatrzasnęły się na głucho, lecz szyby popękały od gorąca i wpadający do środka wiatr podsycił płomienie.

Dom ustępował; ogień, postępując naprzód w orszaku miliardów gniewnych iskier, zagarniał kolejne pokoje. Wkrótce dotarł do schodów i ruszył na górę. Tymczasem ze ścian wyskakiwały stada wodnych szczurów, które strzelały swym ładunkiem i odbiegały po kolejne porcje. Z tryskaczy w sufitach lały się potoki mechanicznego deszczu.

Za późno jednak. Gdzieś w głębi domu jedna z pomp zgrzytnęła i zamarła. Ulewa ustała. Zapasowy zbiornik wody, który od wielu dni napełniał wanny i zmywał naczynia, wyczerpał się w końcu.

Ogień wbiegał po schodach, pożerając wiszące w holu Picassy i Matissy niczym największe przysmaki, podpiekając oleisty miąższ, czule wytapiając z płótna czarne chrupkie skwarki.

Teraz ogień rozpychał się w łózkach, wyglądał przez okna, zmieniał kolor zasłon.

I nagle zjawiły się posiłki.

Klapy na strychu otwarły się i wyjrzały z nich ślepe roboty, rzygające zieloną pianą.

Ogień cofnął się, jak to czyni nawet słoń na widok martwego węża. Tym razem na podłodze wilo się co najmniej dwadzieścia węży, a każdy z nich tłumił ogień chłodnym jadem zielonkawej piany.

Jednakże ogień okazał się chytrzejszy. Posłał swe płomienie na zewnątrz, w górę, ku stojącym na poddaszu pompom. Wybuch! Mózg na strychu, kierujący działaniem pomp, rozprysnął się na kawałki. Pozostała po nim jedynie garstka drzazg z brązu, które utkwiły na amen w stropowych belkach.

Ogień zaglądał do wszystkich szaf, obmacując wiszące w nich ubrania.

Dom zadrżał; dębowe kości tarły o siebie, odsłonięty szkielet skręcał się od żaru; między żebrami sterczały nagie druty, zupełnie jakby chirurg zdarł z niego skórę, wystawiając tętnice i naczynka na pastwę płomieni. Ratunku, pomocy! Pożar! Uciekajcie, uciekajcie! Zwierciadła pękały z gorąca niczym tafle kruchego lodu. A głosy zawodziły: pożar, pożar, uciekajcie, uciekajcie! - w

upiornej dziecinnej rymowance; tuzin głosów, wysokich i niskich; grupka dzieci, samotnie konających w lesie. W miarę jak druty rozsadały swą izolację, niczym gorące kasztany - łupiny, głosy milkły -jeden, drugi, trzeci, czwarty, piąty...

Dżungla w pokoju dziecinnym płonęła. Błękitne lwy ryczały, fioletowe żyrafy uskakiwały w tył. Pantery krążyły w kółko, nieustannie zmieniając barwy, zaś dziesięć milionów zwierzaków, umykających przed ogniem, zniknęło w dali, pędząc ku zbawiennej rzece.

Kolejnych dziesięć głosów umilkło. W ostatniej sekundzie, poprzedzającej zejście ognistej lawiny, inne chóry, nieświadome sytuacji, wciąż podawały godziny, odgrywały muzykę, strzygły trawnik za pomocą zdalnie sterowanej kosiarki, gorączkowo rozpinały i składały parasol nad drzwiami, które stale otwierały się i zamykały. Wokół działały się tysiące rzeczy, zupełnie jak w warsztacie zegarmistrza, gdzie każdy zegar wybija inną, własną godzinę. Oto szalony chaos, w którym kryje się jedność! Śpiew mieszał się z krzykami, ostatnie myszy-sprzątacze umykały odważnie na dwór, wynosząc kupki złowrogich popiołów. Jeden z głosów, wyniośle lekceważąc sytuację, czytał poezję w ognistym gabinecie do chwili, gdy ostatnie rolki filmów spłonęły bez śladu, druty stopiły się, obwody potrzaskały.

Wreszcie ogień rozsadził dom, który runął na ziemię w obłoku dymu, wyrzucając w powietrze istny rój iskier.

W kuchni na sekundę przed ulewą ognia i drewnianych szczątków, piecyk w szaleńczym tempie zaczął przyrządzać śniadanie - dziesięć tuzinów jaj, sześć bochnów grzanek, dwadzieścia tuzinów pasków wędzonki. A kiedy ogień pożarł to wszystko, kuchenka z rozpaczliwym sykiem zabrała się znów do pracy.

Trach! Górne piętro runęło do kuchni i salonu, salon wpadł do piwnicy, piwnica -jeszcze niżej. Zamrażarka, fotele, taśmy, druty, łóżka - wszystko to w jednym wielkim stosie zniknęło pod ziemią.

Dym i cisza. Wielka chmura dymu.

Na wschodzie zajaśniała pierwsza jutrzienka. Pośród gruzów wznosiła się samotna ściana. I kiedy poranne słońce oświetliło dymiące zgliszcza, z wnętrza ściany przemówił ostatni głos, powtarzając wciąż od nowa:

- Dziś mamy piątego sierpnia 2026 roku, dziś mamy piątego sierpnia 2026 roku, dziś...

Październik 2026: Milion lat wakacji

To mama pierwsza zaproponowała, aby cała rodzina wybrała się razem na ryby. Jednakże słowa nie pochodziły od mamy; Timothy wiedział o tym. To były słowa taty; mama po prostu wypowiedziała je za niego.

Tato szurnął nogami, rozrzucając marsjańskie kamyki, i wyraził zgodę. Natychmiast zrobiło się zamieszanie i wśród krzyków i śmiechów cały obóz znalazł się w kapsułach i pojemnikach. Matka przebrała się w podróżny kombinezon i bluzę, ojciec nabił fajkę drżącymi dłońmi, cały czas spoglądając w marsjańskie niebo, zaś trzej chłopcy z krzykiem załadowali się do motorówki. Żaden z nich nie zwracał uwagi na mamę i tatę - poza Timothyem.

Tato nacisnął dźwignię. Pomruk silnika łodzi wzniósł się w górę ku niebu, woda zafalowała, łódź śmignęła naprzód, zaś rodzina krzyknęła:

- Hurra!

Timothy siedział z tatą na rufie, jego małe palce spoczywały na włochatej dłoni ojca. Patrzył, jak kanał wiję się przed nimi. Z każdą chwilą oddalali się od pełnego ruin miejsca, w którym wylądowali swą małą rodzinną rakieta po długim locie z Ziemi. Przypomniawszy sobie wieczór przed odlotem, pośpiech i krzątanie, rakieta, którą tato wyszukał gdzieś w sekrecie i rozmowy o wakacjach na Marsie. Długa wyprawa jak na wakacje, lecz Timothy nic nie powiedział, ze względu na młodszego braci. Teraz zaś przybyli na Marsa i od razu ruszyli na ryby - tak przynajmniej twierdzili rodzice.

Oczy taty błyszczały dziwnie, gdy łódź parła naprzód, coraz dalej i dalej. Timothy nie potrafił rozszyfrować tego spojrzenia. Kryła się w nim wiara i głęboka ulga. Pomarszczona twarz, zwykle zatroskana, promieniała radością.

Po chwili stygnąca rakietka zniknęła za zakrętem.

-Jak długo tu zostaniemy? - Robert wystawił dłoń za burtę. Wyglądała niczym maleńki krab, śmigający po fiołkowych wodach.

Tato wypuścił powietrze.

- Milion lat.

- O rany - westchnął Robert.

- Spójrzcie, dzieci. - Matka wyciągnęła miękką szczupłą rękę. - Przed nami widać martwe miasto.

Unieśli wzrok w gorączkowym oczekiwaniu. Martwe miasto rozciągało się przed nimi,

drzemiąc w upalnej letniej ciszy marsjańskiego lata, stworzonego przez marsjańskich mistrzów pogody.

Tato wyglądał, jakby się cieszył, że miasto umarło.

Nie było zbyt imponujące. Różowe głązy przycupnięte na piasku, kilka zwalonych kolumn, jedna samotna świątynia i znów bezkres pustyni. W promieniu wielu mil nie było nic więcej, jedynie białe pustkowia wokół kanału i błękitne pustkowia nad głowami.

W tym momencie nad kanałem śmignął ptak, niczym kamień do puszczenia kaczek, który uderza o powierzchnię wody, wpada do środka i znika.

Na ten widok tato wzdrygnął się z lękiem.

- Myślałem, że to rakieta.

Timothy spoglądał w głąb oceanu nieba, usiłując dojrzeć Ziemię i wojnę, zburzone miasta i ludzi, zabijających się nawzajem od dnia, kiedy przyszedł na świat. Nic jednak nie dostrzegł. Wojna była równie odległa i nierzeczywista jak dwie muchy, toczące śmiertelny pojedynek pod łukiem wyniosłej, milczącej katedry. I równie pozbawiona sensu.

William Thomas otarł spocone czoło. Czując na ramieniu dotknięcie palców syna, delikatnych niczym młoda tarantula, odwrócił się z uśmiechem.

- Co u ciebie, Tim?

- W porządku, tato.

Timothy wciąż jeszcze nie widział, co kieruje tym wielkim dorosłym mechanizmem, siedzącym obok niego; mężczyzną o wydatnym jastrzębim nosie, spalonym na słońcu i obłażącym ze skóry, ognistych błękitnych oczach, twardych niczym szklane kulki, którymi bawili się po szkole w letnie popołudnie na Ziemi, i długich kolumnach nóg w luźnych spodniach do konnej jazdy.

- Na co tak patrzysz, tato?

- Szukałem ziemskiej logiki, rozsądku, uczciwych rządów, pokoju i odpowiedzialności.

- I wszystko to zostało na Ziemi?

- Już nie. Nie znalazłem niczego. Może już nigdy nie powróci. Może oszukiwaliśmy się, sądząc, że kiedykolwiek istniało.

- Że co?

- Zobacz, ryby - tata wskazał ręką.

Trzej chłopcy wykrzyknęli zgodnym chórem, kołysząc łodzią i wyciągając kruche szyje przy wtórze ochów i achów. Srebrzysta ryba pierścieniowa krążyła wokół, rozwijając się i zamykając, niczym źrenica oka, wokół każdej napotkanej cząstki jedzenia, którą wchłaniała w siebie.

Tato przyglądał się jej długo. Jego głos był głęboki i cichy.

- Zupełnie jak wojna. Wojna także podpływa zniecka, dostrzega ofiarę, rozwija swe szyki - i w chwilę potem Ziemia znika.

- Williamie! - upomniała go mama.

- Przepraszam - rzucił tata.

Siedzieli w milczeniu. Szkliste wody kanału przepływały za burtą. Jedyne szum silnika i plusk fal zakłócały wszechobecną ciszę. Powietrze drżało w promieniach słońca.

- Kiedy zobaczymy Marsjan? - krzyknął Michael.

- Zapewne już niedługo - odparł ojciec. - Może nawet dziś wieczór.

- Ale przecież Marsjanie wymarli - zaprotestowała mama.

- Nie, bynajmniej. Pokażę wam paru Marsjan - odparł tato po chwili.

Słyszając to, Timothy skrzywił się, milczał jednak. Nagle wszystko stało się dziwne - wakacje, ryby i spojrzenia wymieniane przez ludzi.

Tymczasem pozostała dwójka splecionymi z dłoni daszkami osłaniała oczy i zerknęła na dwumetrowe kamienne nabrzeża kanałów, poszukując wzrokiem Marsjan.

- Jak oni wyglądają? - spytał Michael.

- Poznasz ich, kiedy ich zobaczysz. - Tato zaśmiał się i Timothy dostrzegł żyłkę, pulsującą na jego policzku.

Matka była smukła i łagodna, złoty warkocz upięła nad głową na kształt dary. Jej oczy miały kolor głębokich, chłodnych wód kanału w miejscach, gdzie padał na nie cień - były niemal fioletowe, z pochwyconymi w głębi bursztynowymi iskierkami. W owych oczach widać było myśli, pływające wokół niczym ryby, niektóre jasne, inne mroczne, jedne szybkie i zręczne, inne powolne, leniwe; a czasami, jak wówczas gdy spoglądała w miejsce, gdzie winna świecić Ziemia, w jej oczach pozostawała jedynie barwa, nic poza tym. Matka siedziała na dziobie, jedną rękę położyła na burcie, drugą na kolanach okrytych granatowymi bryczesami. Z jej koszuli, otwartej u góry niczym biały kwiat, wylaniała się smukła opalona szyja.

Spoglądała naprzód, usiłując dostrzec, co ich tam czeka. Ponieważ jednak nie widziała dostatecznie wyraźnie, obejrzała się w stronę męża i w jego oczach ujrzała odbicie przyszłości, a że obraz ów odzwierciedlił także jego własną stanowczość i determinację, twarz matki odprężyła się i

kobieta odwróciła się z ulgą, wiedząc nagle, czego ma szukać.

Timothy także spoglądał w dal, jednak widział jedynie cienką kreskę kanału, fioletową w szerokiej, płytkiej dolinie, otoczonej niskimi zwietrzałymi wzgórzami. Nitka wody sięgała dalej, aż do miejsca, w którym znikła poza granicą nieba. Ów kanał przecinał miasta, które potrząśnięte grzechotałyby niczym chrabąszcze w pustej trupiej czaszce. Setka, dwie setki miast, za dnia śniących gorące letnie sny, nocami chłodne letnie koszmary...

Ponoć przebyli miliony mil tylko po to, aby łowić ryby - ale w rakiemie została broń. To były wakacje. Po co zatem zabrali prowiant, który wystarczyłby im w zupełności na wiele lat, a teraz czekał ukryty w pobliżu rakiety? Wakacje. Jednakże za zasłoną wakacji nie kryła się beztroska roześmiana twarz, lecz coś srogiego, kościstego, budzącego grozę. Timothy nie potrafił podnieść zasłony, zaś pozostali dwaj chłopcy byli całkowicie pochłonięci faktem, że jeden z nich skończył właśnie dziesięć, a drugi osiem lat.

- Ani śladu Marsjan. Lipa. - Robert oparł spiczasty podbródek na splecionych dłoniach, spoglądając gniewnie przed siebie.

Tato zabrał ze sobą atomowe radio, przypięte do przegubu. Jego działanie opierało się na staromodnej zasadzie: przykładano się odbiornik do kości koło ucha, ten zaś przekazywał wibracje, przynoszące melodie bądź głosy. Tato właśnie go słuchał. Jego twarz wyglądała jak jedno z owych zrujnowanych marsjańskich miast - zapadnięta w sobie, wyschnięta, niemal martwa.

Po chwili dał posłuchać mamie. Jej usta rozchyliły się ze zdumienia.

- Co się... - zaczął Timothy, nie zdołał jednak dokończyć myśli, bowiem w tym właśnie momencie rozległy się dwa ogłuszające, szarpiące kości wybuchy. Po nich nastąpiło kilkanaście cichszych trzasków.

Ponownie unosząc głowę, tato natychmiast przesunął dźwignię. Łódź skoczyła naprzód, podskakując i trzęsąc się gwałtownie. To sprawiło, że Robert otrząsnął się z zadumy, zaś Michael z przerażonym, choć radosnym piskiem, przywarł do nóg mamy, patrząc, jak tuż obok jego nosa przepływa rwący prąd.

Tato przesunął ster, zmniejszył prędkość i skręcił w maleńki boczny kanalik pod starym kamiennym nabrzeżem, cuchnącym krabim mięsem. Łódź uderzyła o brzeg z dostateczną mocą, by wszyscy polecieли naprzód, jednakże nikomu nie stało się nic złego i tato obrócił się natychmiast, by sprawdzić, czy zmarszczki na wodzie mogą wskazać komuś drogę do ich kryjówki. Niewysokie fale lizwały kamienie i cofały się, zderzając się nawzajem i migocząc w słońcu. Po chwili wszystko ucichło.

Tato nasłuchiwał. Podobnie pozostali.

Oddech ojca odbijał się echem niczym uderzenia pięści o mokre kamienie nabrzeża. Przycupnięta w cieniu mama obserwowała go kocimi oczyma w poszukiwaniu jakiegokolwiek wskazówki.

Wreszcie tato odprężył się i odetchnął z ulgą.

- Rakietą, oczywiście. Chyba robię się nerwowy. To była rakietą.

- Co to było, tatusiu? - spytał Michael. - Co?

- Och, po prostu wysadziliśmy naszą rakietę - odparł Timothy starając się, by zabrzmiało to możliwie nonszalancko. - Słyszałem już wcześniej podobne wybuchy. Nasza właśnie wyleciała w powietrze.

- Czemu wysadziliśmy rakietę? - spytał Michael. - Co, tato?

- To wszystko część zabawy, głuptasie - wyjaśnił Timothy.

- Zabawy! - Michael i Robert uwielbiali to słowo.

- Tato urządził ten wybuch, żeby nikt nie wiedział, gdzie wylądowaliśmy ani dokąd popłynęliśmy. W razie gdyby ktokolwiek nas szukał. Rozumiecie?

- O rany! Tajemnica!

- Wystraszyła mnie własna rakietą - przyznał tato, zwracając się do mamy. - Naprawdę robię się nerwowy. To niemądre sądzić, że zjawią się tu jeszcze jakieś rakiety, może poza jedną, jeśli Edwards i jego żona poradzili sobie z własnym statkiem.

Ponownie przyłożył do ucha maleńki odbiornik. Po dwóch minutach opuścił rękę, jakby odrzucał starą szmatę.

- Nareszcie koniec - rzekł do mamy. - Radio zeszło właśnie z atomowej fali. Wszystkie inne stacje umilkły. W ciągu ostatnich paru lat ich liczba ciągle się zmniejszała. Teraz w eterze panuje cisza. I prawdopodobnie tak już zostanie.

- Na jak długo? - chciał wiedzieć Robert.

- Może wasze prawnuki znów usłyszą jakąś wiadomość - odparł tato. Przez chwilę siedział bez ruchu. Dzieci milczały, porażone jego smutkiem i rezygnacją, poczuciem klęski i pogodzenia się z losem.

Wreszcie ponownie wypłynęli na wody kanału i ruszyli dalej, w stronę, w którą zmierzali już wcześniej.

Robiło się późno. Słońce zniżało się na niebie. Przed sobą widzieli szereg martwych miast.

Tato rozmawiał cicho ze swymi synami. W przeszłości często bywał roztargniony i oddalał się od nich, teraz jednak jego słowa były niczym pieszczota i chłopcy wyczuli to natychmiast.

- Mike, wybierz jakieś miasto.

- Co, tato?
- Wybierz miasto, synu. Jedno z tych, które mijamy.
- W porządku - odparł Michael. - Które mam wybrać?
- To, które podoba ci najbardziej! Wy także, Robercie, Tim. Wybierzcie swoje miasta.
- Chcę mieć miasto, w którym mieszkają Marsjanie! - zawołał Michael.
- Na to możesz liczyć - odparł tato. - Przysięgam ci. - Jego słowa były przeznaczone dla dzieci, lecz oczy szukały jedynie mamy.

W ciągu dwudziestu minut minęli sześć miast. Tato nie wspominał już o wybuchach. Znacznie bardziej interesowała go zabawa z synami.

Michaelowi spodobało się pierwsze mijane miasto, jednakże rodzina zgłosiła weto, wątpiąc w wartość zbyt pochopnych ocen. Drugie nie odpowiadało nikomu. To była osada Ziemi, zbudowana z drewna, rozsypująca się w spróchniałe wióry. Timothy głosował na trzecie miasto, bowiem było naprawdę duże. Czwarte i piąte uznano za zbyt małe, szóste zaś wywołało entuzjazm wszystkich, łącznie z mamą, która dołączyła do chóru okrzyków: „O rany, a niech mnie i spójrzcie-tylko-na-to!”

Osada składała się z pięćdziesięciu, może sześćdziesięciu potężnych budowli. Zasypane kurzem ulice były starannie wybrukowane, dostrzegli też jedną czy dwie stare wirowe fontanny, wciąż pulsujące na środku placów. Tylko one jeszcze żyły. Strumienie wody połyskiwały w promieniach zachodzącego słońca

- To jest nasze miasto - oznajmili wszyscy. Tato podpłynął do nabrzeża i wyskoczył z łodzi.
- Zatem jesteście. To wszystko należy do nas. Od tej pory zamieszkamy tutaj.
- Od tej pory? - powtórzył z niedowierzaniem Mike. Przez chwilę stał, rozglądając się wokół, po czym mrugając obejrzał się w stronę, gdzie kiedyś stał ich pojazd. - A co z rakieta? Co z Minnesotą?
- Proszę - powiedział tato i przyłożył małe radio do jasnej głowy Michaela. Michael słuchał.
- Nic tu nie ma - rzekł.
- Zgadza się. Nic. Nic już nie ma. Ani Minneapolis, ani raket, ani Ziemi.

Michael przez moment rozważał złowrogie słowa ojca, po czym rozplakał się, szlochając cicho.

- Chwileczkę - rzucił tato. - Daję ci wiele w zamian, Mike!

- Co takiego? - Chłopiec zaciekawiony zdusił łzy. Był jednak gotów rozplakać się na nowo, w razie gdyby słowa ojca okazały się równie niepokojące, jak poprzednie.

- Daję ci to miasto, Mike. Należy do ciebie.

- Do mnie?

- Do ciebie, Roberta, Timothy'ego. Całej waszej trójki. Jest waszą własnością.

Timothy wyskoczył z łodzi.

- Chłopaki, patrzcie! To wszystko dla nas! Wszystko! - Grał razem z tatą, i to grał bardzo dobrze. Później, kiedy minie pierwszy wstrząs, będzie mógł odejść gdzieś na bok i popłakać chwilkę, teraz jednak wciąż jeszcze trwała zabawa w rodzinną wycieczkę i dzieci musiały w niej uczestniczyć.

Mike skoczył za nim wraz z Robertem. Razem pomogli mamie.

- Uważajcie na waszą siostrę - polecił tato, na razie jednak nikt nie zrozumiał, co miał na myśli.

Pospiesznym krokiem zagłębili się w wielkie miasto z różowego kamienia, szepcząc do siebie, ponieważ w atmosferze martwych miast jest coś takiego, że człowiek zaczyna szeptać. Patrzyli, jak słońce opada za horyzont.

- Za jakieś pięć dni - powiedział cicho tato - wrócę na miejsce, gdzie stała nasza rakietka, zabiorę ukryty w ruinach prowiant i przywiozę go tutaj. Potem poszukam Berta Edwardsa, jego żony i córek.

- Córek? - spytał Timothy. - Ilu?

- Czterech.

- Widzę, że będą z tym jeszcze kłopoty. - Mama powoli skinęła głową.

- Dziewczyny. - Michael skrzywił się niczym stara marsjańska rzeźba. - Dziewczyny.

- One też przylatują rakieta?

- Tak. Jeśli im się uda. Rodzinne rakiety przeznaczono do wycieczek na Księżyc, nie na Marsa. Mieliśmy szczęście, że tu dotarliśmy.

- Skąd wzięłaś rakieta? - szepnął Timothy, kiedy pozostała dwójka pobiegła naprzód.

- Zachowałem ją. Przechowywałem od dwudziestu lat, Tim. Trzymałem w ukryciu w nadziei, że nigdy nie będę musiał z niej skorzystać. Chyba powinienem był ją oddać rządowi na wojnę, ale wciąż myślałem o Marsie...

- Naszych wakacjach!

- Właśnie. Ale niech to pozostanie między nami. Kiedy uznałem, że na Ziemi wszystko dobiega końca, odczekałem do ostatniej chwili i zabrałem nasze rzeczy. Bert Edwards także ukrywał statek, stwierdziliśmy jednak, że bezpieczniej będzie wystartować osobno, w razie gdyby ktoś próbował nas zestrzelić.

- Czemu wysadziłeś raketę, tato?

- Żebyśmy nigdy nie mogli wrócić. I żeby żaden ze złych ludzi, którzy mogliby przybyć na Marsa, nie wiedział, że tu jesteśmy.

- Dlatego przez cały czas spoglądasz w niebo?

- Tak. To głupie. Nie przylecą tu za nami. Nie mają statków. Jestem po prostu zbyt ostrożny.

Michael wrócił do nich biegiem.

- Czy to naprawdę nasze miasto, tato?

- Cała ta planeta należy do nas.

Stali tam - królowie i władcy, najlepsi z najlepszych, mistrzowie nad mistrzami, niezrównani monarchowie i prezydenci, próbując zrozumieć, co to znaczy posiadać na własność świat i jak wielki jest ten świat w istocie.

W rozrzedzonej atmosferze noc zapadała szybko. Tato zostawił ich na placu, obok pulsującej fontanny, wrócił do łodzi i po chwili pojawił się, niosąc w wielkich dłoniach gruby plik papierów.

Ułożył je w nieporządną stosik na starym dziedzińcu i podpalił. Rodzina zebrała się wokół ognia, aby się ogrzać. Timothy patrzył, jak małe literki podskakują niczym przerażone zwierzęta, kiedy dotykają ich żarłoczne płomienie. Papier trzeszczał niczym skóra starca, gdy ogień pochłaniał niezliczone słowa:

OBLIGACJE RZĄDOWE; Wykresy statystyczne 1999; Rozprawa na temat uprzedzeń religijnych; Logistyka; Problem jedności panamerykańskiej; Raport giełdowy z 3 lipca 1998; Kronika wojenna...

Tato uparł się, aby przywieźć te papiery specjalnie w tym celu. Siedział na kamieniach, z zadowoleniem podsycając ogień kolejnymi kartkami i opowiadając dzieciom, co to wszystko znaczy.

-Już czas, abym wyjaśnił wam parę rzeczy. Trzymanie ich w sekrecie byłoby nieuczciwe. Nie wiem, czy rozumiecie, ale musicie mnie wysłuchać, nawet jeśli dotrze do was tylko część z tego, co wam powiem.

Cisnął w ogień kolejną stronicę.

- W tej chwili palę pewien sposób życia, tak jak wypalono go na Ziemi. Wybaczcie, że mówię jak polityk, ostatecznie piastowałem urząd gubernatora stanowego. Byłem uczciwy. Nienawidzili mnie za to. Życie na Ziemi nigdy nie zmierzało do niczego dobrego. Nauka za bardzo nas wyprzedziła i ludzie zagubili się w mechanicznej dżungli, niczym dzieci zachwycone ślicznymi drobiazgami, gadżetami, helikopterami, raketami. Nasza uwaga skupiała się nie tam, gdzie powinna, na maszynach, zamiast na sposobach kierowania nimi. Wojny stawały się coraz większe i groźniejsze, aż w końcu zamordowały Ziemię. To właśnie oznacza milczące radio. Przed tym właśnie uciekliśmy.

Mieliśmy szczęście - nie ma już więcej rakiet. Czas, abyście dowiedzieli się, że nie wybraliśmy się tu na wakacje. Odwlekałem tę chwilę, ale wreszcie muszę to powiedzieć. Ziemi już nie ma. Podróże międzyplanetarne skończyły się na kilka najbliższych wieków, może nawet na zawsze. Jednakże tamten sposób życia okazał się błędny i sam doprowadził do własnego upadku. Jesteście młodzi. Będę powtarzał wam to codziennie, dopóki nie pojmiecie.

Urwał, wrzucając do ognia kolejne pliki papierów.

- Teraz jesteśmy sami. My i garstka innych, którzy wylądują za parę dni. Dostatecznie wielu, by zacząć wszystko od nowa. Wystarczająco, by odwrócić się od tego, co zaszło na Ziemi, i wytyczyć nowy szlak...

Płomienie wystrzeliły w górę, jakby podkreślając wagę jego słów. A potem wszystkie papiery zniknęły, z wyjątkiem jednego. Wszystkie prawa i wierzenia Ziemi spłonęły, pozostawiając po sobie kupkę gorących popiołów, którą wkrótce rozniesienie wiatr.

Timothy spojrzał na ostatnią rzecz, którą ojciec cisnął do ognia. To była mapa świata. Wrzucona w żar, zmarszczyła się, wykrzywiła, stanęła w ogniu i zniknęła niczym ciepła biała śma.

Timothy odwrócił głowę.

- A teraz pokażę wam Marsjan - oznajmił tato. - Chodźcie ze mną wszyscy. Dalej, Alice. - Ujął jej dłoń.

Michael płakał głośno, toteż tato poniosł go w ramionach. Wędrowali przez ruiny w stronę kanału.

Kanał. Jutro, a może pojutrze ich przyszłe żony przybędą tu łodzią. Małe roześmiane dziewczynki w towarzystwie ojca i matki.

Zapadła już noc. Na niebie świeciły gwiazdy, lecz Timothy nie mógł znaleźć Ziemi, bowiem już zaszła. To dawało sporo do myślenia.

Kiedy tak szli wśród gruzów, odezwał się nocny ptak.

- Wasza matka i ja postaramy się was uczyć - oznajmił tato. - Mam nadzieję, że was nie zawiedziemy. Wiele przeszliśmy, zebraliśmy mnóstwo doświadczeń. Planowaliśmy tę wyprawę od lat, zanim jeszcze wy się urodziliście. Sądzę, że nawet gdyby wojna nie wybuchła i tak

przybylibyśmy na Marsa, aby stworzyć własny standard życia. Musiałby minąć wiek, zanim ziemscy cywilizacja naprawdę zatrzałaby tę planetę. Oczywiście teraz...

Dotarli na brzeg. Długi prosty kanał połyskiwał wilgotnym blaskiem, odbijając w sobie niebo.

- Zawsze chciałem zobaczyć Marsjanina - rzekł Michael. -Gdzie oni są? Obiecałeś.

- Oto oni - oznajmił tato i posadziwszy Michaela na ramieniu, wskazał ręką w dół.

I rzeczywiście byli tam.

Timothy zadrzał. Marsjanie stali, odbici w wodzie kanału. Timothy i Michael, Robert, mama i tato.

Przez długą chwilę Marsjanie spoglądali na nich z pomarszczonej tafli wody...

[1] "Zstąp w dół, słodki rydwanie" - to pierwsze słowa popularnej murzyńskiej pieśni gospel - przyp. tłum.

[2] Ten i następne fragmenty "Zagłady Domu Usherów" E. A. Poeego w przekładzie Bolesława Leśmiana .